W NUMERZE: Trudne życie Marcina Kasprzaka ■ Dzieje klasy robotniczej ■ Co to jest alfa-amylaza i jak odbywa się nadanie tytułu honoris causa w Szwecji? ■ Nowoczesna hodowla w Dmosinie ■ Podłoże politycznych wstrząsów w Iranie ■ Przygody pod szwedzkim niebem ■ Ostatnie dni wojny we wspomnieniach radzieckiego korespondenta ■ Co sądzi o swojej pracy Jerzy Zelnik ■ Nowe filmy WFO ■ Jak uczyć się obcych języków?

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 50 (1096) ROK XXI • 10 GRUDNIA 1978 R. CENA 3 ZŁ

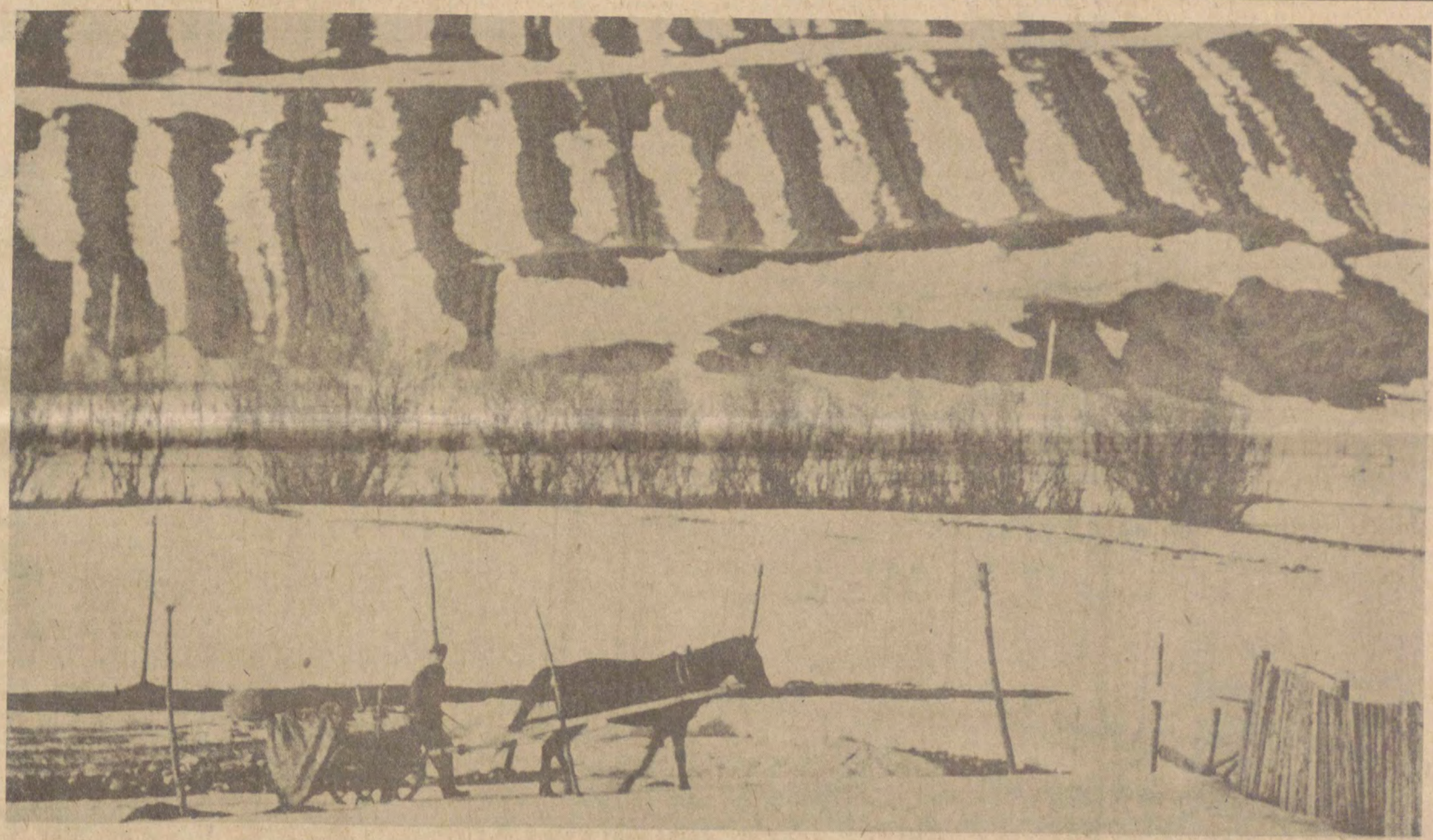

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

sukces ryzykantów

W szczerym polu hula bezpańsko ostry, porywisty wiatr. **Waldek Kosma** mówi, że cholerny wygwizdów, a on chciał tu kiedyś zbudować dom. Zmienił plany, ale z budowy nie zrezygnował. Na niewielkim wzniesieniu, obok ciężkiej, żółtej drogi, w bladym słońcu listopada szarzeje kryty eternitem długi budynek z wylotami kanałów wentylacyjnych, nad którymi góruje coś w rodzaju prostopadłościennej wieży z płaskim, czworokątnym dachem. Bratoszewicki mechanizator, inżynier **Władysław Materowicz**, zauważa, że korzystniej wyglądałby dach kopertowy, chociaż sam nie jest takim estetą, jak pewien gość, któremu szalenie nie podobał się nowy dom Kosmów, usytuowany na krańcu **Dmosina** i wykonany z elementów betonowo-trzcinowych, rodem bodajże z Giżycka; zewnątrz jest jeszcze w stanie surowym, ale kiedy go się otynkuje i wymaluje, będzie wyglądał naprawdę ładnie, nietypowo i nowocześnie.

Dziwili się goście

A do tej budowli w szczerym polu przyjechali kiedyś farmerzy z RFN. Weszli do środka, rozejrzeli się i zaczęli kręcić głowami. Miny mieli troche niewyraźne, ale w ich oczach łatwo można było odczytać wyraz zaskoczenia. Wprawdzie z czymś takim stykali się na co dzień u siebie, ale że mieli stare, utarte, złe wyobrażenie o naszym rolnictwie, musieli zadać pełne niedowierzania pytanie, czy te maszyny i urządzenia są rzeczywiście polskie.

Inż. Materowicz twierdzi, że zaczęło się od **Stanisława Kosmy**, który jest hodowcą wyjątkowym nie tylko ze względu na to, że potrafi myśleć, planować i liczyć, bo takich mamy coraz więcej, ale również stąd, że jako były urzędnik (sekretarz gminy) wrócił zza biurka na... ziemię, gdzie sprawdził się równie dobrze, a może lepiej, dzięki swej inwencji, uporowi, pomysłowości, darowi przekonywania innych oraz dlatego, że miał dobrą rękę do świń.

Dzisiaj Stanisław Kosma, niski, korpulentny, stateczny, z okrągłą, rumianą, dobroduszną twarzą, której połowę przesłaniają okulary w dużej, jasnej oprawce, urzęduje za biurkiem w kantorku przy własnej, nowoczesnej chlewni. W kantorku są na razie surowe ściany, goła żarówka, wieszak, czajnik, grzałka komplet białych fartuchów i foliowych butów do jednorazowego użytku oraz pieczątka firmy, ale jak zapewnia jej udziałowiec, Waldemar Kosma, wszystko się wygładzi, pomaluje, wyklei tapetami i żeby zapachniało dyrektorskim gabinetem, można też zainstalować niewielki barek.

Stanisław Kosma pojechał kiedyś do Bratoszewic, zobaczył na wystawie piętrowe, bateryjne kojce dla świń i kupił, bo bardzo mu się spodobały. W starych budynkach trzymał 60 sztuk trzody, a kiedy wstawił tam kojce, mógł rozpocząć m. in. pod nadzorem mgr inż. **Pawła Kumora**, hodowlę 180 sztuk świń. Był to pierwszy w dawnym województwie łódzkim chów bateryjny, toteż do Kosmy przyjeżdżali rolnicy z **gminy Dmosin** z dalszych powiatów, a nawet spoza województwa, oglądali i potem stosowali u siebie.

Ale w starych budynkach nie moż-

Dalszy ciąg na str. 6

NOWE INICJATYWY TPŁ

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi istnieje blisko dwadzieścia lat i jest jedną z największych i najprężniejszych tego typu organizacji regionalnych. Zrzesza około 8 tys. członków spośród najgorętszych patriotów miasta. O nowych inicjatywach TPŁ, które uczyniło już wiele dla rozwoju życia kulturalnego włókniarskiej stolicy, mówi prezes Towarzystwa — **Mieczysław Woźniakowski:**

— Z ogromną satysfakcją obserwujemy przemiany zachodzące w panoramie i życiu Łodzi, jej tak dynamiczną, szczególnie w ostatnich latach, rozbudowę i modernizację. Organizując setki prelekcji i wycieczek po mieście staramy się pokazywać nowe obiekty i dzielnice, a także odkrywać uroki jej dawnego, secesyjnego budownictwa. „Kamienne kwiaty ul. Piotrkowskiej", bo taką nazwę ma jedna z tras wycieczkowych, cieszących się dużym powodzeniem, zasługują też na spopularyzowanie.

Dla przyszłych pokoleń chcemy ocalić od zapomnienia wszystko, co wiąże się z dziejami miasta. Zatrzymać to, co odchodzi w przeszłość. Najcenniejszym źródłem dla dziejopisów, socjologów, historyków kultury są relacje naocznych świadków. Zainicjowaliśmy więc cykl konkursów na wspomnienia. Apel do mieszkańców o relacje z pamiętnych pierwszych dni powojennych nie został bez echa, kilkadziesiąt nadesłanych prac stanie się zalążkiem zbiorów pamiętnikarskich organizowanych w Muzeum Historii Miasta przy współudziale Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego. Wraz z Muzeum Historii Miasta ogłosiliśmy następny konkurs pn. „Życie codzienne łodzian w czasie okupacji hitlerowskiej". Oczekujemy na wspomnienia osób pamiętających tamten ponury okres w naszej historii. Kolejnym tematem konkursu będą „Pamiętniki wysiedlonych". Jednych łodzian okupant wysiedlił z ich mieszkań, innych do Generalnej Guberni, jeszcze innych — do Rzeszy na roboty. W jakich byli warunkach, jak przeżyli, jakimi wreszcie drogami powrócili do rodzinnego miasta. Chodzi tu znów o udokumentowanie tego tematu. Hasłem następnego konkursu pamiętnikarskiego będą „Lata wielkiej odbudowy", czyli okres pierwszego planu 3-letniego. Chcemy zgromadzić jak najwięcej relacji o tym ważnym okresie odbudowy wszelkich dziedzin gospodarki i życia miasta. Zamierzamy sfinalizować to wszystko do 35 rocznicy wyzwolenia Łodzi, którą obchodzić będziemy w 1980 roku.

Drugi ważny kierunek działania Towarzystwa Przyjaciół Łodzi — to praca z młodzieżą. W tej dziedzinie szczególnie cenną inicjatywą są kursy organizatorów turystyki szkolnej. Uczniów starszych klas kształcimy na przewodników po Łodzi. Liczymy na to, że z tej właśnie młodzieży, wyrosną nowe szeregi zaangażowanych działaczy naszego Towarzystwa.

„ZDANIE" PARTYJNYCH TWÓRCÓW

O działalności krakowskiego Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica" legitymującego się już przeszło trzyletnią działalnością **napiszemy obszernie w przyszłości.** Dziś chcemy tylko zwrócić uwagę i zachęcić naszych Czytelników do zapoznania się z periodyczną publikacją Klubu pn. **„ZDANIE".**

W posłowiu do 170-stronicowego tomu redakcja prezentuje swoje stanowisko. „Wydawnictwo nasze nazwaliśmy ZDANIEM. Ta nazwa oddaje intencje zamieszczonych w nim materiałów. Chcemy po prostu wyrazić nasze zdanie, wspólne dla klimatu ideowego „Kuźnicy", i zdanie autorów poszczególnych pozycji o sprawach ważnych: o postawie komunisty, o człowieku socjalizmu, o powinnościach inteligencji, o moralności socjalistycznej, o pryncypiach ideologicznych. Zdania tu zamieszczone są kontynuacją naszych codziennych rozmów w klubie... Adresujemy ZDANIE przede wszystkim do twórców dzieł artystycznych, do działaczy kultury, do humanistów, do naukowców-specjalistów nauk społecznych, do aktywu partyjnego i państwowego, do wszystkich, dla których najbliższe i najdroższe jest zbudowanie socjalistycznej Polski, uformowanie pełnego i wszechstronnego człowieka epoki socjalizmu, rozwijanie twórczych i odpowiedzialnych postaw i motywacji ludzi będących faktycznymi podmiotami historycznych przemian".

Zawartość pierwszej publikacji, mówiąc najbardziej lapidarnie, odzwierciedla w pełni założenia programowe Klubu, wynika niejako z zasadniczych celów jakie stawia sobie „Kuźnica". Są nimi, przytoczmy dla porządku, upowszechnienie linii ideowo-politycznej partii w sferze zjawisk kultury, humanistyki i świadomości społecznej, inspirowanie działań kulturotwórczych o socjalistycznej, proweniencji, kształtowanie partyjnej opinii środowisk twórczych wobec ważkich zjawisk społecznych i kulturalnych, stworzenie platformy dyskusji międzyśrodowiskowej i stałego kontaktu partyjnej inteligencji twórczej ze środowiskiem robotniczym, młodzieżowym, inteligencją techniczną, działaczami politycznymi. Egzemplifikacje niektórych, przytoczonych wyżej, kierunków poszukiwań znajdziemy w pierwszym tomie, na dalsze trzeba będzie poczekać do następnych publikacji.

„Zdanie — 1978" otwiera artykuł pióra **Tadeusza Hołuja** (przewodniczącego Rady Klubu i Rady Redakcyjnej) pt. „Komunista polski". Jest to niezwykle interesujące i nowatorskie spojrzenie nie tylko na funkcjonowanie terminologii „komunista" w naszej najnowszej historii. Hołuj przedstawił temat w sposób nieułatwiony, szczery, erudycyjnie, ale także w osobistej tonacji. Rzecz zachęcająca do sporu, ale przede wszystkim zmuszająca do myślenia (jakiego nam często brakuje), szerszego, całościowego, w kateogriach historycznych.

Józef Lipiec, szef zespołu redakcyjnego, przedstawia prace „Intelektualiści w partii". Temat także ważki, ale przedstawiony mało klarownie, w sposób nierówny, obok ciekawych spostrzeżeń i znaczących konkluzji, sporo zdawkowości. Ale nie miejmy pretensji do autora, bo trzeba się z nim zgodzić kiedy stwierdza, że przygląda się problemowi „który bywa podejmowany rzadko i nieśmiało".

Trudno streszczać cały tom, ale chcę jeszcze zwrócić uwagę na stenogram z dyskusji redakcyjnej **„Uczyć marksizmu".** Na ten ważki temat, którego przecenić nie sposób, wypowiadają się wieloletni nauczyciele akademiccy filozofii i socjologii. Z ich wypowiedzi wyłania się niekoloryzowany obraz rzeczywistego stanu rzeczy, a także wiele postulatów nad którymi nie będzie można przejść obojętnie.

Ma też „Zdanie" poza częścią eseistyczno-publicystyczną, także i coś dla miłośników dobrej literatury i niekonwencjonalnego reportażu. Mam tu na myśli prezentacje twórczości dwóch świetnych pisarzy: **Juliana Kawalca** i **Jerzego Broszkiewicza,** ambitny reportaż **Doroty Terakowskiej** „Sprawa robotnika", czy **Jerzego Surdykowskiego** powieść reportażową o budowie Portu Północnego.

Jednym zdaniem: periodyk „Kuźnicy" wystartował więcej niż pomyślnie, jest w nim zawarty ambitny i uczciwy rozrachunek z intencji twórców klubu co jest najlepszą rekomendacją na przyszłość, dla następnych publikacji.

(J. WAW.)

BURZA W SZKLANCE WODY

Nie przypuszczałem, że moja wzmianka na temat łódzkiego pomnika Władysława Reymonta wywoła taką burzę w szklance wody z Warty. Napisałem mianowicie, że pomnik Reymonta dłuta Wołosewicza jest pierwszym pomnikiem pisarza w naszym kraju.

Zareagował na to najpierw p. Parafianowicz, którego list redakcja skwapliwie wydrukowała. P. Parafianowicz donosi że pomnik Reymonta stoi w Małkowie k/ Warty (woj. sieradzkie).

Wkrótce potem nadszedł do „Odgłosów" pakiet dokumentów. Są to: **„Monografia wsi Małków"** wydana przez Komisję Młodzieżową PTTK, a opracowana przez **„zespół autorski SKKT przy Szkole Podstawowej w Dusznikach"** oraz **„Dzieje miasta Warty"** autorstwa **K. Bryńskiego** i **K. Wilińskiego,** wydane przez oddział PTTK w Warcie. Dokumenty te wydały się redakcji tak doniosłe, że polecono mi zająć stanowisko w tej sprawie.

Do broszury dołączono list lekarza psychiatry, **Eugenii Kaleniewicz,** która pisze m. in.:

„Pierwszy pomnik Reymonta został wystawiony w Polsce jeszcze przed drugą wojną światową, dłuta art. rzeźbiarza Stanisława Jagmina, w zabytkowym parku w Małkowie, odległym 2 km od Warty (...) Popiersie pisarza, wykonane z tzw. sztucznego kamienia, z biegiem lat uległo zniszczeniu pod wpływem działań atmosferycznych.

W roku 1965 Oddział PTTK w Warcie powołał Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Wł. Reymonta (...) W ramach ogólnopolskich obchodów setnej rocznicy urodzin Wł. Reymonta w Małkowie, w dniu 28 maja 1967 roku nastąpiło odsłonięcie pomnika z popiersiem z brązu dłuta łódzkiego rzeźbiarza, Kazimierza Moczkowskiego, w obecności około 5 tysięcy widzów, przy czym referat okolicznościowy przed pomnikiem wygłosił prof. dr St. Kaszyński".

Informacje zawarte w folderach są powtórzeniem treści zawartych w liście pani doktor, która zresztą jest współautorką folderu **„Z dziejów PTTK na terenie m. Warty".**

List kończy się apelem, **„ażeby w przyszłości osoby w rodzaju J. W., które zechcą coś napisać o naszej miejscowości, nie mające żadnego rozeznania, zechciały uprzednio zapoznać się dokładniej z materiałami i nie wypaczały prawdy historycznej, z braku znajomości dawnego regionu łódzkiego, czego nigdy im nie daruje potomność".**

Zostałem więc pozwany przed trybunał Potomności.

Czy słusznie? Otóż niesłusznie. Rozumiem i szanuję lokalne akcje i lokalny patriotyzm, ale Szanowni Warcianie stanowczo przesadzili. Pomnik kojarzy się każdemu (okazuje się jednak, że nie każdemu...) z dziełem architektoniczno-rzeźbiarskim w formie posągu (figury), bądź grupy rzeźbiarskiej. Na tym stanowisku stoją autorzy wszystkich słowników i encyklopedii. A posąg — jak uczy każdy słownik języka polskiego — jest rzeźbą przedstawiającą postać ludzką.

Nie jest przeto pomnikiem ani popiersie Juliana Tuwima stojące przed Pałacem Młodzieży w Łodzi, ani popiersie Stanisława Moniuszki stojące w parku przy ul. Narutowicza... Nie jest również pomnikiem warciańskie popiersie Reymonta, tak jak nie jest pomnikiem popiersie Kościuszki stojące w parku w Aleksandrowie Łódzkim i dziesiątki tego rodzaju obiektów, będących owocem — sympatycznej skądinąd — inicjatywy miejscowych działaczy i obywateli. W niczym to, oczywiście, nie umniejsza rangi owych inicjatyw.

Niech więc mi sympatyczni Warcianie wybaczą, ale pozostanę nadal przy prawidłowej i powszechnie stosowanej terminologii. Popiersie nie jest pomnikiem i **„Słownik sztuk pięknych"** określa je tylko jako „portret rzeźbiarski" czyli „biust".

Sprawa jest śmieszna i nie wytaczałbym tych terminologicznych armat, gdyby mi nie zarzucono dyletanctwa, wypaczania prawdy i nie grożono anatemą potomnych.

Na koniec natomiast mam dla Warcian przykrą wiadomość. Otóż w Złotoryi na Dolnym Śląsku jest kamienny pomnik Reymonta. Prawdziwy pomnik — żaden „biust". Niestety, nie znam ani autora, ani wartości artystycznej obiektu, wzniesionego zresztą w czynie społecznym. Faktem jest, że pomnik Reymonta stanął najpierw w Złotoryi, a potem w Łodzi. I tu się rzeczywiście pomyliłem — nie ja jeden zresztą, bo o pomniku w Złotoryi naprawdę mało kto wie. Nie dam zresztą głowy, czy w jakimś miasteczku miłośnicy talentu pisarza nie wznieśli mu pomnika wczoraj, dziś, lub wzniosą jutro. Jak to pisał Gałczyński — „my Polacy, my lubim pomniki".

Nawiasem mówiąc, moja wzmianka o „pierwszeństwie" miała wyłącznie charakter ciekawostki i nigdy by mi do głowy nie wpadło, że potrafi tak wzburzyć umysły, wywołać irytację i przekonanie, że „wypacza prawdę". Jak niewiele jednak trzeba, aby w szklance wody rozszalał tajfun.

Fredrowski Cześnik wołał: „znaj proporcję — mocium panie!" Stosuje się to — jak widać — całkiem dosłownie także do proporcji zwykłego pomnika, które warto (także w Warcie) znać, gdy się podejmuje jakąkolwiek polemikę w tej kwestii.

(J. Wil.)

Listy do Redakcji

„MÓJ SYN W DZIESIĘCIOLATCE"

W nawiązaniu do artykułu pt. „Mój syn w dziesięciolatce" opublikowanym w nr 40 „Odgłosów". Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi wyjaśnia.

Obiekt, w którym zlokalizowana jest Szkoła Podstawowa nr 149, miał być oddany do użytku (bez części sportowej) w czerwcu br. Stało się jednak inaczej. Dopiero na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego 1978/79 można było przystąpić do prac porządkowych i zagospodarowania poszczególnych pomieszczeń. Nie została uczniom udostępniona szatnia, nie można było również uruchomić żywienia ze względu na to, że nie wszystkie prace w tych pomieszczeniach zostały zakończone przez wykonawcę.

Kuratorium Oświaty i Wychowania podjęło jednak decyzję o uruchomieniu placówki z początkiem roku szkolnego 1978/79, mając na uwadze przede wszystkim:

— poprawę warunków nauki w sąsiednich szkołach, a szczególnie w Szkole Podstawowej nr 99, której budynek nie jest przystosowany do organizowania nauczania dla tak dużej liczby oddziałów — 38 (jedna sala gimnastyczna, pojedyncze pracownie, szczupłe zaplecze żywieniowe). Również zmianowość w tej placówce była stosunkowo wysoka, co tym samym utrudniało organizację zajęć pozalekcyjnych, rozwijanie działalności organizacji młodzieżowych,

— zapewnienie dzieciom bezpiecznej drogi do szkoły.

Wyjaśniamy również, że:

1. Liczba podręczników dla uczniów klas I została zatwierdzona do użytku przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, a zajęcia lekcyjne są tak organizowane, że nie zachodzi potrzeba, aby dziecko przynosiło w danym dniu wszystkie posiadane podręczniki. Kontrola przeprowadzona przez dyrektora Szkoły Podstawowej nr 149 nie potwierdziła faktu przynoszenia przez uczniów zbędnych książek w danym dniu nauki.

2. Ostateczny podział uczniów na klasy rzeczywiście został dokonany dopiero po tygodniu od chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Stało się to tak ze względu na fakt, że znaczna część rodziców dokonywała zapisu dziecka do szkoły w ostatnich dniach wakacji, bądź dopiero w pierwszych dniach nauki.

3. Szatnie zostały już oddane do użytku, a żywienie dzieci zostanie uruchomione do 27 listopada br. Budowa części sportowej (basen, boisko, sala gimnastyczna) ma być zakończona w 1979 r., w tym sala gimnastyczna w miesiącu lipcu tegoż roku.

4. Zajęcia z wychowania fizycznego i SKS starsi uczniowie odbywają w sąsiednich szkołach. Natomiast dla uczniów klas młodszych zostanie w miesiącu listopadzie br. przystosowana sala, w której odbywać się będą lekcje wychowania fizycznego.

Przepraszamy za niedotrzymanie terminu udzielenia wyjaśnień na zarzuty zawarte w artykule. Sytuacja ta została spowodowana tym, że w/w artykuł dotarł do nas dopiero 25 października br.

mgr inż. Tomasz Szewc
Wicekurator
Oświaty i Wychowania.

„SPRAWA MAZOVII"

W związku z artykułem, jaki ukazał się w Tygodniku Społeczno-Kulturalnym „Odgłosy" nr 47 z dnia 19 listopada 1978 r. pt. „Sprawa Mazovii" red. Zbigniewa S. Nowaka, Zjednoczenie Przedsiębiorstw Wełniarskich — Północ pragnie poinformować, że w.w. artykuł prezentuje bardzo jednostronny punkt widzenia, stwierdzając, że jedynym rozwiązaniem spraw w ZPW „Mazovia" jest budową nowego zakładu.

Uwzględniając aktualną politykę inwestycyjną partii i rządu, Zjednoczenie widzi możliwość unowocześnienia zakładu bez budowy obiektów odtworzeniowych doprowadzając warunki pracy do optymalnych w aktualnych możliwościach realizacyjnych. Działania te w żadnym stopniu nie eliminują w przyszłości rekonstrukcji przedsiębiorstwa, lecz mają na celu w ramach aktualnie stojących do dyspozycji Zjednoczenia środków, poprawić w dużym stopniu warunki pracy, uporządkować organizację i przebieg procesów technologicznych, stwarzając tym samym możliwości poprawy jakości produkcji, wzrostu wydajności, jak również zwiększenie ilości produkcji.

Poniżej podajemy działania, które już zostały podjęte, będą podjęte w 1979 r., oraz te które są w przygotowaniu. Do nich zalicza się:

1) w latach 1975—77 została wykonana dobudowa tkalni, co umożliwiło na uzyskanej powierzchni oraz części powierzchni istniejącej, zainstalowanie nowoczesnych krosien rapierowych MAV w ilości 104 szt. wraz z maszynami towarzyszącymi. Całkowite uporządkowanie instalacji i pomieszczeń towarzyszących, zakończone zostanie w I kwartale 1979 r.

2) podjęta została i jest realizowana rozbudowa wykończalni. Roboty budowl.-montaż. zakończone zostaną w br. i rozpocznie się przestawianie maszyn, dla umożliwienia prowadzenia prac remontowych na istniejących powierzchniach. Roboty te będą zakończone do końca I półrocza 1979 r.

Jednocześnie park maszynowy wykończalni został w 1977 r. wzbogacony o nowoczesną suszarkę ramową, a w przyszłym roku zainstalowana zostanie dekatura korbowa i nabłyszczarka.

3) aktualnie kończy się roboty związane z instalacją dodatkowego kotła w kotłowni zakładu „A", co umożliwi po wykonaniu parociągu łączącego kotłownię zakł. „A" z zakładem „C" likwidację kotłowni w zakładzie „C", a tym samym zmniejszone zostanie zgodnie z wymogami władz miasta, zapylenie tego rejonu.

4) ze względu na uciążliwość dla otoczenia farbiarni w zakładzie „B" — została ona zlikwidowana, a jej moc zostanie odtworzona w 1979 r. poprzez zainstalowanie aparatów farbiarskich w farbiarni zakładu „A".

5) na przełomie br. a zakończeniem w I kw. 1979 r. jest realizowana wymiana przestarzałych krosien KW w tkalni zakładu „B" w ilości 58 szt., a w miejsce to zostanie zainstalowanych 30 sztuk krosien rapierowych MAV. Działanie to ma na celu zabezpieczenie nowoczesnej bazy technicznej dla utrzymania wielkości produkcji, jak również asortymentu, którym ZPW „Mazovia" może się słusznie szczycić ze względu na jego jakość, charakter itp.

6) został opracowany w przedsiębiorstwie generalny harmonogram porządkowania terenów poszczególnych zakładów w zakresie elewacji budynków i ich wnętrz. Realizacja tych prac zakończona zostanie z końcem kwietnia 1979 r. W tym zakresie przedsiębiorstwu udzielają także pomocy władze miasta m. in poprzez wyburzanie obiektów miejskich co z kolei umożliwi dobre uporządkowanie terenu zakładu „A" przy ul. Barlickiego.

7) aktualnie znajduje się w opracowaniu w Biurze Projektowym dokumentacja na przebudowę zasilania elektrycznego ze względu na to, że poprzednia wymiana maszyn jak i ta, która będzie miała miejsce w 1979 r. zaangażuje wszystkie istniejące do tej pory rezerwy w mocy i jakakolwiek dalsza modernizacja byłaby niemożliwa. Rozpoczęcie realizacji tego zamierzenia planujemy w 1980 r.

Podając powyższe, jesteśmy przekonani, że realizacja tych przedsięwzięć w dużym stopniu tak, jak podawaliśmy poprzednio, poprawi warunki pracy i stworzy możliwości poprawy jakości i rozwoju asortymentowego produkcji.

Przedstawiając powyższe uwagi na tle opublikowanego artykułu, informuję, że osiągane efekty w przedstawionych dziedzinach angażują nieduże środki i realizowane są w krótkim okresie czasu. Natomiast angażowanie kilku miliardów zł nakładów w kilkuletnim cyklu realizacyjnym, ponieważ ten rząd wielkości nakładów inwestycyjnych i czas realizacji jest niezbędny dla odtworzenia tego typu zakładów jak ZPW „Mazovia", w aktualnej sytuacji inwestycyjnej kraju jest niemożliwe. Wychodząc z tych przesłanek, Zjednoczenie prezentuje pogląd, że w świetle aktualnych wytycznych polityki inwestycyjnej opublikowany artykuł jest nietrafny, a sposób swobodnego użycia kilku wierszy cytat z prawie godzinnej rozmowy musi budzić wątpliwości co do rozumienia przez redaktora artykułu, przedstawionych mu przyczyn prowadzonych działań w ZPW „Mazovia" Natomiast sprawa odtworzenia ZPW „Mazovia jest nadal aktualna i będzie podjęta w miarę powstania korzystnych warunków w dziedzinie inwestycyjnej.

Zjednoczenie Przedsiębiorstw
Wełniarskich Północ
Naczelny dyrektor
mgr inż. ZDZISŁAW ZAORSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

ALFA—AMYLAZA I DOKTORAT HONORIS CAUSA

Rozmowa z rektorem Politechniki Łódzkiej — prof. dr hab. EDWARDEM GALASEM

Jakie są Pana zainteresowania naukowe?

— Od ponad dwudziestu lat zajmuję się biochemią techniczną, a w szczególności enzymologią, stosowaną, czyli nauką o enzymach — koloidalnych związkach białkowych wytwarzanych przez żywe komórki. Własności enzymów, np. zdolność przyspieszania reakcji chemicznych zachodzących w żywych komórkach i poza nimi sprawiają, że są to substancje bardzo przydatne w różnych gałęziach gospodarki. Stosuje się je w przemyśle spożywczym, paszowym, skórzanym, włókienniczym, farmaceutycznym i innych.

— Co sprawiło, że przed laty zainteresował się Pan tą nie „uprawianą" wówczas w łódzkim ośrodku naukowym dyscypliną?

— Staż naukowy w Związku Radzieckim. Po ukończeniu w 1955 r. studiów chemicznych w PŁ wyjechałem do ZSRR, gdzie miałem okazję pracować pod kierunkiem wybitnego uczonego — prof. Wacława Leonowicza Kretowicza. Po uzyskaniu w Kraju Rad stopnia kandydata nauk, odpowiadającego naszemu doktoratowi, wróciłem do Łodzi z zamiarem kontynuowania badań dotyczących biochemii, a w szczególności — enzymologii.

— I zorganizował Pan w Politechnice Łódzkiej kolejno: zakład, pracownię, wreszcie — Katedrę Biochemii Technicznej...

— W 1970 roku katedra ta została przekształcona w instytut o tej samej nazwie.

— Jakie prace badawcze wykonuje się w kierowanym przez Pana instytucie?

— Prowadzimy hodowle bakterii, pleśni i promieniowców, a następnie wyodrębniamy z nich enzymy. Dążymy przy tym do uzyskiwania enzmów o własnościach umożliwiających ich praktyczne wykorzystanie. W ten sposób otrzymaliśmy na przykład tzw. ciepłostałą alfa-amylazę. Jest to enzym pochodzenia bakteryjnego, bardzo cenny dla przemysłu ziemniaczanego, cukierniczego, piwowarskiego, włókienniczego i innych.

Alfa-amylaza okazała się potrzebna m. in. w procesie rozpuszczania i rozkładu skrobi — niezbędnego etapu produkcji glukozy krystalicznej i syropu skrobiowego. Zastosowana w piwowarstwie pozwala zaoszczędzić cenne ziarno jęczmienne i jednocześnie uzyskać lepszą jakość piwa. Z powodzeniem wykorzystuje się alfa-amylazę w przemyśle włókienniczym do usuwania z tkanin klejonki skrobiowej. Uruchomienie przemysłowej produkcji tego enzymu, według opracowanej przez nas technologii, pozwoli zastąpić nim sprowadzane dotychczas ze strefy dolarowej preparaty odklejające, np. Aquazym, Enzylase, Biolase i inne.

Interesują nas też inne enzymy ważne dla praktyki gospodarczej, np. subtilopeptydaza umożliwiająca zmiękczanie skór surowych i usuwanie z nich włosia. Uzyskaliśmy obiecujące wyniki, które powinny wpłynąć na uproszczenie i udoskonalenie technologii garbowania skór, poprawę warunków pracy w garbarniach i zmniejszenie zanieczyszczenia środowiska naturalnego.

— Czy prace o charakterze stosowanym wypełniają bez reszty programy badawcze Instytutu Biochemii Technicznej?

— Wiele uwagi poświęcamy także badaniom podstawowym. Nie oddzielamy przy tym jednych od drugich, lecz staramy się tak dobierać tematykę badawczą, by problemy natury poznawczej nie były całkowicie oderwane od praktyki gospodarczej. Z kolei wyniki naszych własnych badań podstawowych wykorzystujemy do prac tzw. stosowanych. Głównymi kierunkami prowadzonych w naszym instytucie badań poznawczych są biosynteza enzymów i biosynteza aminokwasów. Badamy też np. mechanizmy przyswajania azotu przez drobnoustroje wykorzystywane w przemyśle (np. bakterie fermentacji mlekowej). Zespół kierowany przez doc. dr Piotra Moszczyńskiego zajmuje się biosyntezą lizyny. Jest to aminokwas, który dodany do pasz znacznie podnosi ich wartość odżywczą.

— Pana dorobek naukowy był podstawą przyznania Panu najwyższego tytułu naukowego przez Senat Uniwersytetu Strathclyde w Glasgow. Jaki charakter ma ta uczelnia?

— Jest to szkoła wyższa o bogatych — dwóchsetletnich tradycjach, kształcąca dziś ponad 7 tysięcy studentów, w tym ponad tysiąc na różnego rodzaju studiach podyplomowych. Uniwersytet w Glasgow jest dla nas, tzn. dla Politechniki Łódzkiej, bardzo wartościowym partnenem ze względu na dyscypliny naukowe jakie są tam reprezentowane. Mam na myśli takie nauki ścisłe i techniczne, jak chemia, inżynieria chemiczna, matematyka, fizyka, mechanika, architektura, biochemia, mikrobiologia, elektronika i elektrotechnika. Uniwersytet Strathclyde nie jest jednak odpowiednikiem polskiej politechniki. Kształcą się tam nie tylko inżynierowie, ale także np. ekonomiści, administratorzy, socjologowie i nauczyciele. Szkocka uczelnia posiada wydziały: administracji i zarządzania, sztuki i nauk społecznych, farmacji, geologii i inne.

— Od kiedy Politechnika Łódzka współpracuje z Uniwersytetem Strathcylde w Glasgow?

— Od kilkunastu lat. W 1967 roku po raz pierwszy została podpisana umowa o współpracy, która po przedłużeniu obowiązuje do dziś. Jednak zakres naszego współdziałania systematycznie wzrastał i dziś współpracę tę charakteryzuje zupełnie inna jakość niż przed jedenastu laty.

— Na czym dzisiaj polega ta współpraca?

— Obejmuje nie tylko wymianę informacji, dyskusje naukowe, wymianę stażystów i wykładowców, ale także wspólne prowadzenie badań naukowych. Obie strony darzą się wzajemnym zaufaniem. Gość z bratniej uczelni jest dopuszczany do każdego stanowiska badawczego i bez żadnych ograniczeń uczestniczy w pracach badawczych. Współpraca z Uniwersytetem Strathclyde daje nam różnorodne korzyści naukowe (np. możliwość korzystania z aparatury badawczej naszych partnerów) i dydaktyczne. Ze Szkocji przywieźliśmy np. wiele ciekawych spostrzeżeń dotyczących wyposażenia audytoriów w audiowizualne środki dydaktyczne i właściwego stosowania tych środków. Cenimy sobie również możliwość praktycznego doskonalenia języka, który we wszystkich dyscyplinach naukowych stał się już językiem międzynarodowym, a także możliwość nawiązywania osobistych kontaktów przeradzających się niekiedy w głębokie przyjaźnie.

— Ostatni, kilkunastodniowy pobyt Pana i prorektora PŁ prof. dr hab. Zdzisława Kembłowskiego, w Szkocji dostarczył zapewne wielu niezapomnianych wrażeń...

— Trudno je zawrzeć w kilku zdaniach. Przede wszystkim byliśmy przyjęci niezwykle ciepło i życzliwie. Zaskoczeniem był dla nas wyjątkowo bogaty i interesujący program wizyty. Kulminacyjnym punktem była ceremónia nadania honorowego tytułu doktora nauk, nazywanego u nas doktoratem honoris causa.

— Jak ona przebiegała?

— Była celebrowana w sposób bardzo uroczysty. Podobnie jak u nas, Senat Uczelni wystąpił w tradycyjnych togach. W Uniwersytecie Strathclyde są one czerwone i posiadają specjalne kaptury w kolorze niebiesko-żółtym. Ja byłem odziany w taki sam strój, który otrzymałem na własność na znak włączenia mnie do społeczności tej uczelni. Togi kanclerza i pryncypała (kanclerz — to, w naszym rozumieniu, honorowy opiekun, pryncypał — to rektor) są inne — złocone, podobne do królewskich. Kanclerzem Uniwersytetu Strathclyde jest lord Todd of Trumpington — wybitny uczony, laureat nagrody Nobla, przewodniczący Królewskiego Towarzystwa Naukowego w Wielkiej Brytanii.

Po zajęciu miejsc przez Senat i przedstawieniu mojego dorobku naukowego przez promotora, wygłosiłem krótkie przemówienie, które zostało życzliwie przyjęte przez międzynarodowe audytorium. Przemawiał też pryncypał Uniwersytetu Strathclyde — sir Samuel Curran.

Tamtejszy zwyczaj nakazuje, by każde przemówienie było krótkie, nie przekraczające pięciu minut, i obowiązkowo okraszone choć jedną dobrą anegdotą.

Sam akt promocji na stopień honorowego doktora nauk polegał na tym, że podszedłem do siedzącego na podwyższeniu w fotelu kanclerza Uniwersytetu i pochyliłem przed nim głowę, którą on dotknął specjalną, obszytą aksamitem płytką o kształcie małej patelni. Następnie założono mi na głowę ów kaptur, w który zaopatrzona jest toga Uniwersytetu. Kaptur ten mają prawo zakładać tylko osoby posiadające honorowy doktorat Strathclyde University.

Prof. dr hab. EDWARD GALAS — wybitny specjalista w zakresie biotechnologii enzymów, rektor Politechniki Łódzkiej, dyrektor Instytutu Biochemii Technicznej PŁ, otrzymał tytuł doktora honoris causa Strathclyde University w Glasgow. Tę najwyższą godność akademicką szkocki uniwersytet nadał polskiemu uczonemu w uznaniu jego bogatego dorobku naukowego. Bezpośrednio po powrocie z Wielkiej Brytanii prof. Edward Galas udzielił wywiadu przedstawicielowi „Odgłosów".

— A inne wrażenia z pobytu w Glasgow?

— Zostaliśmy przyjęci na koktajlu w konsulacie polskim w Glasgow przez konsula — dr Stanisława Kowalskiego. Obecni byli przedstawiciele Ambasady PRL w Londynie, wielu czołowych brytyjskich uczonych oraz przedstawiciele szkockiej Polonii.

Zwiedziliśmy wyższą szkołę rolniczą oraz instytut naukowo-badawczy zajmujący się mleczarstwem i hodowlą. Przyjął nas też prezydent miasta Perth, w którym mieszka liczna i szanowana tam Polonia. W Perth stacjonowały bowiem polskie wojska podczas II wojny światowej. Sztab dowodzenia wojsk alianckich mieścił się we wspaniałym, zabytkowym, malowniczo położonym na skalistym brzegu morza zamku Culzean. Ten imponujący, bogaty, otoczony pięknym parkiem zamek był naszą stałą rezydencją podczas wizyty u przyjaciół z bliskiej nam szkockiej uczelni.

Rozmawiał:
PAWEŁ PATORA

ANDRZEJ F. GRABSKI

HISTORIA KLASY ROBOTNICZEJ

Pierwsza część tego monumentalnego dzieła ukazała się jeszcze w 1974 r. i została przyjęta przez czytelników i krytykę z ogromnym zainteresowaniem i życzliwością. Już wówczas dostrzeżono bowiem szczególne znaczenie prac nad przygotowaniem poważnej, naukowej syntezy dziejów polskiej klasy robotniczej, podjętych w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk z inicjatywy i pod kierunkiem znakomitego historyka **Stanisława Kalabińskiego**. Obecnie otrzymaliśmy do rąk ciąg dalszy: ogromny, jeszcze obszerniejszy od poprzedniego, liczący blisko tysiąc stron druku volumen, zatytułowany: **„Polska klasa robotnicza. Zarys dziejów"**, będący drugą częścią I tomu całości syntezy. Dzieło to ukazało się — podobnie jak tom poprzedni — nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1978).

Wydana w 1974 r. pierwsza część całości obejmowała dzieje polskiej klasy robotniczej od jej formowania się mniej więcej do roku 1870. Ogłoszona obecnie obejmuje lata 1870—1918 i dotyczy Królestwa Polskiego, Białostocczyzny oraz robotników polskich w imperium rosyjskim — pozostałe części ziem polskich oraz dzieje polskich robotników w innych krajach zostaną omówione w części następnej, oddanej już do druku. Ramy chronologiczne tomu — powiada na wstępie Stanisław Kalabiński — obejmują „prawie pięćdziesiąt lat od zakończenia procesów likwidacji systemu pańszczyźnianego na ziemiach polskich, co dokonało się ostatecznie w latach sześćdziesiątych XIX w., aż do obalenia caratu przez rewolucję w Rosji i obalenia tam z kolei władzy klas posiadających przez Rewolucję Październikową, do załamania się następnie na skutek klęsk militarnych i wewnętrznych ruchów rewolucyjnych Rzeszy Wilhelmowskiej i monarchii habsburskiej, i wreszcie do powstania niepodległego państwa polskiego w pierwszych dniach listopada 1918 r."

Chodzi tu już nie tyle o prezentację długotrwałego procesu formowania się klasy społecznej — bo to zostało już uprzednio omówione — ale o przedstawienie dziejów klasy już ukształtowanej, „rozwijającej się, żyjącej i działającej w warunkach szybkiego rozwoju kapitalistycznego i uformowania się stosunków monopolistycznych".

Właśnie w tej epoce ujawniły się z wyrazistą ostrością wszystkie linie klasowego podziału polskiego społeczeństwa, zaś zasadnicza cecha tych podziałów stawał się — jak podkreślił to Stanisław Kalabiński — „antagonizm klasowy dwóch podstawowych grup społecznych: klasy robotniczej i burżuazji". Antagonizm ten był oczywiście zjawiskiem typowym dla tej epoki, w warunkach polskich miał on wszakże swoje cechy specyficzne. „Właśnie po 1870 r. — ciągnie dalej Stanisław Kalabiński — coraz wyraźniej rzutowała na układ stosunków społecznych i politycznych specyfika ziem polskich — brak wolności narodowej, rozdarcie terytorialne między trzy państwa zaborcze, które prowadziły zagrażająca bytowi narodowemu politykę antypolską, lecz jednocześnie stały się gwarantem „ładu i porządku" społecznego umacniającego się systemu kapitalistycznego. Toteż ucisk narodowy potęgował nierówności społeczne, zaostrzał konflikty polityczne z władzą panującą. W tej sytuacji walka klasy robotniczej z uciskiem społecznym i politycznym stawała się coraz wyraźniej, co otwarcie ujawniło się w rewolucji lat 1905—1907, podstawowym czynnikiem dynamizującym nasze dzieje, głównym motorem tendencji społecznych, politycznych, wyzwoleńczych, niepodległościowych naszego kraju, jego mas ludowych i postępowych demokratycznych kręgów społeczeństwa polskiego."

Wprawdzie redaktor dzieła Stanisław Kalabiński raz jeszcze podkreśla na wstępie, że w rozumieniu autorów praca ta nie jest tak wszechstronną i pełną syntezą o jakiej marzyłoby się badaczom i nazywa ją skromnie „próbą", mamy przecież do czynienia z dziełem w naszej historiografii bez precedensu. Oto na naszych oczach powstaje przebogate w treść, obszerne, panoramiczne, zbiorowe opracowanie dziejów klasy społecznej, która w dziejowym procesie wysunęła się na czoło naszego społeczeństwa, stając się jego hegemonem. Tego rodzaju wielkich historycznych syntez nie ma w nauce historycznej innych krajów, pod tym względem nasi specjaliści wyprzedzili z pewnością nie tylko naszych sąsiadów. A stało się to możliwe dzięki istnieniu wysoko wykwalifikowanej kadry badaczy, dzięki temu że nauka nasza dysponuje bogatym skumulowanym dorobkiem monograficznym, dzięki temu wreszcie, że znalazły się środki po temu, aby myśl opracowania tego rodzaju dzieła wprowadzić w życie. Kto brał udział w jakiejkolwiek zbiorowej pracy naukowej wie, jak trudno jest skoordynować prace poszczególnych autorów i połączyć je w jedną, koherentną całość. Zasługą to Stanisława Kalabińskiego, że mu się to udało.

Omawiany tom wyszedł spod pióra dziewięciu autorów: **Krzysztofa Groniowskiego, Elżbiety Kaczyńskiej, Stanisława Kalabińskiego, Władysława L. Karwackiego, Ryszarda Kołodziejczyka, Zygmunta Łukawskiego, Jana Molendy, Zbigniewa Pustuły i Anny Żarnowskiej.** Z pewnością spotka się z nie mniejszym zainteresowaniem niż poprzedni, pobudzi do licznych dyskusji uczonych i publicystów, skłoni czytelników do snucia refleksji. Sygnalizując ukazanie się tego dzieła chciałbym zachęcić do dokładniejszego zapoznania się z jego treścią. Wówczas będzie czas na podjęcie dyskusji.

Adam Abdański

JESIENNY KAWALER

Mitika był kimś w rodzaju prowizora. Za młodu terminował u sklepikarza dorabiającego się majątku na rozcieńczaniu farb. Potem znalazł się w handlu z nasionami ogrodniczymi. Nie miał ani dobytku ani matki, dawno już zmarłej. Mieszkał w małej klitce u swego chlebodawcy, tam jadał co mu podano, prawie nigdzie nie wychodził. Podczas golenia niechętnie patrzał w lustro. Wiedział, że jest brzydki, niski i chudy jak patyk, z sterczącym wąsikiem pod przydługim nosem. Dziewcząt unikał od czasu, gdy usłyszał od jednej: „I tobie się czegoś zachciewa?". Zaparł się wówczas, zamknął w sobie i postanowił, że znajdzie na to sposób. Ciułał grosz do grosza, nie palił, nie pił, nie chodził do kina ani do teatru, nie kupował gazet. Biblioteka publiczna była bezpłatna, z niej wypożyczał książki i dzienniki. Nadszedł wreszcie dzień, w którym odniósł do banku znaczniejszą sumę. Zadrżała mu ręka, kiedy odbierał książeczkę czekową. W tej chwili poczuł się inny, mocniejszy.

Toteż wkrótce pożegnał szafki i półki, skąd szły zapachy wsi. W pobliskiej drogerii zabrakło pomocnika. Tam się udał i tam pozostał, by dowiedzieć się wszystkiego o szminkach, wytwornych mydłach, perfumach i pudrach. Aby być bliżej kobiet i dziewcząt, stać się ich doradcą, a z czasem władcą ich słabostek.

Zanim się spostrzegł, posiwiały mu skronie. Gdy stuknęło lat czterdzieści i dobił do sporego kapitału, zaczął po nocach rozmyślać. Co zrobić z sobą, jak postąpić z majątkiem. W miasteczku wyznawano się nieźle, obliczano jeszcze lepiej, zazdroszczono nad wyraz. Gdy przechodził ulicą, uśmiechały się do niego kobiety i coś tam o nim szeptały chichocząc i oglądając się za nim, co przedtem nie zdarzało się nigdy. Przemyśliwał więc i upewnił się, że nadszedł czas, aby wszystkich zaskoczyć.

Stary kawaler. Nikt mu tego wprost nie powiedział, ale niejeden zapewne tak pomyślał. Jaki jest, wiedział i nie wymagał za wiele. Jednak kobietę chciał mieć okazałą, o bujnych kształtach, silnych i tęgich udach. Taką ujarzmiać co dzień, co wieczór, to potwierdzenie własnej mocy, to utrwalanie własnej wartości w oczach całego miasta. Innej nie chciał. Les contraires se touchent, pamiętał jeszcze ze szkoły, niby o przyciągających się kontrastach, i był wdzięczny nauczycielowi za obcojęzyczne porzekadło legalizujące jego tęsknoty.

Niekiedy był dziwny i sam o tym wiedział. Gdy ktoś na niego rzucił jakimś słowem, zaraz przymierzał je do siebie, wdziewał je niejako, wchodził w jego wnętrze i sprawdzał, jak się w nim czuje, czy mu w nim „do twarzy". Bywało różnie. Pamiętał dwa zdarzenia z lat młodych, niezwykłe i zastanawiające. Gdy w szkole nauczyciel nawymyślał mu od leni, natychmiast zwiotczały mu mięśnie, myśl spowolniała, a słowa gdzieś się schowały. Wystarczył jeden wyraz, aby Mitika stał się jego treścią i był nią bardzo długo, jakkolwiek nie był nią w istocie. Uległ jednemu określeniu, znalazł się w nim z obcej woli i został przez nie uformowany. Innym znów razem bawiono się w cyrk i demonstrowano figury gimnastyczne. Mitikę ustawiono na podium, po czym jeden z kolegów wykręcał mu przedziwnie kończyny, kark i głowę. Miała to być nadrealistyczna propozycja. Gdy prezentacja dobiegła końca i artystę wezwano do wyprostowania członków, nie mógł tego dokonać sam. Współgrający pomogli mu w tym bez trudu. Znów więc nie mógł się pozbyć narzuconej sobie postawy i zgoła nie był zachwycony kolportowanym przez uczniaków określeniem, że to „człowiek z plasteliny".

Taki był Mitika, nie należy się więc dziwić, że wiedząc o umownym, lecz wytwornym określeniu starokawalerstwa, uległ i tym razem. Wżył się w czar i barwy trzeciej pory roku. Skoro jest już niemłody, jesienny, a z tym słowem jak z lasem zjednany, niechże sobie wreszcie na tę nazwę zasłuży. Wolno zwierzętom mieć barwy ochronne, dlaczego nie miałby tak się dostroić zewnętrznie, aby — gdy wśród drzew stanie lub do któregoś z nich przylgnie — nie być jak jedno z nich lub wręcz jednością z nimi?

Mitika doszedł do przekonania, że wolno mu już mieć zachcianki, że mógł sobie na nie pozwolić. Po prostu chciał pogrymasić, pokazać język swojej przeszłości. Czas już, by odpowiednio się nosić, skończyć z wysługiwaniem się innym i pomyśleć o własnym kącie.

Stanął zatem na rogu ulicy, lecz zamiast pójść po materiał do swego stałego dostawcy, znalazł się, nie wiedząc jak, w magazynie Lenucy. Znał ją z widzenia, podobała mu się od pierwszej chwili, nęciła postawą, kształtami i zniewalającym wdziękiem. Chwalono ją powszechnie, że zaradna, niebiedna, dobra kupcowa i że wzorowo chowa swe dwie córki. Dawniej nie byłby o niej myślał, nie starczyłoby mu odwagi, ale teraz obrósł w pierze i może z nią postępować jak równy z równym.

Gdy wyjaśnił cel swego przybycia, przejęła od razu prowadzenie.

— Ależ naturalnie, powinien pan więcej myśleć o sobie, dbać o ubiór, dobiorę według życzenia, doradzę, pomogę we wszystkim.

Stało się to tak szybko i sprawnie, że nawet nie próbował oponować i wcale tego nie chciał.

— Nazywają mnie jesiennym kawalerem. Po prawdzie nie jestem już młody, więc zależy mi na materiale we właściwym kolorze — zażartował i podał na wzór kawał kory.

Lenuca wyrzuciła na ladę kilkanaście zwojów sukna, porównywała starannie z drewnem i wybrała kupon nie odbiegający odcieniem.

— Jest, jak pan sobie życzył. Wypada jeszcze dostosować krawat.

— Zgoda, w uzupełniającej tonacji.

Godzina była wczesna, ulice prawie puste, nikt do sklepu nie wchodził. Rozmawiało się o sprawach obcych i własnych, padały słowa coraz cieplejsze i bardziej osobiste. Lenuca wypytywała z ciekawością o ulubione potrawy, o podział dnia, o plany zawodowe i wzajemnie odpowiadała o swoich. Wychwalała córki, podkreślała skromność i domatorstwo, uczucia rodzinne. Przyjęła z radością, że Mitika bardzo tęskni za domem, że mu obrzydło ustawiczne dzielenie się między sprawy zawodowe i gospodarstkie, że czuje się na siłach, by założyć własne ognisko.

— Więc na cóż pan jeszcze czeka? Tyle tu wolnych kobiet.

Nie omieszkała dodać, że chętnie poszłaby z nim do krawca, wybrała fason, a przy tej sposobności pomogła uzupełnić bieliznę. Gdy Mitika sklep opuścił, mógł sobie powiedzieć, że sprawunki się powiodły. Miał co zamierzał i to, czego nie spodziewał się tak szybko.

* * *

Wszystko nastąpiło po tym jednym słowie. Nie była to zresztą pierwsza i jedyna sprzeczka. Ostatnio zdarzały się nieporozumienia coraz częściej, a już najgorsze było to, że z tego samego powodu. Właściwie układało się nieźle. Zarobki wystarczały na dostatnie życie. Nie dorównywały dawniejszym, co prawda nie były nawet o wiele niższe, ale wydawało się więcej, nie tyle na żonę, ile na córki. Już nazajutrz po ślubie zaczęły się pretensje. Przypomniały się wtedy Mitice przestrogi matki, aby nigdy i za nic nie brał kobiety z dziećmi, a zwłaszcza z córkami. Bo wówczas będzie harował tylko na ich stroje, a żona będzie dbała nie o niego, lecz o to, aby panienki jak najpiękniej wyglądały, podobały się i znalazły sobie adoratorów. Nawet gdy będą zamężne i tak będzie na ostatnim miejscu, bo dzieci są zawsze i pozostają dla matki dziećmi.

Dziś sam przyznaje, że postąpił głupio. Po co się przyznawał do pieniędzy, chwalił książeczką czekową i pysznił jak paw? Nie mógł wszelako inaczej, chciał Lenucę zachęcić, bardzo mu zależało, bo nie jest za piękny, ludzie by się z niego nabijali, ona zaś od razu dobrała mu krawat i materiał na ubranie w klorze kory, odstąpiła lokal na drogerię i była mądra. O, jaka mądra! Przed ślubem na książeczki ani spojrzeć nie chciała, odwracała głowę, musiał się z nią wykłócać o przyjęcie choćby najdrobniejszego upominku, kino i lody sama sobie płaciła, a dziewczynki były tak skromne, że na imieniny nie pozwalały sobie kupić nawet po jedwabnej wstążce do włosów. Lenuca powtarzała nie raz i nie dwa z mocą i dobitnie, że po połowie będę dzielić koszty utrzymania, a walory będą należeć do każdego oddzielnie, by nie stwarzać kłopotliwych sytuacji i jakiejkolwiek zależności materialnej czy moralnej, bo jedna wiąże się z drugą i prędzej czy później da znać o sobie. Podsunęła przynętę nie byle jaką, łaskoczącą pod sercem: szacunek dla jego pracy, nietykalność jego dorobku i współdziałanie po jego myśli. Sam, z dobrej woli, dałby nie raz i nie jedno, bo przecie z sobą nie weźmie, ale podejść go wydzierać kłótnią i krzykiem... Z chłopów jest, twardy i robotny, jego nikt mu siłą nie weźmie i tuczyć się nim nie będzie. Wziął na ambit, wie co zrobi. Dom starców zbuduje, albo sierociniec. Samotny — opuszczonym, anonim — nieznanym.

Hardział więc Mitika duchowo, sam się nieustannie podburzał. Zdawało mu się, że sprosta naporom domowym, zaciskającym się wokół niego. W czasie przerw obiadowych i wieczorami zamykał się w sklepie pod pozorem, że porządkuje towary i księgi handlowe, godzinami przemierzał lokal i coraz częściej zaglądał na półki i do szuflad z ziołami. Tu czuł się naprawdę u siebie, tu nabierał mocy. Nikt wprawdzie nie przeszkadzał, ani żona ani przybrane dzieci, bo w rzeczy samej nikt się nim w rodzinie nie interesował. Ale tu mógł dojrzewać do pewnych ustaleń, które nie mogły zakiełkować w atmosferze codziennych i przyziemnych swarów.

Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy dziwne, a podejrzane. Gdy Mitika pojawiał się na ulicy, zwłaszcza w pomniejszym zaułku, jak spod ziemi wyrastały watahy dzieciarni, otaczały go kołem i przedrzeźniały okrzykami „chomik, chomik", po czym rozpraszały się, kryły za węgłami domów i stamtąd naśmiewały chichocząc piskliwie. Mitika pozornie nie zwracał uwagi na te brewerie, choć go zawstydzały i poniżały. Szedł smutny, z opuszczoną głową nie patrząc nikomu w oczy. Wiedział, że perswazją nic nie wskóra u rozwydrzonych uliczników, a wszelkie groźby i gwałtowniejsze uwagi podniecą ich jeszcze bardziej. Liczył na to, że znudzą się szybko, jak to bywa u smarkaczy.

Dopiero w domu, a raczej w sklepie, gdy nieco ochłonął, mógł nad tym pomyśleć. Te same przezwiska, jakimi obrzucano go jak kamieniami na drogach, słyszał we własnym mieszkaniu, ciskane na niego zza ścian lub prosto w twarz przez Lenucę i jej córki. Ileż to razy, gdy odmówił pieniędzy na ich wydatki, na ich niepotrzebne zakupy, wykrzykiwały: „chomik, chomik", a rzadziej „wiewiórka"! Jak często te same obelgi rozlegały się pod jego oknami, z zewnątrz, powtarzane przez bandy urwisów! Jak gdyby między jego domem a resztą miasta nie było przegrody z cegieł i tynku, to, co działo się we wnętrzu, działo się też na oczach wszystkich.

Trwało tak już kilka tygodni. Mitika coraz rzadziej wychodził za dnia do miasta, a jeśli już, to sobie znanymi krętymi poboczami wymykał się do ukochanego lasu. Oglądał wyłącznie pnie stare, spękane, z głębokimi szczelinami, w które wkładał jak najgłębiej ręce szukając dna. Mierzył wymiary rozpadlin, ich długość i szerokość, zatrzymując się przy najbardziej pojemnych. Uważnie wpatrywał się w podstawy drzew, a gdy dojrzał większą jamę czy podkop, przydatne dla zwierzęcia leśnego, stał długo i nad szymś rozmyślał. Potem przykładał do ciemniejącej kory zgięty łokieć i porównywał z nią kolor jesionki.

Sąsiedzi i znajomi zastanawiali się nad przyczyną niezwykłego zachowania się drogerzysty. Wyglądało na to, że nie umie się zdobyć na odruch obronny, bo że nie chciał, w to nikt nie wierzył. Jeszcze przed małżeństwem nie było do pomyślenia, aby się pozwolił napastować przez sztubaków i to publicznie. Ci, co go znali, stwierdzali zgodnie, że zaszła w nim jakaś zmiana, której nawet najroztropniejsi ani sobie, ani innym nie potrafili zasadnie wyjaśnić. Postarzał się po prostu, twierdzili niektórzy, zleniwiał, albo też zmądrzał tak dokumentnie, że niczym się nie przejmuje, bo niczym przejmować się nie warto.

Jeszcze większe zaciekawienie wywołał księgarz, który nie w złych zamiarach, lecz dla ożywienia martwoty w swej oficynie, rozgłaszał na prawo i lewo, że Mitika często go odwiedza i dopytuje się o „Życie zwierząt" albo jakikolwiek inny podręcznik zoologii, choćby używany. Dziwił się tylko, że nie korzysta z biblioteczki córek, gdyż pamięta dobrze, że takie tytuły u niego kupowały. Mitika wszakże udawał, że propozycji nie słyszy, a może nawet nie udawał. Zauważył bowiem od niedawna, że zmniejszają mu się małżowiny uszne, przyjmują kształt spiczasty z pędzelkiem włosów na szczycie, a słuch zyskuje na ostrości po zapadnięciu zmroku. Gnębiła go bezustannie niepewność, jaki naprawdę jest kolor sierści czworonogiego kolekcjonera. Ten szczegół wydawał mu się bardzo ważny, a określenie książkowe, stereotypowe i niedokładne, bez barwnej tablicy, nie ułatwiało rozwiania wątpliwości. Toteż gdy się okazało, że pobliski sąsiad posiada takie wypchane zwierzątko, wypożyczył je sobie na krótko z zastrzeżeniem, aby o tym nikt się nie dowiedział.

Przez kilka dni z rzędu, w świetle słonecznym i rozproszonym, przykładał Mitika wypożyczony eksponat do ubrania i płaszcza, sprawdzał odcienie, kiwał głową, pomrukiwał, wreszcie doszedł do wniosku, że harmonizują z sobą a nawet zlewają się prawie w jedno tak, że trudno je będzie rozróżnić. Był bardzo zadowolony z tego odkrycia, przy obiedzie żartował, co wywołało zdziwienie i cichą nadzieję Lenucy na poprawę stosunków rodzinnych, lecz gdy odchodził od stołu, powiedział jej i córkom:

— Nazwałyście mnie chomikiem, więc...

Nie dokończył, zdanie zawiesił w połowie, wszedł do swego azylu, drzwi zamknął na klucz. Znów spojrzał w lustro. Wydawało mu się, że marynarka i spodnie są za obszerne i za długie. Brała go też chętka, aby pochylić się ku przodowi, oprzeć na rękach i w ten sposób poruszać się po pokoju.

Lenuca nie przewidywała, że natrafi na bierność cięższą do pokonania niż najczynniejszy opór. Niepokoiła ją, że Mitika stopniowo malał i coraz widoczniej pochylał się ku przodowi ze zgiętym w kabłąk grzbietem, że coraz częściej rękami opierał się o podłogę, a nawet niekiedy chodził małpio, na czworakach. Stawało się to szczególnie widoczne, gdy w czasie sporów padła wzmianka o chomiku. Mitika przyjmował wówczas natychmiast tę niezwykłą postawę poruszając szybko wąsikiem, jak to czynią gryzonie.

Minęły tygodnie, spadł pierwszy śnieg, przymrozki zapowiadały wczesną zimę. Lenuca nie spała po nocach, bo były zbyt księżycowe, a może dlatego, że musiała coś postanowić. Czuła się na oczach wszystkich, bała się śmieszności i utraty twarzy. Trzeba było rozmówić się ostatecznie. Jeszcze raz wyłożyła swoje żądania, jeszcze raz Mitika odmówił.

— Wobec tego opuść mój dom, ty... chomiku. I to zaraz, razem z twoimi pieniędzmi.

Jak dotknięty rozpalonym żelazem zwinął się w sobie i pochylił jeszcze niżej ku ziemi.

— Dobrze, odejdę. Łatwiej drewno zrasta się z człowiekiem, niż ludzie z ludźmi.

Lenuca nie zrozumiała ostatniego zdania, chciała zapytać o jego sens, ale w pokoju nikogo poza nią już nie było.

Jeszcze tego samego wieczora Mitika spakował małe zawiniątko i znalazł się na ulicy. Było pusto i późno, światła gasły, zbliżała się godzina spoczynku. Na przedmieściu dobiegł go śpiew podpitej dziewczyny:

Beatka nie chciała dać kwiatka,
więc kwiatek dała Agatka.
Z tego morał niewinny:
nie dasz ty, da kto inny.

Poznał głos Reti. Wracała z dworca, gdzie dźwigała bagaże podróżnych. Mieszkała samotnie w jednej izbie pobliskiej chatki. Gdy odwiedzał ją mężczyzna, zasuwała zasłonki w małych, niskich okienkach. Biedna kobieta — mawiano — nic jej nie pozostało. Gdy ukazała się zza węgła, Mitika chciał ją wyminąć. Poznała go z miejsca, choć chód miała chwiejny.

— Dokąd to, Miticzku-chomiczku, o tej porze? Tak jakoś zmalałeś, takiś mikry i wąsikiem ruszasz, jakbyś był nim naprawdę. Ależ cię żonka urządziła! Pójdź lepiej do mnie, ogrzejesz się, zjesz coś.

Mitika mocniej skurczył się i skulił, ledwo odstawał od ziemi. Słowa nie rzekł i szedł bezwolnie za Reti. Gdy się posilili, a potem pokrzepili kilkoma kieliszkami śliwowicy, zaproponowała mu nocleg, bo gdzie tam chodzić po nocy. Początkowo chciał się zgodzić, ale gdy mu dobrze zaszumiało w głowie, odmówił tłumacząc się, że chyba wypadałoby mu dziś jeszcze wrócić do domu.

— Strach cię opadł przed Lenucą. Jaki tam chłop z ciebie, idź już, idź — drwiła niemiłosiernie.

Poprosił Reti, aby mu do jutra przechowała tłumoczek, gdyż obawia się, by go kto po drodze nie obrabował. Dodał, że nazajutrz znów się pokaże, podziękuje za dobre serce i że jej tego nigdy nie zapomni. Gdy zamknęły się za nim drzwi chatki, rozejrzał się wokoło, a że nie dostrzegł nikogo, oddalił się zgarbiony, sunąc tuż nad ziemią, i poszedł w kierunku swego do niedawna mieszkania. Ale gdzieś w połowie drogi zatrzymał się, podumał chwilę i wolno, jak duży szczur, przemykał się do lasu wzdłuż murów i płotów.

Odtąd po drogerzyście wszelki ślad zaginął. Początkowo nie zwracano uwagi na jego nieobecność, znano bowiem jego dziwactwa i ostatnio okazywaną niechęć do ludzi. Lenuca sądziła, że rozporządzając pokaźną sumą dokądś wyjechał i tam się przyczaił. Skrywała nadzieję, że wkrótce jednak powróci i obiecywała sobie solennie zmienić swój stosunek do niego na lepszy i sprawiedliwszy. Nie przyznawała się jednak nikomu do tej wewnętrznej przemiany i pewnego rodzaju skruchy, nosiła się wysoko i udawała obojętność. Któregoś dnia zgłosiła się do władz o pomoc w odszukaniu męża. Niemal tej samej nocy, kiedy to Mitika obrał cel inny od zamierzonego, zaczęło dąć od pól i wyć w kominach, a wzmagająca się śnieżyca zasypywała każdy ślad. Wypytywano wielu mieszkańców i sąsiadów, ale nie uzyskano wyjaśnień, gdyż w tym czasie nikt nie widział zaginionego. Dni były coraz krótsze, pogody odstręczały od zapuszczania się w tereny nieuładzone, drętwota ogarniała ludność, odgłosy wydarzenia przycichły.

Jak to nieraz bywa, rozwiązanie przyszło nagle i w chwili najmniej oczekiwanej. Któreś niedzieli, w pełni wiosny, wpadły dwie zadyszane dziewczynki z pieskiem na smyczy do Lenucy i już od drzwi przekrzykiwały się wzajemnie:

— Proszę pani, proszę pani, nasz Cezar znalazł pani męża.

— Jakiego męża?

— Pani męża. Nazywał się Mitika albo chomik.

— Gdzie? Co wy tam też wymyślacie?

— Naprawdę. W lasku. Niech pani pójdzie z nami. Zaprowadzimy.

Przerażona wybiegła za dziećmi i wnet znalazła się wśród starodrzewu, gdzie wokół potężnego, wiekowego pnia zgromadził się pokaźny tłum. Przewodził mu zaalarmowany sierżant z pomocnikami, którzy starali się utrzymać porządek i przygotować wszystko na przyjście ekipy śledczej.

— Poznaje pani?

Z dziupli olbrzymiego drzewa wystawało coś na kształt dużego garbu, pokrytego suknem, o rysunku i barwie łudząco zgodnych z korą. Poprzerastały go już młode gałęzie z wypuszczonymi pąkami i drobnymi liśćmi. Wrósł w drzewo, z nim się zespolił, został przez nie przyjęty i włączony w bieg świata.

— Tak, to Mitika.

Zjawił się zespół śledczy. Wydobył, nie bez trudności, ciało z dziupli, porwał i przeciął jego związki z dnem i ścianami. Urzędowo nie zgłoszono zastrzeżeń, określając zdarzenie jako zamarznięcie z przypadku, bez winy osób postronnych. Tylko Lenuca nie miała tej pewności, zamierzała zaproponować, by jamę zabetonowano wraz z zawartością, bo takie miejsce wyśniła sobie na grobowiec, ale po namyśle zrezygnowała.

Gdy po kilku latach przypomniano sobie tę historię, Lenucy nie było w miasteczku. Podobno starała się o przyjęcie do klasztoru wnosząc tam, z pominięciem córek, całe swoje mienie. Najwięcej domysłów krążyło wokół Reti, która wkrótce po pogrzebie Mitiki gdzieś się ulotniła, jakoby wyszła za mąż, kupiła domek i żyła dostatnio. Ale nikt nie łączył jej osoby z osobą drogerzysty.

Fragmenty opowiadania z tomu „Historie rumuńskie".

KONRAD FREJDLICH

L'ETRANGER (2)

W powieści Alberta Camusa „L'etranger", co znaczy po prostu „Obcy", jest zdanie: „Często myślałem wówczas, że gdyby zmuszono mnie do życia w pniu uschniętego drzewa, gdzie jedynym moim zajęciem byłoby oglądanie barwy nieba ponad moją głową, z czasem przyzwyczaiłbym się do tego". Żeby zrozumieć sens tego twierdzenia, trzeba mieć za sobą doświadczenie Henryka Słotwińskiego.

I.

W domu Amandy Stasiorki mały „Masskote Batailon" uczy się uczuć elementarnych. Batalion 202 jeszcze stacjonuje w Bischwiller, lecz feldfebel Steinke stara się przygotować chłopca do nowej sytuacji: życia w rodzinie, choćby przybranej. Henri buntuje się, przyjmuje bowiem tę nową sytuację jak karę, a nie wie, za co został ukarany. W morzu ukraińskiej nienawiści, w krwawych potyczkach batalionu, który unikał zasadzek, ale i sam nie pozostawał dłużny przeciwnikom, uczuciowość chłopca uległa przerażającej redukcji. Ciepło, którym darzy Stasiorka wybiedzonego przybłędę, przyjmuje on jak coś z gruntu niezrozumiałego, podejrzanego. Drażni go cywilny łach, który pedantycznie składa przed snem w kostkę, jak wcześniej składał swój uniform. Dochodzi nowy element niepewności: bariera języka. W domu Stasiorki, podobnie jak w Batalionie, mówi się po polsku, ale w osadzie jest już Henri niemową i tylko czuje podskórnie wzgardę obcych. Nazywają go kąśliwie L'etranger i to określenie wryło mu się w pamięć, jest zrośnięte z dokumentami, które towarzyszą jego życiu, jest związane trwale ze wszystkim, co robi.

Zaczyna się już we francuskiej szkole, do której uczęszcza przez trzy lata, i już nie tylko domyśla się sensu, ale wręcz rozumie słowo: L'entranger. Przybrana matka stara się natchnąć go otuchą, ale on odrzuca ze wzgardą jej starania. Jest obcy, także w rodzinie, która go przygarnęła i z sentymentem wspomina niewygody życia wśród żołnierzyy.

Zresztą, ciągnie go znowu w świat, tym razem do Polski, o której słyszał, że znowu powstała. Nie ma jeszcze dziesięciu lat, kiedy postanawia wpław przepłynąć Ren i wędrując piechotą przez Niemcy, dotrzeć do tej mitycznej Polski, w której żyje jego rodzony ojciec. Rzuca się w fale rzeki pod Hagenau, ale zatrzymany przez straż graniczną znów wraca do swojej opiekunki. Dopiero teraz rozumie, że krzywdził swoją opiekunkę, która przygarnęła go jak matka.

Trzeba się pogodzić z sytuacją, ale on nie potrafi. Przy pierwszej sprzyjającej sposobności ucieka z domu Stasiorki i zgłasza się ochotniczo do Legii Cudzoziemskiej. Dziecko wojny godzi się, za cenę dokumentów, które umożliwią mu samodzielne życie, zostać psem wojny. Francuska armia kolonialna ponosi klęski w Wietnamie, ale nieletni nie może zaciągnąć się na wojnę. Więc znów trzeba wrócić do Bischwiller i z pokorą znosić swój los.

2.

Francja kolonialna rozpada się. Po klęsce pod Dien-Bien-Fo w Indochinach panoszą się teraz Amerykanie. Ale kolonialne rachunki nie są jeszcze zakończone. Henri Słotwiński spóźnił się na wojnę wietnamską, ale zdążył w samą porę na algierską. Jest rok 1955. Legion Etrangere został skierowany do Algieru, w celu stłumienia powstania Comite Revolutionnaire pour l'Unite et l'Action. Korzystając z okazji Henrii Słotwiński ponownie zgłasza się na ochotnika. Tym razem przyjęto go. Przechodzi intensywne szkolenie w Strassburgu i Marsylii. Potem jego oddział zostaje załadowany na statek, który zdąża do Afryki. Tam, w bazie Sidi-Bela-Bes-Algerie Słotwiński, służąc w żandarmerii, pobiera lekcję afrykańskiej wojny. Mówi o niej niechętnie, zamykając wszystko w jednym zdaniu: „Souvenier maleraux".

Te „niedobre wspomnienia" spróbował po latach podsumować w liście do ministra Michela Poniatowskiego, gdzie wspomniawszy swoje kresowe dzieciństwo, próbował też wywołać z mroków krzyk i płacz algierskich dzieci w arabskich dzielnicach miasta.

Legia Cudzoziemska, to formacja wojskowa o niedobrej sławie. Utworzona przez Francuzów ponad sto lat temu, grupuje w swoich szeregach ludzi o nieokreślonej przeszłości, którzy podpisują kontrakt zastępujący przysięgę wierności. Złamanie tego kontraktu jest przez francuskie sądy traktowane na równi z dezercją. Kiedy Słotwiński zrozumiał, że cele wojny algierskiej są mu obce, nie próbował więc ucieczki, tylko unikał aktywności. Nie uchroniło go to przed chorobą, a kiedy wyzdrowiał znów musiał słuchać płaczu algierskich dzieci. Dzięki przyjaznym kontaktom z Arabami, udało mu się przetrwać brudną wojnę. Miał jej dość podwójnie: jako sprzecznej z jego wyobrażeniami o walce (i dlatego, wychodząc z Algieru w 1961 roku nie zaciągnął się, jak niektórzy jego koledzy, pod sztandary amerykańskie, aby pojechać na następną brudną wojnę do Indochin). I jako tego zła, które uczyniło go na całe życie kalegą.

Mimo algierskiej przeszłości, gdzie stracił zdrowie dla Francji, był Słotwiński wciąż L'entranger i kiedy wyczerpały się środki, musiał znowu korzystać z polskiej pomocy. W Paryżu, gdzie się znalazł, nie chcąc wracać do Bischwiller, dostał pracę w mleczarni, której właścicielem był... Polak. Henri'ego ratowało właśnie to, że nie zapomniał swej rodzinnej mowy, choć jego akcent był popsuty przez naleciałości niemieckie i francuskie, bo życie wśród obcych robi swoje. W Paryżu wegetował zamieszkując w tanim hoteliku, a na koniec miesiąca zostawały mu same guziki. Przepracował tak osiem czy nawet dziewięć miesięcy, kiedy odnowiła się choroba z Algierii i musiał iść do lekarza, który bez namysłu skierował go do szpitala Beaujou w Paryżu. Leżał tam sześć miesięcy walcząc ze śmiercią, ale zahartowany w tułaczkach organizm, okazał się silniejszy niż można było przypuszczać. I zrujnowany materialnie musiał wyjechać do niskich Alp na dalszą kurację. W grę wchodziło odszkodowanie, ponieważ choroby nabawił się na wojnie, toteż czuł się zabezpieczony, mimo, że przeszedł ciężką operację, po której przyznano mu 50 proc. utraty zdrowia i związaną z tą sytuacją rentę. W międzyczasie bowiem przyznano mu obywatelstwo francuskie.

Tam, w sanatorium Hauteville 01, poznał swoją przyszłą żonę Marie — Rose która była pielęgniarką. Podczas rekonwalescencji ukończył szkołę handlową i podjął pracę w Lyonie. Potem przeniósł się do Grenoble, gdzie ma udziały w domach towarowych i korzystną pozycję społeczną i rodzinną. Z małżeństwa z Marie — Rose przyszło na świat pięcioro dzieci. Najstarsze dziecko, syn Jean Francois; ma dziś piętnaście lat, najmłodsze, także syn Vincent lat sześć. Jest jeszcze Bernard oraz dwie dziewczyngi Agnese i Marie — Claire.

Ale to nieoczekiwane powodzenie, po latach klęsk, porażek, błądzeń, nie potrafiło wyleczyć Henryka Słotwińskiego z nostalgii, która prześladowała go po nocach. Nie umiał i nie chciał zapomnieć, że urodził się Polakiem, że gdzieś tam, oddaleni przez czas, kilometry i wojenne splątania, żyją jego bracia i siostry, żyje ojciec. Kiedy Ludwik Słotwiński stracił już ostatecznie nadzieję na odzyskanie syna, Henri, już dojrzały, postanowił odnaleźć swoich najbliższych.

Henryk i Witold Słotwińscy spotkali się po latach

3.

Poszukiwania poprzez Service International de Recherches, nie przynosiły rezultatów, chociaż pracownicy służby poszukiwań okazali dużo dobrej woli. Potrafili nawet odszukać w Republice Federalnej Niemiec rodzinę feldfebla Steinkego, bo pierwszy opiekun Słotwińskiego już nie żył. Ale na ślad Ludwika Słotwińskiego Service de Recherches jakoś nie potrafiła natrafić. Więc Henri zwrócił się do Michela Poniatowskiego, który wydawał mu się człowiekiem najwłaściwszym, ze względu na polskie pochodzenie. Kiedy zaś i ta próba zawiodła, Henri zwrócił się wprost do prezydenta republiki francuskiej, Giscarda d'Estaing. Dostał z kancelarii prezydenckiej wymijającą odpowiedź, a konkretnych rezultatów i tak nie było. Próbował więc z kolei zainteresować swoją sprawą dziennikarzy. Nawet oni nie potrafili wiele zrobić.

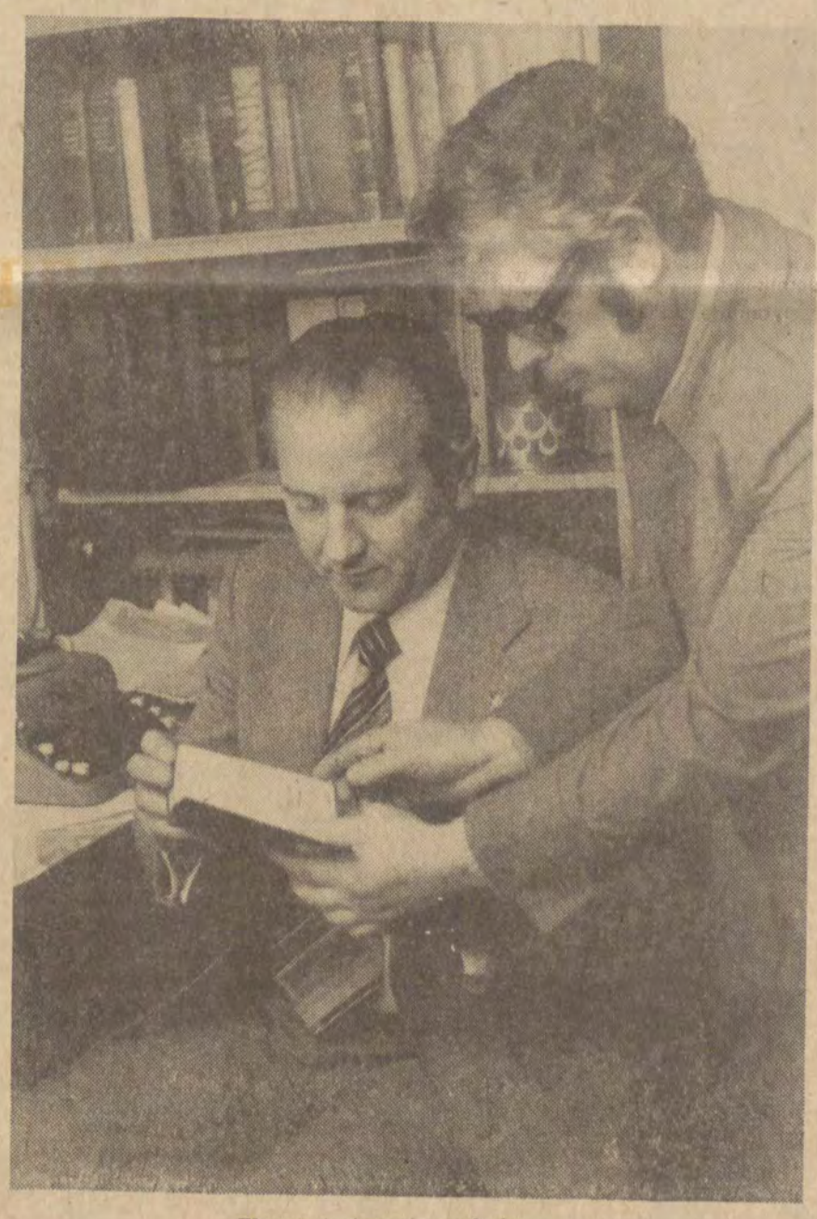

Wspomnieniom nie ma końca

Zadecydował przypadek. Opowiedział swoje losy inżynierowi Garczyńskiemu, którego brat mieszka w Warszawie. Dopiero ten kontakt okazał się właściwy, gdyż sprawa Henryka Słotwińskiego trafiła do audycji „Świadkowie". 17 lipca 1978 roku na adres Słotwińskiego w Grenoble nadszedł telegram wysłany przez redaktora Szatkowskiego. Donosił w nim, Henrykowi, że jego najbliżsi zostali odnalezieni.

Oddajmy na chwilę głos Andrzejowi Preyssowi, który pisał w gazecie z Wybrzeża:

„Antonina i Ludwik Słotwińscy odpowiedni dokument w sprawie poszukiwania Henryka złożyli w Centralnym Biurze Poszukiwań PCK w 1946 roku, wkrótce po osiedleniu się w Prabutach. Po jakimś czasie ponowili te czynności. Odzewu nie było żadnego. Malała nadzieja na odzyskanie chłopca.

Sprawa odżyła na nowo 15 sierpnia br., gdy do domu Słotwińskich przyjechały z Elbląga dwie przedstawicielki PCK. Pytały domowników, czy poszukują syna Henryka, o szczegóły rysopisu. Nadzieje wzrosły. PCK i redakcja audycji „Świadkowie" działały jednak bardzo ostrożnie, delikatnie, nie chcąc rozczarować rodziny. W kilka dni potem przyjechał do Prabut red. Jerzy Szatkowski z TV. Zadał podobne pytania. Była też mowa o pamiętnym pożarze w Antonówce, którego sprawcami byli Henryk i Stanisław.

Redaktor audycji „Świadkowie" już prawie nie miał wątpliwości, ale nadal działał ostrożnie. Poszła na antenę pierwsza audycja poświęcona Słotwińskim. Pokazano wtedy zdjęcie Henryka w mundurze „polskiej maskotki".

Antonina i Ludwik Słotwińscy, a także najstarsi z licznego potomstwa mieli najlepsze nadzieje".

Kiedy nadszedł telegram wzywający go do przyjazdu do Polski w drugiej połowie września, Henri Słotwiński bez namysłu wziął urlop i pierwszym samolotem wylądował w Warszawie. Był 9 września 1978 roku, przylatywał dziewięć dni przed wyznaczonym spotkaniem. Przed dworcem zagranicznym na Okęciu wsiadł do taksówki i kazał się wieźć do Telewizji na Woronicza. Było to w godzinach, gdy redakcje już nie pracowały, dowiedział się więc, że Jerzy Szatkowski jest nieobecny.

Wtedy, zamiast stanąć w którymś z warszawskich hoteli, w ostatniej chwili zmienił zamiar. Tą samą, czekającą na niego taksówką, kazał się zawieść do Prabut.

4.

Henri Słotwiński jest już zmęczony dowodami sympatii, poznawaniem wciąż nowych przyjaciół, bliższych i dalszych krewnych. Jest zmęczony, ale zachwycony tym, co go spotkało w Polsce.

Witold Słotwiński, lektor Uniwersytetu Łódzkiego i cioteczny brat Henri'ego, który zaaranżował nasze spotkanie w swym mieszkaniu, śmieje się:

— Gdybyś mnie posłuchał — zwraca się do Henryka — nie byłoby tego wszystkiego.

Rzecz w tym, że Witold spotkał brata przemykającego wśród pól po pożarze i kazał mu wracać do domu. Stało się inaczej i wojna rozdzieliła ich na długie trzydzieści sześć lat. Mimo młodego wieku, Henri ma już lekko przerzedzone włosy. Tylko uścisk jego ręki jest młodzieńczo krzepki.

Denerwuje się, gdy czegoś zapomina, a przecież to wywoływanie przeszłości jest na pewno zajęciem bolesnym. W tej biografii zagęściło się tyle nieszczęść, a zarazem szczęśliwych trafów, że trudno zachować spokój. Więc Henri denerwuje się zmęczony kolejnymi wyrazami zainteresowania dziennikarza: rozmawiali z nim na Wybrzeżu, i w Warszawie, i tu w Łodzi. Jest także ekipa telewizji francuskiej, która kręci film dokumentalny o przyjęciu Henri'ego przez najbliższych. Były łzy i kwiaty w studio telewizyjnym, które gościło rodzinę Słotwińskich. I były łzy telewidzów, obserwujących tę czułą scenę.

Tu, w Polsce, pomimo francuskiego obywatelstwa Henri Słotwiński nie czuje się już L'etranger. Tu, w zacisznym mieszkaniu na Łagiewnickiej opowiada o swoim marzeniu przeniesienia się na stałe do Polski.

Nie jest to proste, ze względu na francuską żonę, na francuskie dzieci, które chodzą do francuskiej szkoły i dla których Francja kojarzy się z miejscem urodzenia. A co to jest nostalgia, Henri wie dobrze.

Więc nie przeszkadzamy mu, gdy wypowiada swoje marzenia nie licząc się z tym, że można wywołać czas sprzed trzydziestu kilku lat, ale nie sposób go przywrócić. Jedno jest pewne: że jeśli nawet Henrykowi nie uda się wrócić na stałe do Polski, będzie jej służył tam, we Francji. A jego francuskie dzieci będą uważać Polskę za swą drugą ojczyznę.

Foto: E. Kudaj

WĄTPLIWOŚCI WOKÓŁ CROMMELYNCKA

Spektakl „Rogacza wspaniałego" poprzedziło filologiczne słowo wstępne. Niedobre, źle wygłoszone. Te wstępy, które przed Teatrem Poniedziałkowym stały się zwyczajem, zagubiły w swym zasiedzeniu właściwy sens. Kiedyś robił to dobrze Stefan Treugutt (docent Treugutt, jak podkreślali każdorazowo spikerzy, choć tytuł naukowy należałoby rezerwować dla innej zgoła działalności). Robił dobrze, gdyż jest tak zwaną personality, indywidualnością telewizyjną.

Ostatnio wprowadzenie do spektaklu wygłaszają najróżniejsi krytycy, uczeni w piśmie filolodzy. Wypowiedzi te, które w głównej mierze zwalniają nas od obowiązku zajrzenia do encyklopedii i wyczytania tam biografii twórczej autora, stają się coraz bardziej bezbarwne, niepotrzebne. Nie spełniają funkcji podstawowej, która mogłaby usprawiedliwiać ich kontynuację: nie wprowadzają w nastrój spektaklu, nie budują w widzu wewnętrznej predyspozycji do odbioru sztuki.

Tak więc dowiedziawszy się z ust prelegentki, że Fernand Crommelynck urodził się w 1888 roku w Paryżu i zmarł w Belgii w 1970 r. jako głuchy, oraz jak należy wymawiać jego nazwisko, wpadliśmy w niemałą matnię, która niejednego z telewidzów przyprawiła zapewne o swego rodzaju szok. Telewizja bowiem, zwana także kinem rodzinnym, rządzi się swoistymi kryteriami wyboru repertuaru i swą własną cenzurą obyczajową, bardziej selektywną od tej, która obowiązuje w literaturze, w teatrze scenicznym czy w zwykłym kinie (oczywiście nie chodzi mi tu o cenzurę w sensie urzędu).

Tak więc telewizja unika na ogół tematów zbyt drastycznych, moralnie ambiwalentnych, wątpliwych. W kinie domowym trudno bowiem nieraz realizować cezurę wieku. Wystarczy na przykład, że rodzice wyjdą z domu i dzieci w sposób nie kontrolowany przez starszych oglądają program „jak leci". „Rogacza wspaniałego" Crommelyncka trudno uznać za rozrywkę stosowną dla młodocianych.

Nie chciałbym występować tu z pozycji purytańskich, bo człowiek w tej roli zawsze czuje się głupio, nawet jeśli ma obiektywnie rację. Niemniej jednak spektakl wzbudził we mnie poważne wątpliwości. Jestem pełen szacunku wobec poszukiwań repertuarowych Stanisława Hebanowskiego, nie przekonał mnie wszakże w tym przypadku, że sztukę Crommelyncka należało pokazać w teatrze telewizji.

I nie tylko ze względu na niemoralność „Rogacza" i na sceny w miarę drastyczne. Nasuwa mi się szersze pytanie: po co? w jakim celu? Dla uzupełnienia naszej edukacji literackiej? Bo przecież ani w swej warstwie intelektualnej ani emocjonalnej utwór ten nie jest dziś dla nas rewelacją. Dość interesująco nawet zarysowany na wstępie proces narastania obłędu na tle zazdrości małżeńskiej nabiera potem cech wręcz farsowych, a równocześnie obscenicznych, by doprowadzić nas w końcu do nieprzekonywającego i niesatysfakcjonującego rozwiązania.

W tym miejscu godzi się zrobić pewne zastrzeżenie. Mam krytyczny stosunek do widowiska zaprezentowanego nam przez Hebanowskiego i Zespół Poznański Telewizji, a jednocześnie nie mogę odmówić tej imprezie cech drażniących i prowokujących do dyskusji. Nie zdarza się to w przypadku przedstawień błahych, o małej wartości artystycznej. Ileż to spektakli teatru telewizji nie wywołuje w nas żadnego odzewu, ani akceptacji, ani sprzeciwu!

Tak więc w przypadku „Rogacza" jest niewątpliwie o czym mówić, o co się pospierać i w tym może widziałbym główny walor przedstawienia. Dostarczyło nam ono również kilku interesujących propozycji aktorskich, choć trudno mu przyznać wyrównany pod tym względem charakter.

Wyróżnić pozytywnie pragnąłbym przede wszystkim Krzysztofa Gordona, który w głównej roli Brunona ukazał nam bogaty warsztat aktorski. W sposób przekonywający ukazał lawinowo narastające objawy obłędnej, schizofrenicznej zazdrości. Najsłabszy był w scenie nieco upiornej serenady.

Joanna Bogacka jako Stella wniosła do widowiska wiele uroku i piękna, nie zawsze jednak radziła sobie z gwałtownymi przejściami od radości do płaczu, od infantylnej czystości do wyuzdania. Może to zresztą nie tylko wina aktorki, ale przestarzałego miejscami tekstu i zbyt skrótowo przez reżysera potraktowanych zmian sytuacji.

Dobrze w mej pamięci zapisał się Edward Warzecha (Estrugo), Irena Maślińska (Niańka), Henryk Abbe (Wójt) i Zdzisław Krauze (Piotr). Natomiast nieporozumieniem obsadowym wydał mi się Zbigniew Mamont w roli Pastucha. Często wprawdzie stykamy się z przykładami złej dykcji u aktorów. Mamont przekroczył tu jednak in minus granicę dopuszczalności. Jego aparycja i wiek przyczyniły się także do tego, że zakończenie sztuki zabrzmiało jakimś fałszywym dźwiękiem. Czy o to chodziło reżyserowi?

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o pięknej polszczyźnie przekładu dokonanego przez Jarosława Iwaszkiewicza. Słowo uznania należy się również realizatorowi telewizyjnemu spektaklu Janowi Kurkowi.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SUKCES RYZYKANTÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

na było rozwinąć hodowli na wielką skalę, toteż zrodził się pomysł, aby stworzyć całkowicie nowoczesny obiekt.

— Patronat objął Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego — mówi inż. Materowicz — **bo rolnik nie mógł być zdany ani na własne pomysły, ani na własne siły...**

„Rodzinny kołchoz"

Koszt inwestycji sięgał kilku milionów, toteż wpierw powstał **Zespół Rolników Indywidualnych**, któremu łatwiej uzyskać wysoki kredyt i korzystniej go spłacać. Pełnomocnikiem Zespołu został ojciec, Stanisław Kosma, członkami zaś syn Waldemar, technik chemik, który bez wahania rzucił chudą państwową posadkę, oraz zięć Kosmy, **Zygmunt Grabowicz**, żegnając się bez sentymentów z pracą na kolei, a więc ludzie w zasadzie nie związani dotąd z rolnictwem. Dmosin patrzył na ten „rodzinny kołchoz" okiem czujnym, trochę kpiącym i mocno sceptycznym, a gdy tamci zaczęli ciągnąć linię elektryczną i wodociąg, długości prawie kilometra, bo tyle ze względu na ochronę środowiska, czyli niezasmradzanie ludziom życia, dzieli chlewnię od ostatnich zabudowań, stwierdzono z przekonaniem, że Kosmom ten świński interes szybko wyjdzie bokiem.

Trochę racji w tym było, skoro pełnomocnik Kosma, który jako przymusowy turysta i zaopatrzeniowiec zwiedził całą Polskę, żeby wydębić od producentów potrzebne materiały, oświadcza, że drugi raz w życiu nie wziąłby się za podobną inwestycję. Podobno księgowy z WOPR był ciężko przestraszony, gdyż nie mógł znaleźć na liście płac nazwiska Kosmy. Otóż ten ostatni w związku z budową tak często gościł w **Bratoszewicach**, iż uznano, że musi być zatrudniony na pół etatu, tylko nie wiadomo, w jakim dziale...

Kosztorys opiewał na 4,6 mln zł. Gdyby chlewnia budowana była na zlecenie, tyle by właśnie kosztowała, a robota ciągnęłaby się przez dwa lata. Zrobili to sami, systemem gospodarczym w ciągu roku, mieszcząc się w trzech czwartych kosztów. Był dach, chwycił mróz, więc robili sufity. I tak powstała z prefabrykatów typu IBMER (Instytut Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa), ocieplana skrawkami włókien syntetycznych chlewnia, w której wprawdzie pewne elementy urządzeń trzeba przerabiać i dostosowywać do własnych potrzeb, bo producenci bywają nie tylko beztroscy, ale i bezmyślni, dotyczy to m. in. plastikowych rusztów, których nie można dostać, a jak się już zdobędzie, to trzeba własną wiertarką wiercić otwory w pojedynczych prętach, łączyć i wzmacniać, lecz te usterki nie umniejszają znaczenia i nowoczesności obiektu, w którym mieszkaniec miasta, a także niejeden rolnik, kojarzący sobie chów świń z wiadrem rozpuszczonej w wodzie śruty z gotowanymi, gniecionymi ziemniakami, wlewanymi do drewnianego koryta, czuje się oszołomiony i trochę zagubiony. W tej chlewni dwóch ludzi nie wychodząc na dwór może oprzątać 600 świń, łącznie z przygotowaniem paszy, a w ciągu ośmiu godzin wystarczy jeden.

Produkcja... świń

Cykl produkcyjno-technologiczny zaczyna się od owej tajemniczej wieży, w której mieści się potężny, cylindryczny, o pojemności 35 ton silos, podłączony z wentylatorem. Mokre zboże z dołu, wprost z kombajnu, wtłacza się dmuchawą do silosu i suszy. W pobliżu silosu znajduje się śrutownik, na którym rozdrabnia się suche ziarno. W następnym pomieszczeniu zamontowana jest pod podłogą olbrzymia, w kształcie walca, mieszarka do pasz. Z góry wysypuje się do niej śrutę i inne komponenty. Mieszarka połączona jest z wytwornicą pary i hydrofornią. Mieszanie paszy odbywa się mechanicznie w temperaturze 50—60 stopni Celsjusza. Dla 300 tuczników, bo tyle obecnie znajduje się w chlewni, przyrządza się jednorazowo paszę z 500 kg śruty i 1500 l wody. Z mieszarki ciepła pasza wtłaczana jest do rurociągu paszowego, którego obieg jest zamknięty, pod ciśnieniem, tak że nadmiar paszy może wrócić do bębna mieszarki.

Foto: W. Parys

Inż. Materowicz naciska jedną z dźwigni rurociągu, która działa na zasadzie syfonu, i pasza mocnym strumieniem tryska wprost do koryt. Świnie zrywają się z metalowych, zawsze czystych, bez słomy, rusztów, i z żarłocznością chłepcą pożywienie. Ale Materowicz, ożywiony i energiczny, bo ta chlewnia to jego konik, nie pozwala na razie wyjaśnić, skąd taki apetyt u tych dochodzących do 100 kg tuczników.

— Na uwagę zasługuje grawitacyjny system wentylacyjny — mówi wskazując gotowy, jakby karbowany, wykonany z plastiku komin, wychodzący przez dach na zewnątrz pomieszczenia. — **Myśmy kilka takich gotowych kanałów rozprowadzili między rolników, ale czy GS nie powinien ich sprzedawać na co dzień? Proszę dmuchnąć dymem z papierosa i sprawdzić działanie.**

Robię to, dym zostaje błyskawicznie porwany przez wyciąg.

— Działa znakomicie przy różnicy temperatur, latem jest gorzej i dlatego pod podłogą korytarza między kojcami znajduje się kanał, na końcu pomieszczenia zaś wentylator, który będzie tłoczył do chlewni świeże powietrze. Ponadto znajdują się tutaj tzw. nawiewy, to są te szpary pod oknami.

— Ale to — zwracam się do Kosmy — **trzeba usprawnić, wyregulować dopływ powietrza, żeby nie było za zimno.**

Jednakże największe, trochę niesamowite wrażenie robi coś, co bez udziału człowieka, automtaycznie, dzień i noc, dokładnie, pracowicie „chodzi" pod rusztami, na których wylegują się świnie. Jest to przenośnik zgarniakowy do płynnego odbiornika, który samodzielnie opuszcza się i zbierając nieczystości odprowadza je do zbiornika za chlewnię, po czym unosi się i na tzw. jałowym biegu wraca, opuszcza się i ponownie wykonuje swą pracę.

Przy 600 tucznikach co miesiąc zapełnia się gnojowicą zbiornik o pojemności około 350 m sześc., toteż Waldek Kosma, młody, zapalczywy, szczupły mężczyzna o drobnej, brodatej twarzy i bystrych brązowych oczach, oznajmia, że będzie musiał świadczyć dodatkowo usługi dla ludności.

— Cenny nawóz, zwłaszcza w ogrodnictwie, ale dla nas za dużo tego trzeba więc będzie sprzedawać — mówi wskazując czerwony, licencyjny wóz asenizacyjny. Wóz kosztuje 100 tysięcy złotych, samoczynnie napełnia się (6 tys. l) i wypompowuje gnojowicę, ale Waldek nie jest całkowicie zadowolony, bo rozprysk idzie tylko na jedną stronę. Uważa, że można by zrobić otwory na obie strony, a wirnik cofnąć w głąb...

Można więcej

— Zadowolony pan jest ze zmiany zawodu?

— Zrobiłem to z wyrachowania, bo przecież chyba podstawą w naszej działalności jest rachunek ekonomiczny. A jeśli chodzi o pracę, to ta jest ciekawsza, chociaż bardziej wyczerpująca i odpowiedzialna. Tutaj również obowiązują mnie ściśle określone godziny. Jestem trochę zagrypiony, powinienem poleżeć, ale zasiłek chorobowy po 30 dniach niezdolności do pracy wcale mnie nie urządza, bo nikt mnie nie zastąpi, a świnie muszą jeść...

Wykształcenie chemiczne bardzo mu się przydaje. Ale to związane jest już z niezwykłym apetytem świń.

Fragment z opracowania mgr inż. **Pawła Kumora**, z Działu Produkcji Zwierzęcej WOPR w Bratoszewicach:

„Intensyfikacja produkcji żywca wieprzowego przy limitowanych dostawach pasz treściwych i koncentratów wymaga wykorzystania innych źródeł białka, w tym również odpadkowego. Przykładem wykorzystania odpadkowego produktu powstającego przy obróbce ryb jest Pirosiloryb. (...) Jest on paszą o konsystencji galaretowatej, uzyskaną na drodze enzymatycznej hydrolizy z rozdrobnionego surowca rybnego, zakwaszonego pirosiarczynem sodu. Wysoka wartość pokarmowa, a mianowicie 173,6 g białka strawnego i 0,5 jednostki owsianej stanowi podstawę do użycia go w żywieniu trzody chlewnej".

Białko zwierzęce — wyjaśnia — mgr Kumor — **posiada pełny garnitur aminokwasów, stąd ten apetyt u świń. Pan Kosma, u którego wprowadziliśmy do żywienia zwierząt Pirosiloryb, zabił już 100 kg tucznika i mogę pana zapewnić, że mięso nie posiada w ogóle rybiego zapachu. Daje się 0,34 Pirosiloryba na 2,8 kg śruty zbożowej, przyrost dzienny tuczników wynosi średnio 800 gramów. A jeszcze w ubiegłym roku dyrektor Kobyliński z Centrali Rybnej w Łodzi alarmował, że jest zawalony odpadami, których może dać rocznie 200 ton. Pastę rybną przywozi się w beczkach i wlewa do mieszarki, łącząc ją z wodą i śrutą.**

Ale my mamy kolejną propozycję: poekstrakcyjną śrutę rzepakową, która zawiera aż 289 g białka w kilogramie masy. Mógłby to być znakomity komponent do kiszonek, np. parowanych ziemniaków. Myślimy również o karmieniu świń burakami polipastami, w kiszonce lub na surowo.

Następnie mgr Kumor pokazuje mi dwa aparaty, dobowy i tygodniowy, zainstalowane w chlewni do mierzenia temperatury i wilgotności powietrza. Wystarczy, że człowiek wejdzie do środka i świnie poruszą się gwałtownie, a już zmienia się temperatura, co precyzyjnie odnotowują aparaty. Świnie są więc nie tylko pod ścisłym nadzorem hodowcy i lekarza, ale i automatów.

Stanisław Kosma cieszy się z chlewni, chociaż wiele tu jeszcze do zrobienia, np. wybudowanie wiaty dla maszyn i garażu, ale rachunek ekonomiczny nie w pełni go zadowala, bo za kilogram warchlaka (waga 43 kg) płaci 65 zł, za wyhodowane zaś tuczniki bierze po 45 zł, a trzy rodziny trzeba utrzymać.

— Otrzymuje pan 200 kg paszy na sztukę za odstawę żywca do GS i 150 kg w ramach kooperacji z SKR w Jeżowie. Posiada pan 13 ha ziemi. Co z resztą paszy?

— Przydałoby się 50 ha, ale kiedyśmy budowali chlewnię, nie było czasu babrać się w ziemi. Teraz można by kupić 8 ha w Borkach, to jednak bardzo daleko, trzy kilometry ciężkiej, błotnistej drogi. A tak w ogóle to nie ma ziemi na sprzedaż...

— Kilkadziesiąt metrów za chlewnią stoi wbity w ziemię kołek...

— A niech stoi! Ja mam dokumentację, plan i chlewni nie będę rozbierać. Nie grozi mi to...

Chodzi o to, że dość wcześnie na polach w pobliżu Dmosina wytyczono trasę, którą pobiegnie autostrada Warszawa — Poznań. Kołków już prawie nie ma, bo albo je wyorano, albo poszły z dymem jesiennych ognisk.

— A może przez te kołki nie można dokupić ziemi?

— Możliwe. Ludzie zwlekają, czekając na korzystny wykup. Ale nie, to nie to! Tutaj działa konkurencja. Jest jeszcze jeden zespół, jest RSP, PGR i oni też chcą ziemi. Ale za dwa lata to się posypie, proszę pana, bo wokół sami emeryci na zagrodach. Dokupię ziemi, ile zechcę. Na pewno będzie jałowa, ale jest czym gnoić. Będę miał więcej paszy, to dam więcej mięsa. A przecież na to wszyscy czekają...

Chlewnia Stanisława Kosmy jest przykładem właściwej specjalizacji: albo hoduje się lochy i warchlaki, albo tuczniki, bo imanie się wszystkiego naraz jest nieekonomiczne. Jest to również wzorowy przykład gospodarstwa wdrożeniowego, których w województwie skierniewickim powstaje coraz więcej. Ale o pełnym zaopatrzeniu rynku w mięso będziemy mogli mówić wówczas, gdy gospodarstwa wdrożeniowe staną się gospodarstwami powszechnymi.

RYSZARD BINKOWSKI

ZBIGNIEW S. NOWAK

KANT NA FIRMIE...

Różne są sposoby robienia wielkich, nielegalnych pieniędzy. „Wielki szmal" robią nielicznie, nielegalnie, acz pod szyldem najczęściej jakiegoś tam legalnego interesu. Różne są sposoby! Jeden z bardziej oryginalnych, dość często ostatnio stosowanych, to „kant na firmie". Tak się to określa fachowo w kręgach tzw. prywatnej inicjatywy. O co chodzi?

Safari-boom

Czego jak czego, ale koszul jest u nas pod dostatkiem. Na dodatek są to koszule modne, ładne, znakomicie uszyte, z tkanin najwyższej jakości. Mamy przecież znakomite firmy od koszul. Choćby taka „Wólczanka"! I jeszcze kilka innych renomowanych zakładów. Koszul jest więc pod dostatkiem. Nawet koszul typu „safari", szczególnie teraz modnych i poszukiwanych.

Na koszulach prywatni bieliźniarze nie bardzo mogą robić dobre interesy. Nie wytrzymują konkurencji wielkiego przemysłu. Nawet ci od koszul „safari". Ale nie wszyscy.

Wacław R. to jeden z najlepiej prosperujących łódzkich bieliźniarzy. Jemu tam „Wólczanka" nie przeszkadza. Wprost przeciwnie! On życzy „Wólczance" jak najlepiej. Jak najlepszej produkcji, ciekawych wzorów, udanych modeli. Tak właśnie. Bo dla niego to „woda na młyn". To złote źródło wielkich zysków!

Pan Wacuś robi biznes „na firmie". Rzecz jest prosta! Pan Wacuś ma „chody" gdzie trzeba. Ma odpowiednie „znajomości" w handlu. Przede wszystkim w handlu koszulami. Oczywiście tym uspołecznionym. To wystarcza. Dzięki temu pan Wacuś może kupić hurtem tysiąc, dwa tysiące, trzy i więcej tych najmodniejszych, najatrakcyjniejszych koszul „safari", produkcji „Wólczanki" i innych renomowanych firm.

Tak więc owych koszul zaczyna brakować na rynku, choć niby nie powinno, bo przecie wszystkie statystyki się zgadzają. Równowaga rynkowa zostaje nagle zachwiana. Popyt skacze gwałtownie, w stosunku do podaży. Rośnie „safari-boom". O to chodzi! Teraz można już te wykupione hurtem koszule sprzedać z zyskiem. Ale jak?

Wystarczy odpruć od nich tzw. metki. Metki „Wólczanki" i innych renomowanych firm. Następnie wszywa się metki swojej, prywatnej firmy. I podwyższa się cenę. To jest właśnie „kant na firmie"!

W sumie to drobna operacja; nie wymaga wiele zachodu, ludzi do roboty, wysokich kosztów. Nakłady są o wiele mniejsze niż w przypadku rzeczywistej własnej produkcji. A koszulki są „ekstra", jakich żaden prywatny zakład nie jest w stanie uszyć, z wielu powodów.

Ceny nie muszą być wysokie. Wystarczy zarobić „stówę" na sztuce. To i tak się opłaca, przy dużych obrotach. U pana Wacusia koszule są znacznie tańsze niż u innych „prywaciarzy" i znacznie lepsze. Pan Wacuś ma więc duży zbyt i równie wielkie zyski.

U siebie sprzedaje niewiele, bo może ryzyko „wpadki" byłoby zbyt duże. Ale przecież można cały towar rozprowadzić po kraju. Tak też pan Wacuś robi. Sprzedaje na Wybrzeżu. Sprzedaje w Warszawie. Sprzedaje na Śląsku. Tam, gdzie dużo amatorów, gdzie zbyt wielki i szybki.

Byle towar nie leżał długo w sklepie, byle możliwie szybko „poszedł do ludzi". Wtedy już kłopot z głowy, wszelki ślad się urywa. O to chodzi!

Póki co, pan Wacuś nie ma specjalnych kłopotów. Towar jest dobry, niezbyt drogi, idzie więc „jak woda". Zbyt jest ogromny, zyski też. Tylko w ciągu dwóch ostatnich sezonów pan Wacuś zarobił na czysto na tym interesie podobno grubo ponad milion!

Ile jeszcze może zarobić? Ile jeszcze „szmalu" przyniesie mu „kant na firmie"? Któż to może wiedzieć? Może jeszcze parę ładnych milionów, może też „parę ładnych lat"? Co będzie, pokaże czas...

Zielone na złote

Jeszcze jeden przykład „kantu na firmie". Metoda przestępczego działania jest taka sama jak wyżej. Tyle tylko, że nie przyszywa się prywatnych metek na miejsce państwowych, a co innego.

Chodzi o spodnie. Bawełniane, w kolorze khaki, ostatni krzyk mody. Też się je wykupuje hurtem Ze sklepów państwowych oczywiście. Spodnie „khaki" uszyte w państwowych zakładach odzieżowych.

Wykupuje się je hurtem, po kilkaset zł: 300, 400, 600. Potem tylko wypruwa się metki. Naszywa się ozdobne taśmy, zakłada miedziane klamerki z napisem np. „super-jeans", zdobi kolorowymi naszywkami typu „Levi's", Lee", „Rangers" itp. Rzecz stosunkowo prosta do załatwienia. I w sumie wypada niedrogo.

Takie „podmarkowane" portki sprzedaje się po 1000 zł, 1200, 1400 do 2000 zł! Koszty przeróbki „firmy" wynoszą około 100 zł. Zysk na jednej tylko parze portek wynosi więc od kilkuset do ponad tysiąca złotych! Czysty zysk na brudnym interesie. Superbiznes, jeszcze większy niż „safari-boom".

Póki co, spodnie „khaki" są supermodne. Idą „jak woda". Na tych spodniach robi się „wielki szmal"! Jak długo jeszcze? Hm, wydaje się, że moda na portki „khaki" chyba jeszcze trochę potrwa...

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat trwania zaborów klasa robotnicza stopniowo stawała się klasą coraz bardziej zorganizowaną, świadomą i patriotyczną. W ciągu życia 2–3 pokoleń dokonały się olbrzymie i zasadnicze przeobrażenia. W walce z burżuazją i ochraniającą ją potęgą państw zaborczych robotnicy uświadomili sobie zarówno własną klasową odrębność, jak i narodową tożsamość. Zorganizowany w partie polityczne proletariat określił zasadnicze cele – dla siebie i dla całego narodu. Proces ten nie przebiegał ani łatwo, ani bez potknięć – ale inaczej być nie mogło. Niejednokrotnie działacze robotniczy błądzili, a proletariackie masy – jak to miało miejsce po rewolucji 1905–1907 r. – przejściowo traciły siły do walki. W 1918 roku sytuacja w polskim ruchu robotniczym nie była najlepsza. Proletariat był wyczerpany wojną, partie robotnicze niezjednoczone i jakby zaskoczone nowymi problemami. Szybko jednak odrodziły się siły polskiego proletariatu. Ale wówczas burżuazja już silnie trzymała władzę.

STEFAN M. KRAKOWSKI

LOS REWOLUCJONISTY

Proces politycznego rozwoju klasy robotniczej nie był samoistny i żywiołowy. Twórcą jego były robotnicze partie polityczne, a konkretnie — ludzie w ich ramach działający. Setki, tysiące robotników i robotnic, uczniów studentów i pracowników umysłowych poświęciło ruchowi robotniczemu całe życie — często także w sensie dosłownym. O ludziach tych — współtwórcach Niepodległości — pamiętamy, czcimy ich, szanujemy...

Czy zdajemy sobie jednak do końca sprawę z tego, jak wyglądało życie rewolucjonisty? Czy przypadkiem nie posługujemy się tu zbyt często schematami i uproszczeniami? Ludzi tych widzimy na czele demonstracji i pochodu, przemawiających na wiecu lub dyskutujących na konspiracyjnym zebraniu. Owszem, tak było. Ale rewolucyjny heroizm przejawiał się nie tylko na tym polu. Ruch robotniczy tworzył się głównie dzięki uporczywej, codziennej pracy setek agitatorów, kolporterów i łączników. Walcząc o urzeczywistnienie swych idei, dzień w dzień musieli oni rezygnować z życia osobistego, narażać na biedę siebie i rodzinę, spotykać się z brakiem zaufania, niechęcią lub wręcz nienawiścią. Wielu załamywało się i odchodziło od ruchu, inni, nie wytrzymawszy trudów, zapadali na ciężkie choroby — reszta latami całymi wiodła niełatwy żywot konspiratora. Rzadko który z działaczy socjalistycznych uniknął aresztowania i uwięzienia — ale przecież po wyjściu na wolność z reguły powracał do ruchu.

Przyjrzyjmy się zatem życiu znanego przywódcy robotniczego, jakim był **MARCIN KASPRZAK**. Na początek przypomnijmy jego biografię:

Urodził się w roku 1860, w rodzinie robotnika rolnego. Od co najmniej 1885 r. działał w ruchu socjalistycznym. W latach 1886—87 aresztowany za ową działalność przez władze pruskie, zbiegł z więzienia. Od 1888 r. do 1891 r. był jednym ze współorganizatorów II Proletariatu. Kierował pracą tej partii. Od 1891 r. przebywał na emigracji w Londynie, gdzie współpracował z grupą „Przedświtu". W 1893 r. został aresztowany w Królestwie Polskim. Przebywał w więzieniu do 1896 r. Następnie działał w PPS zaboru pruskiego, w latach 1902—03 współredagował „Gazetę Ludową". W 1904 r. wrócił do Królestwa i wstąpił w szeregi SDKPiL. W tymże roku w nielegalnej drukarni partyjnej stawił policji opór z bronią w ręku. Aresztowany, skazany został przez carski sąd wojenny na karę śmierci; stracony 8 IX 1905 r.

Ustalenie życiorysu tego socjalisty wymagało wielu skrupulatnych badań historycznych. Marcin Kasprzak nikomu się nie zwierzał, nic nie opowiadał, nie zostawił wspomnień lub pamiętnika. Zmieniając nieustannie miejsca pobytu i pseudonimy starał się dezorientować policję, aresztowany — gmatwał zeznania, zasłaniał się zanikiem pamięci, symulował chorobę psychiczną. Wielu jednak konspiratorów spisało po latach swoje przeżycia lub też starało się w innej formie utrwalić pamięć o własnych i towarzyszy losach. Tymczasem Kasprzak jakby wykluczył z działania własną osobę — uznawał za nieistotne osobiste odczucia i przeżycia. Ten rys jego charakteru — równie sympatyczny jak rzadki zasługuje na podkreślenie.

Marcin Kasprzak był wyśmienitym konspiratorem. Organizował tajne zebrania partyjne, werbował nowych członków do organizacji, dopilnowywał przerzutu przez granicę ludzi i prasy. Poszukiwany, był nieuchwytny dla policji całymi latami. Trzykrotnie trafił do więzienia — dwukrotnie udało mu się stamtąd zbiec.

Towarzyszyła mu — jak i innym rewolucjonistom — wieczna niepewność losu i bieda. Często głodował, tułał się nieraz bez mieszkania — spał w parkach, po bramach... Normalnie pracować nie mógł — był „nielegalny". Pensja partyjna, jaką otrzymywał, wynosiła połowę przeciętnych dochodów robotni. a — było to bardzo mało. Z tego utrzymywać musiał siebie, później również żonę i dziecko. W więzieniu odkładał chleb, aby na widzeniu wręczyć go żonie... Po 1896 r. Marcin Kasprzak znalazł się w zaborze pruskim, gdzie sytuacja jego pozornie poprawiła się — był wówczas działaczem legalnym. Ale wtedy trapiły go inne kłopoty.

Utarła się opinia, iż działalność rewolucjonisty polegała na walce z „kapitałem i zaborcą". Jest to prawda, ale przecież niekompletna. Walka — i to zacięta — toczyła się i wewnątrz ruchu robotniczego, nawet w łonie tych samych partii. Konkurujące ze sobą grupy zużywały wiele energii do wzajemnego zwalczania się, a w polemicznym zacietrzewieniu posuwały się bardzo daleko... Z perspektywy lat patrząc rozumiemy, iż owe spory były konieczne — to dzięki nim krystalizowała się ideologia i taktyka ruchu robotniczego. Jednakże zdarzało się, że do kontrowersji zasadniczych dochodziły animozje i nienawiści osobiste...

Właśnie Marcin Kasprzak stał się obiektem uporczywej, chyba w polskim ruchu socjalistycznym bezprecedensowej, nagonki. Trwała ona 11 lat, a zorganizowali ją ludzie, którzy niegdyś byli politycznymi mecenasami młodego Kasprzaka.

W latach 1887—1891 w Królestwie Polskim reaktywowano praktycznie sparaliżowany po rozbiciu Wielkiego Proletariatu ruch socjalistyczny. W 1891 r. działały tam trzy partie socjalistyczne, a na emigracji funkcjonowała wpływowa grupa skupiona wokół czasopisma „Przedświt". Wewnątrz ruchu toczyła się walka o jego przyszły kształt i program, komplikowana przez reorientacje zachodzące w ówczesnych partiach socjaldemokratycznych na Zachodzie.

Nie wnikając w szczegóły sporu stwierdzić można, iż Marcin Kasprzak zajął w nim stanowisko rewolucyjne i znalazł się w orientacji zdecydowanie lewicowej. Tymczasem grupa „Przedświtu" kierowana przez Stanisława Mendelsona — a wpływy jej były bardzo poważne — zmierzała do nadania ruchowi charakteru reformistycznego. Kasprzak był dla niej człowiekiem niewygodnym i politycznie niebezpiecznym. Przecież to on jeszcze niedawno był głównym łącznikiem pomiędzy grupą „Przedświtu" a Królestwem: znał ludzi w kraju i cieszył się tam autorytetem, kontrolował punkty przerzutu przez granicę...

Mendelson za wszelką cenę chciał zniszczyć przeciwnika. Wybrał broń bardzo groźną — oszczerstwo. Moment rozpoczęcia akcji był dość dogodny. Po aresztowaniach jesienią 1891 r. i wiosną roku następnego większość działaczy socjalistycznych w Królestwie znalazło się w więzieniach. W kraju nie mógł więc Kasprzak liczyć na wielu obrońców. Działacze emigracyjni byli zależni — często materialnie — od grupy „Przedświtu". Tych Mendelson się nie obawiał.

Wczesną wiosną 1892 r. Stanisław Mendelson oskarżył — początkowo nieoficjalnie — Marcina Kasprzaka o kontakty z policją carską. Potwarz poparła część działaczy emigracyjnych. Pamiętajmy, iż częste aresztowania i wpadki wywoływały psychozę i atmosferę „polowania na czarownice". Edward Abramowski — człowiek skądinąd wybitny i zasłużony — zapewniał, iż był śledzony przez agentów policji, wśród których znajdował się rzekomo Kasprzak. To, iż ówczesny stan zdrowia psychicznego Abramowskiego pozwalał na powątpiewanie w owo opowiadanie, wolano już nie dodawać... Kasprzak kupił nowe ubranie — pieniądze wziął pewnie od policji!

Kasprzak broni się. Popierają go niektórzy działacze emigracyjni, prawie wszyscy przebywający na wolności w kraju, broni go grupa rewolucjonistów rosyjskich. W sierpniu 1892 r. odbył się w Londynie sąd honorowy, na którym zarzuty wobec Kasprzaka rozpatrywali socjaliści angielscy. Uznali oni bezpodstawność oskarżenia i zażądali od Mendelsona odwołania zarzutów. Na nic to się jednak na razie nie zdało.

W początkach 1893 r. w polskiej prasie socjalistycznej ukazało się ostrzeżenie, w którym m. in. pisano:

„Niniejszym oświadczamy, że Marcin Kasprzak, alias Maciej alias Teofil został wykluczony z naszej partii z powodu (...), że w ostatnich czasach stał się osobistością podejrzaną pod względem stosunków z policją".

Pozostałe zarzuty dotyczyły rzekomego sprzeniewierzania funduszy partyjnych, okłamywania towarzyszy, lekceważenia sprawy..

Autorami tegoż oświadczenia byli: Maria i Stanisław Mendelsonowie, Aleksander Dębski, Bolesław Jędrzejowski, Witold Jodko-Narkiewicz, Feliks Perl i Aleksander Sulkiewicz. Późniejsze drogi tych ludzi były różne, ale w jednym wspólne: wzięli rozbrat z rewolucją, a niektórzy w ogóle odeszli od ruchu socjalistycznego.

Chociaż zarzuty nie zostały poparte dowodami, a okoliczności powstania powyższego dokumentu były niejasne, to owo „Ostrzeżenie" przez wielu przyjęte być musiało z całą ufnością, a inni — po prostu chcieli w to uwierzyć. Marcin Kasprzak jednak nie skapitulował.

Przedostał się do Warszawy, odnalazł towarzyszy. Ocaleli przed policją carską członkowie „Proletariatu" zorganizowali zebranie, na którym uznano niewinność Kasprzaka i wystawiono mu dokument rehabilitacyjny.

Podobnie postąpili polscy socjaliści we Wrocławiu. Z Królestwa Kasprzak jednak już nie wrócił — został aresztowany i rozpoczęło się przeciwko niemu śledztwo.

Przez następne lata nie mógł Marcin Kasprzak bronić się przed zarzutami i oszczerstwami — spędził je w więzieniu carskim. Symulował chorobę umysłową, trafił do szpitala. Stamtąd uciekł i trafił do zaboru pruskiego.

W 1896 roku mimo upływu lat, wokół osoby Kasprzaka nadal trwał spór. Prawica ruchu socjalistycznego, reprezentowana tym razem przez Komitet Zagraniczny PPS, podtrzymywała zarzuty, lewica broniła niewinności Kasprzaka.

Przeważać jednak musiała opinia przychylna Kasprzakowi — bez trudu został członkiem poznańskiej organizacji PPS zaboru pruskiego. Latem 1897 r. wybrano go delegatem na III Zjazd tej partii. Już w pierwszym dniu obrad Marcin Kasprzak stwierdził, iż partia uprawia bardzo nikłą propagandę idei socjalistycznej. Dla kierownictwa PPS był to znak ostrzegawszy. Drugiego dnia obrad do programu partii miano wnieść reformistyczne poprawki, a wystąpienie Kasprzaka sygnalizowało, że będzie się temu sprzeciwiał. Zainscenizowano więc na poczekaniu spór, w wyniku którego Kasprzak złożył mandat i opuścił salę obrad. Zaraz też zapadła decyzja o wykluczeniu go z partii. Organizacja poznańska wprawdzie gwałtownie protestowała, ale ostatecznie ustąpiła przed kierownictwem partii.

Tym razem Marcin Kasprzak na krótko zaprzestał działalności politycznej. Ale już w 1900 r. pracuje w niemieckiej socjaldemkracji, budując wspólną polsko-niemiecką organizację SPD. Pomimo powtarzających się napaści ze strony Komitetu Zagranicznego PPS znajduje uznanie. W 1901 r. z ramienia SPD kandyduje w wyborach parlamentarnych, zresztą z miernym powodzeniem. W 1902 r. rozpoczął wydawanie, wspólnie z Różą Luksemburg, redagowanej w języku polskim „Gazety Ludowej".

Katastrofa przyszła latem 1903 r. Nieznani w pierwszej chwili sprawcy włamali się do biura Sekretariatu Robotniczego, gdzie m. in. znajdowało się archiwum i biuro „Gazety Ludowej". Rozbito kasę, zdemolowano meble, ukradziono korespondencję. Ktoś wysunął przypuszczenie, iż włamanie to zainscenizował Kasprzak, aby w ten sposób ukryć niedobory finansowe. Wkrótce padło oskarżenie oficjalne. Marcin Kasprzak już się nie bronił. Postanowił natychmiast opuścić miasto. Dzisiaj wiemy z całą pewnością, iż owe włamanie było najzwyklejszą policyjną prowokacją.

W 1904 r. przybył do Królestwa, gdzie występował pod nazwiskiem Christiana Meyera. Jest już członkiem SDKPiL — partii, która poglądom jego była w końcu najbliższa. Powierzono mu wyjątkowo odpowiedzialne zadanie — organizację drukarni partyjnej.

27 kwietnia 1904 roku w konspiracyjnym lokalu Marcin Kasprzak i młody inżynier Benedykt Gurcman odbijali pierwszomajową odezwę, w której zakończeniu pisano:

„tego dnia wszyscy my głodni i cierpiący staniemy w szeregach proletariatu pod sztandarem socjaldemokracji i wyjdziemy na ulicę i niechaj tysięczny tłum krzyknie jak jeden człowiek: Precz z wojną, żądamy chleba i wolności, precz z caratem, niech żyje socjalizm".

Nagle w mieszkaniu pojawiła się policja. Wydarzenia następowały błyskawicznie. Kasprzak strzela. Pada rotmistrz Winniczuk, kapitan Ordanowski, policjanci Tarasiewicz i Pytluk. Jednak napastników jest zbyt wielu i po kilku chwilach Kasprzak i Gurcman leżą już związani.

Śledztwo trwało krótko. Już 2 sierpnia 1904 roku obaj oskarżeni stanęli przed trybunałem wojskowym. Wydawało się, iż wyrok, przynajmniej w stosunku do Kasprzaka mógł być tylko jeden — kara śmierci. Jednakże rozprawa zakończyła się odroczeniem procesu. Dlaczego? W najbliższym czasie caryca spodziewała się rozwiązania i zgodnie z tradycją car powinien ogłosić amnestię.

Proces ostatecznie wznowiono 30 sierpnia 1905 r. „Czerwony Sztandar" relacjonował:

„Kasprzak, człowiek w sile wieku, liczący wszak dopiero 45 lat, czyni wrażenie zgrzybiałego starca, prawie zupełnie siwy, powłóczący nogami, gdy popychany przez żandarmów, zbliża się jak automat, do swego miejsca na ławie podsądnych".

Marcin Kasprzak został skazany na śmierć przez powieszenie, a Benedykt Gurcman na 15 lat katorgi. Wyrok wykonano 8 IX 1905 r. Ostatnie słowa Kasprzaka brzmiały:

„Niech żyje rewolucja".

Od kilku lat prasa całego niemal świata szeroko rozpisywała się o gospodarczych sukcesach Iranu, opartych na płynących szerokim strumieniem do skarbu państwowego „petrodolarach", o przeprowadzanych tam reformach, o olbrzymiej jakoby popularyzacji pary cesarskiej, których urodę podziwiać można było we wszystkich ilustrowanych magazynach. A tymczasem w ostatnich kilku miesiącach Iran wstrząśnięty został potężnymi wystąpieniami antyrządowymi. Pozornie wydawać się mogło, że oto ze starych dzielnic miejskich wyszli fanatyczni muzułmańscy mułłowie, głosząc „świętą" wojnę skierowaną przeciw działalności szacha reformatora i za tymi wstecznymi hasłami pociągnęli otumanione tłumy. Taka interpretacja byłaby jednak uproszczeniem, skomplikowanej wewnętrznej sytuacji Iranu. Na istotę walki, jaką tam toczą masy ludowe przeciw władzy szacha, składa się wiele czynników, a między innymi również problem praw licznych mniejszości narodowych zamieszkujących ten kraj.

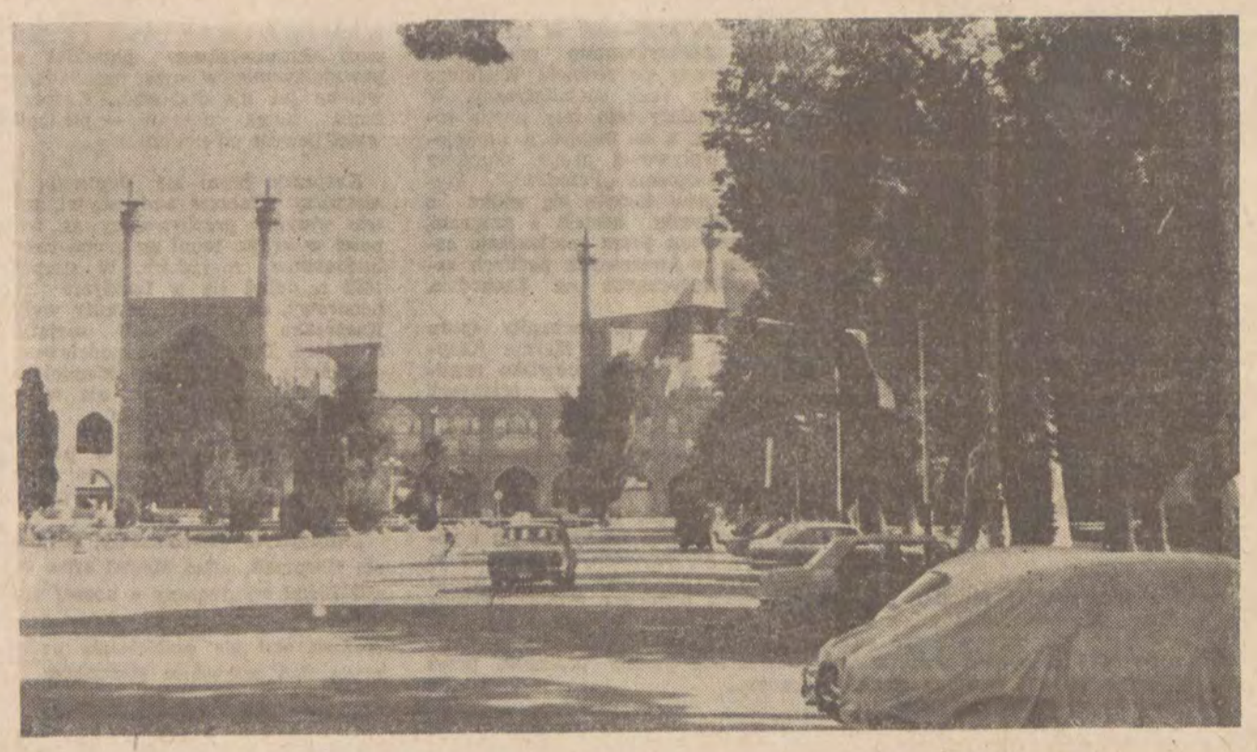

Foto: L. Włodkowski

KRZYSZTOF BARANOWSKI

Iran–LUD, SZYICI i CESARZ

NARODOWOŚCIOWA MOZAIKA

Nikt dokładnie nie wie jak w rzeczywistości przedstawia się etniczna mapa Iranu. Nie można dysponować tu żadnymi wiarygodnymi spisami mieszkańców tego państwa, uwzględniającymi ich przynależność narodową lub też używany język, a sporządzone przez fachowców szacunki bardzo poważnie różnią się między sobą. Prawdopodobnie jednak Irańczycy, czyli Persowie stanowią zaledwie ok. 50—55 proc. ludności państwa. Z tego pewna część mówi odrębnymi narzeczami jak gilańskim, nazendenzerańskim i in., które — o wiele bardziej różnią się od właściwego perskiego niż np. kataloński od hiszpańskiego.

Mniejszości narodowe (czy też może językowe, gdyż proces uświadamiania narodowego jest tam jeszcze niezbyt wysoki), wynoszą około 45—50 proc. ludności Iranu. Wśród nich wyróżnić można kilka grup. Pierwsza to narody mówiące językiem irańskim ale wyraźnie odrębnym niż perski, a więc Kurdowie oraz bliscy im Bachtiarowie i Lurowie (łącznie około 14—16 proc. ludności Iranu) Beludżowie (około 2—3 proc.), Taci (Tatowie), Talszowie (Talyszowie), Dżemszydzi i inne grupy, których nazwy dotychczas jeszcze w języku polskim nie są jednoznacznie ustalone.

Druga grupę mniejszościową stanowią narody mówiące językiem tureckim. Najważniejszą rolę odgrywają wśród nich Azerbejdżanie zamieszkujący zwartą masą cały niemal obszar północno-zachodniego Iranu. Prawdopodobnie stanowią oni około 18—20 proc. (szacunki bywają od 12 do 30 proc.). W Iranie mieszka również sporo Turkmenów. Mniejsze znaczenie mają takie grupy turkojęzyczne jak: Kaszajowie, Afszarzy, Szachseweni, Kadżarowie, Karapapachowie, Karajowie, Nafarowie i inni. Wreszcie trzecią większą grupę mniejszości narodowych stanowią semicy Arabowie (około 2—3 proc.). A wreszcie można wymienić Ormian, wyznających islam Gruzinów, i szereg innych niewielkich grup mniejszości narodowych.

KTO PANOWAŁ W IRANIE?

Wbrew oficjalnej tezie rządu, który stara się specjalnie akcentować jednolitą linię rozwoju państwa perskiego, w rzeczywistości przez blisko 13 stuleci rzadko kiedy kraj ten rządzony był przez dynastie miejscowego pochodzenia. W skrócie można tu wymienić kilkuwiekową arabską niewolę, rządy dynastii mongolskich zdobywców, podboje Timura, rządy turkmeńskich plemion Białego i Czarnego Barana (Akkojunlu i Karakojunlu). Od początku XVI do początku XVIII w. krajem rządziła azerbejdżańska dynastia Sefewidów. Później nastąpiły podboje Afganów. Od końca XVIII wieku w kraju tym panowała dynastia wywodząca się z tureckiego ludu Kadżarów, której władcy w znacznej części faworyzowali ludność turkojęzyczną.

Od początków XX wieku utrzymywały się na poły feudalne stosunki. Wielcy feudałowie, będący niekiedy przywódcami obcojęzycznych plemion, uważali się niemal za odrębnych władców, będących tylko lennikami szacha. Dopiero ojciec obecnego szacha, Reza będący „człowiekiem z ludu", opierając się w znacznym stopniu na elementach kapitalistycznych ale również w umiejętny sposób wykorzystując perski nacjonalizm obalił obcą dynastię Kadżarów i rozpoczął proces właściwego jednoczenia Iranu. Udało mu się pokonać wielkich feudałów, w znacznej tylko części będących Persami. Jednocześnie musiał tłumić odśrodkowe tendencje mniejszości, a szczególnie Azerbejdżan i Kurdów. I oto w tych walkach następowały nieraz dziwne paradoksy, gdy mniejszościowe elementy radykalne popierały rodzimych feudałów. Nie łudźmy się, aby feudałowie zaskarbili sobie specjalną sympatię ludności, ale często reprezentowali oni lokalne dynastie mniejszości narodowych i obalenie ich władzy pociągało za sobą podporządkowanie danych obszarów irańskiemu centralizmowi.

CENTRALIZM

Zarówno Reza Szach, jak i obecnie panujący jego syn reprezentowali politykę skrajnie centralistyczną. Nie przyzwalano do wiadomości o istnieniu jakichkolwiek mniejszości narodowych. W oficjalnie głoszonych poglądach każdy mieszkaniec Iranu był Irańczykiem. Mimo to w miarę podnoszenia się kultury szerokich mas ludności narastały również problemy narodowe. Dla centralistycznego państwa irańskiego szczególnie groźne były separatystyczne ruchy Azerbejdżan i Kurdów. Pierwsi z nich z zazdrością patrzyli na pełne prawa polityczne i kulturalne, jakie uzyskali ich pobratymcy w Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Drudzy korzystali nieraz z poparcia swych rodaków z Iraku i Turcji.

W latach drugiej wojny światowej prohitlerowska polityka Rezy Szacha doprowadziła do zajęcia Iranu przez aliantów. Silnie wzmogły się wówczas ruchy separatystyczne mniejszości narodowych. Po opuszczeniu przez wojska alianckie Iranu miejscowe władze w bezwzględny sposób rozprawiły się z separatystami. W grudniu 1946 roku krwawo stłumiono ruch azerbejdżański. Liczba ofiar była duża, a prasa zachodnioeuropejska szacowała ją na dziesiątki tysięcy. Separatystyczne tendencje zostały zatem stłumione, zapanował irański centralizm. Przez długi okres czasu nie ukazywały się prawie żadne druki w językach mniejszości narodowych. Dopiero w ostatnich latach zaszła pewna minimalna zresztą poprawa. W sferach rządowych szeroko rozpowszechniony był pogląd że dobrobyt jaki przyniosą „petrodolary" oraz indoktrynacja świadomości społeczeństwa irańskiego w duchu tzw. wychowania „państwowego" doprowadzą do unifikacji narodowej.

SKĄD BRAĆ WZORY?

A tymczasem oddolnie rozpoczął się silny ruch oporu mniejszości narodowych. Protestowano przeciwko centralistycznym reformom. Bojkotowano szkoły, które w swym założeniu miały być instrumentem iranizacji mniejszości narodowych. Przywódcami ludu w tej walce byli bardzo często duchowni. Otóż pamiętać trzeba, że olbrzymia większość mieszkańców Iranu, zarówno Persów Azerbejdżan, Kurdów i innych wyznaje szyityzm, odłam islamu o wiele bardziej radykalny niż sunnityzm. W skrajnych kierunkach szyityzmu silne są zarówno tendencje ortodoksyjne, głoszące fanatyczne hasła obskurantyzmu, jak i społeczny radykalizm, w mocno przestarzałym wydaniu, który porównać można by do podobnych ruchów w średniowieczu europejskim. I oto ów spóźniony o wieki ruch podchwycił hasła, które znalazły poparcie wśród szerokich rzesz ludności: walkę z cesarskim centralizmem i odgórnie przeprowadzanymi reformami, mającymi na celu unifikację narodowościową, walkę z nieuczciwym bogaceniem się „petrodolarami" ludzi z rodzin szacha i jego otoczenia, oszukaństwami zeuropeizowanych finansistów i przemysłowców itp.

Stosunkowo niezbyt silna lewica perska, azerbejdżańska czy też kurdyjska której obce są hasła szyickiego obskurantyzmu, popiera jednak ten ruch widząc w nim szansę obalenia władzy cesarskiej. Coraz silniej głoszone są hasła „islamskiej republiki sprawiedliwości". A wśród inteligencji szczególnie należącej do mniejszości narodowej mówi się o tzw. hiszpańskiej drodze decentralistycznej.

I oto nie było przypadkiem, że w upalne sierpniowe popołudnie w bakińskim czajchanie (herbaciarni) leżącym nad brzegiem Morza Kaspijskiego, spotkałem się młodym Kurdem uchodźcą z Kermanszachu, Raszydem, wyciągnął on z kieszeni zarówno mapę Hiszpanii jak i Iranu. Na pierwszej pokazał cały proces decentralizacji jaki pod twardymi rządami Basków, Katalończyków czy mieszkańców Galicji musiał przeprowadzić po śmierci gen. Franco rząd hiszpański. Na drugiej wyjaśnił mi jak powinna wyglądać składająca się z autonomicznych okręgów przyszła federacja irańska.

OPOZYCJE RELIGIJNE

W ostatnich miesiącach miały miejsce przykłady skrajnego zacofania i fanatyzmu religijnego. Liczne były wypadki ataku tłumu na ubrane po europejsku kobiety, lżenie ich, bicie czy nawet poparzenia żrącymi płynami odkrytych ramion, nóg lub twarzy. Ofiarami tych napadów padali również ojcowie i mężowie tych kobiet, czy nawet przygodni mężczyźni, którzy znaleźli się obok nich. Podpalano urzędy, banki, kina. Szczytem wszystkiego było podpalenie w sierpniu 1978 r. kina w Abadanie, na skutek czego w płomieniach zginęło kilkaset osób. Marginesowo można dodać, że sprawa ta do końca nie jest jeszcze wyjaśniona i dają się słyszeć poważne głosy, że była to makabryczna prowokacja, która miała w oczach całego świata skompromitować ortodoksyjne sfery.

Walka między popieranym przez olbrzymią większość muzułmanów sunityzmem, a „muzułmańskim protestantyzmem", szyityzmem, rozpoczęła się jeszcze w drugiej połowie VII wieku, na tle wzajemnych pretensji do godności chalifa (błędnie w językach europejskich nazywanego kalifem), a także różnic religijno-dogmatycznych, czy częściowo nawet i społecznych. Poprzez wieki różnie toczyły się losy szyityzmu. W niektórych okresach czasu ekspansja jego sięgała bardzo daleko, w innych ograniczała się tylko do Iranu i terenów sąsiednich: Iraku i Azerbejdżanu. Z szyityzmu wreszcie, wywodziły się liczne sekty muzułmańskie, odgrywające w przeszłości, czy nawet i obecnie (jak na przykład ismailici) ważną rolę w świecie islamu.

Typową cechą szyityzmu jest fanatyzm religijny. Zarazem jednak występują silne tendencje radykalizmu społecznego. Różne kierunki szyityzmu głoszą zasadę równości społecznej, potępiają nadmierne gromadzenie dóbr ziemskich, podkreślają znaczenie ubóstwa, jako drogi wiodącej do raju. Większość tych ruchów społecznych, jakie w przeszłości miały miejsce na terenach opanowanych przez islam, nawiązywała do religijnych doktryn szyityzmu. Nie przeszkadzało to zresztą niektórym z przywódców szyickich, którzy rozpoczęli walkę pod radykalnymi hasłami społecznymi, przejść następnie na pozycje obrońcy feudalizmu. Tak np. na przełomie XV i XVI wieku wódz azerbejdżański Ismail stanąwszy na czele radykalnego ruchu szyickiego, tzw. Kyzyłbaszów (po azerbejdżańsku Czerwonogłowy), stworzył potężne państwo obejmujące Iran, Azerbejdżan i wiele terenów sąsiednich które pod panowaniem jego potomków, tzw. Sefawidów czy Safafidów (w języku azerbejdżańskim istnieją dźwięki pośrednie pomiędzy „a" i „e"), przetrwało to do pierwszej połowy XVIII wieku, a w którym zapanowały typowe feudalne stosunki. Mimo wszystko wśród szerokich rzesz zwolenników szyityzmu społeczny radykalizm bardzo często mieszał się w jedno z religijnym fanatyzmem.

Obecnie wyznawcy szyityzmu są najliczniejsi w Iranie (ok. 82—84 proc. ludności), w Iraku (ok. 60 proc.) w Jemenie, wśród wyznających jeszcze islam radzieckiego Azerbejdżanu. Poważniejsze skupiska szyitów są również w Afganistanie, Pakistanie, Indiach.

W Iranie od pierwszych lat XVI wieku szyityzm był religią państwową. Wpływy jego na sfery rządowe były olbrzymie. Wszelkie próby przeciwstawienia się duchowieństwu szyickiemu przez władców irańskich kończyły się tragicznie. Najwybitniejszy z szachów, zdobywca wielu krajów, a m.in. i przeważającej części Indii, Nadir, gdy próbował doprowadzić w Iranie do zjednoczenia szyitów z sunnitami, został zasztyletowany we własnym namiocie w 1747 roku.

W drugiej połowie XIX wieku w życiu religijnym Iranu odegrał bardzo ważną rolę ruch religijny zwany babizmem, a później po jego rozgromieniu ruch zwany bahaizmem. Pomijając skomplikowane tendencje dogmatyczne należy jednak stwierdzić, że były to również ruchy o bardziej silnym zaakcentowaniu radykalnej problematyki społecznej w których naiwnie zresztą formułowane zalecenia równości odgrywały bardzo ważną rolę. A chociaż babizm został złamany a bahaizm tracił popularność, to raz rzucone hasła znalazły silny oddźwięk wśród szerokiej rzeszy ludności, a także wśród niższego duchowieństwa szyickiego.

„BIAŁA REWOLUCJA"

Niepopularność i słabość szachów z dynastii Kadżarów spowodowała, że w ostatnich latach XIX i na początku XX wieku bardzo poważnym autorytetem, który występował przeciw nadużyciom administracji państwowej stało się duchowieństwo szyickie. Tak np. w 1890 r. zdecydowanie wystąpiło ono przeciwko szachowi, który za śmiesznie niską sumę sprzedał angielskim kapitalistom prawo do monopolu tytoniowego. Władze duchowne ogłosiły zakaz palenia tytoniu i bojkot sklepów sprzedających wyroby tytoniowe. I oto pod naciskiem duchowieństwa, które zresztą w danym wypadku broniło interesów narodowych, szach zmuszony został do anulowania koncesji.

W 1907 roku duchowieństwo poparło ruch skierowany przeciwko szachowi mający na celu wprowadzenie reform ustrojowych, a mianowicie zwołania parlamentu. Dostojnicy duchowni zabronili wojsku strzelać do manifestantów i szach musiał skapitulować.

Władza szachów z dynastii Kadżarów nie była popularna. Nic więc dziwnego, że bez większego trudu obalona została przez energicznego dowódcę wojskowego Reza Szacha.

Foto: L. Włodkowski

który w 1925 r. sam ogłosił się szachem. Początkowo nowy władca starał się pozyskać poparcie potężnego kleru szyickiego. Szybko jednak drogi ich rozeszły się. Szach począł wprowadzać powierzchowne zresztą reformy. Nakazał ubierać się po europejsku, zalecał mężczyznom golić brody, a kobietom odsłaniać twarz. Na tym tle doszło do pierwszych zatargów z klerem. Z biegiem lat przybierały one coraz bardziej na sile.

Jednocześnie centralistyczne tendencje szacha doprowadziły do licznych walk w prowincjach zamieszkiwanych przez mniejszości narodowe. W walkach tych poważnie zaangażowany był lokalny kler szyicki, który bronił praw miejscowej ludności przeciw irańskiemu centralizmowi.

W latach drugiej wojny światowej i zaraz bezpośrednio po niej w wielu prowincjach Iranu rozpoczęły się silne ruchy społeczne domagające się daleko idących reform. Bardzo poważną rolę odegrał w nich radykalnie nastawiony niższy kler szyicki, przeważnie zresztą azerbejdżański i kurdyjski. Ortodoksyjne wyższe władze duchowne, chociaż w pewnym stopniu zaniepokojone postępowymi hasłami prowadząc cichą wojnę z szachem, nie starały się temu przeciwdziałać. Ruchy te zostały stłumione, a wśród ich ofiar znaleźli się i duchowni, którzy przez masy ludowe uznani zostali za „świętych bojowników za wiarę".

W latach pięćdziesiątych doszło w Iranie do poważnych wstrząsów spowodowanych polityką prowadzoną przez przywódców opozycji przeciw szachowi, a później premiera, dr Mossadeka. Ów mąż stanu dążył do przeprowadzenia nacjonalizacji nafty irańskiej, z której zyski czerpał wówczas głównie międzynarodowy (przeważnie angielski) kapitał. W walce tej, z jednej strony Mossadek opierał się o lewicę, która starał się pozyskać radykalnymi hasłami społecznymi, jak i na wyższym duchowieństwie szyickim, które zjednywał różnymi ustępstwami sprzecznymi nawet z podstawowymi założeniami jego polityki, a także wygrywając niechęć jaką ono żywiło w stosunku do państw europejskich (szczególnie Anglii) oraz reprezentujących je sfer kapitalistycznych.

Walka szacha z Mossadekiem miała przebieg dramatyczny. Premier porwał pismo szacha odwołujące go z tego stanowiska. Mimo poparcia szerokich rzesz ludności Mossadek został obalony przez wierną szachowi grupę wyższych oficerów (sierpień 1953 r.).

Odniósłszy zwycięstwo i wyeliminowawszy Mossadeka z życia politycznego szach postanowił walczyć dalej broniąc swego rywala. Przeprowadza pewne reformy gospodarcze i społeczne (np. częściową parcelację ziemi państwowej, duchownej i obszarniczej). Rozpoczyna się okres tzw. rewolucji szacha i narodu lub „białej rewolucji". Szczególnie po gwałtownej zwyżce cen ropy naftowej w 1973 r., gdy kasy państwowe poczęły się zapełniać „petrodolarami" zdawało się że nic nie przeszkodzi energicznemu władcy w jego poczynaniach. Tymczasem w ostatnich miesiącach zupełnie niespodziewanie Iran stał się terenem gwałtownych wystąpień, kierowanych w znacznym stopniu przez szyickie duchowieństwo.

W walce tej, podobnie jak i w czasach rządów Mossadeka, dochodzi do połączenia sił różnych czynników, a więc skłóconego z panującą dynastią ortodoksyjnie nastawionego wyższego duchowieństwa szyickiego, mniejszości narodowych stanowiących blisko połowę ludności Iranu, kierowanych w znacznym stopniu przez miejscowe duchowieństwo, a także elementów lewicowych, wśród których nie brak jest niższych duchownych, „zarażonych" doktrynami radykalnych odłamów szyityzmu. Z pewnością wśród sojuszników występują bardzo silne rozdźwięki. Cele ich też są na dalszą metę zupełnie odmienne. Chwilowo jednak łączy ich wspólna nienawiść w stosunku do otoczenia szacha które w wielu wypadkach w nielegalny sposób dorobiło się olbrzymich majątków na industrializacji kraju, niechęć do coraz to bardziej bogacących się warstw kapitalistycznych, które zresztą prowadzą najbardziej zachodnioeuropejski czy też amerykański styl życia, drażniący zarówno szyickich ortodoksów jak i żyjące w nędzy masy ludowe. O ile początkowo domagano się tylko zmiany ekipy rządzącej oraz likwidacji niektórych organów policji, to obecnie coraz silniej wysuwa hasła likwidacji monarchii i wprowadzenia na jej miejsce „Irańskiej Republiki Islamskiej".

CO DALEJ?

W walce tej czynnikiem decydującym będzie z pewnością armia, oficerowie której pozornie zachowują bezgraniczną wierność wobec szacha. Nie można jednak zapominać, że wpływy różnych kręgów opozycji na wojsko jest bardzo duże. A w Iranie żywa jest jeszcze pamięć o wypadkach z 1907 roku gdy duchowieństwo zabroniło żołnierzom strzelać do manifestantów i ówczesny panujący musiał pójść na daleko idące ustępstwa. Być może najbliższe już tygodnie pozwolą stwierdzić która ze stron wyjdzie zwycięsko z tej walki.

JERZY URBANKIEWICZ

„MIOTAŁEM GŁAZY DO RUCZAJU" czyli o pożytku uczenia się języków obcych

Jak wielkie znaczenie może mieć dobra znajomość języka, świadczy następujące wydarzenie z czasu ostatniej wojny. Niemcy usiłowali znaleźć kogoś w obozach jeńców angielskich, kto by za miskę soczewicy opowiedział przez radio walczącym Brytyjczykom, jak to jest dobrze w niemieckiej niewoli. Jeńcy z pogardą odrzucali propozycje, wreszcie jednak znalazł się jakiś Jimmy z przedmieść Londynu, który podjął się zadania. Zawieziono go do studia, włączono mikrofon, on zaś powiedział: „Jest nam tu znakomicie, mamy świetne jedzenie, ciepło i rozrywki. Powiedzcie o tym piechocie, lotnictwu, a także „tell that to the marines". Ostatni fragment dosłownie znaczy: „powiedzcie o tym piechocie morskiej". I tak to zrozumieli Niemcy. Natomiast cała Anglia pękała ze śmiechu, gdyż zdanie to w potocznej angielszczyźnie znaczy tyle co nasze: „powiedz o tym mojej nieboszczce babci".

Okazuje się więc, że znajomość języka polega nie tylko na znajomości struktur i słów. Słowa miewają swoje odcienie znaczeniowe, ignorant zaś może się znaleźć w sytuacji, w jakiej się znalazł pewien Anglik uczący się języka polskiego bez pomocy nauczyciela. W czasie pierwszej wizyty w Polsce wróciwszy ze spaceru, poinformował polskich przyjaciół: Miotałem głazy do ruczaju", co miało oznaczać: „puszczałem kaczki na wodzie". Wreszcie adept obcego języka musi się liczyć z wieloznacznością niektórych słów, a więc z ta ich właściwością, która się chętnie wykorzystuje w zamierzonych dowcipach, która zaś może ośmieszyć mówiącego w innym przypadku. Mamy tu więc do czynienia z jednej strony z anegdotycznymi objawami niedouczenia czy ignorancji, z drugiej zaś strony — z poważnymi problemami stanowiącymi przedmiot badań naukowych. I te właśnie problemy stały się jednym z głównych tematów sesji, jaka odbyła się w Łodzi w ramach obchodów **30-lecia Klubów Międzynarodowej Prasy i Książki.**

„Empik" zdobył sobie popularność działaniami różnorodnymi nauczanie zaś języków obcych przysporzyło mu sławy. Zgodnie z informacją dyrektora Departamentu Kształcenia Ustawicznego w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, mgr **Rosewalda**, do organizacji społecznych zajmujących się nauczaniem języków obcych zgłasza się rocznie ponad 120 tysięcy chętnych. Olbrzymią ich większość uczy się czterech podstawowych języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego, chociaż ludzie interesują się wieloma innymi. Np. co roku działają 2—3 kursy języka esperanto, tyleż języka portugalskiego, a także niektórych innych. Ponad 60 procent społecznego zapotrzebowania na naukę języków obcych zaspokajają trzy instytucje: **Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, „Lingwista" i Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki.**

Jeżeli w roku szkolnym 1956/57 uczyło się w 8 klubach 1.500 słuchaczy u 20 lektorów, to obecnie 25.000 słuchaczy korzysta z nauki w 65 klubach, liczba zaś lektorów wzrosła do 680. Zaczynano od wspomnianych 4 języków, dziś uczy się 11, zainteresowania zaś układają się w następującej kolejności: 56 proc. słuchaczy uczy się angielskiego, 27 proc. niemieckiego, 13 proc. francuskiego. Dalej idą: włoski, rosyjski i inne.

Z dotychczasowej praktyki wynika, że nie można poprzestać tylko na nauczeniu posługiwania się słowem i struktura zdania, oszczędny zaś czas trwania kursów nie pozwala lektorowi na udzielenie większej uwagi subtelnościom językowym, obyczajom danego kraju, jego kulturze. Na sprawy te zwróciła na sesji uwagę dr **Janina Smólska**, przeciwstawiając tzw. kompetencji lingwistycznej (tj. umiejętności posługiwania się słowami i strukturami) — „kompetencję komunikacyjną", czyli umiejętność posługiwania się językiem w warunkach znajomości całej tej otoczki kulturowej. Temat rozwinął znawca literatury angielskiej, prof. dr **W. Ostrowski** (od którego zapożyczyłem dwie znakomite anegdoty przytoczone na wstępie).

Jeśli idzie o te znajomość obyczajów i kultury danego kraju, to Klub Międzynarodowej Prasy i Książki wyręcza lektora i stwarza drugi, równoległy nurt nauczania w formie wystaw, wyświetlania filmów, spotkań z cudzoziemcami i innych imprez, w których obok zastosowanego w praktyce języka pojawia się podana w atrakcyjnej formie informacja o tamtych jakże istotnych sprawach. Działalność tego rodzaju nie może się obejść bez zainteresowanych partnerów. Są nimi: British Council, Ambasada Francuska, Ośrodek Kultury NRD.

W związku z wszystkimi tymi sprawami obserwuje się interesujące zjawisko doskonalenia zawodowego lektorów. Nauczanie języków obcych odbywa się w trzech płaszczyznach: w szkole, na lektoratach uczelnianych i wreszcie — nauczanie dorosłych na kursach takich jak prowadzone przez MPiK. Pozornie jest to to samo. W rzeczywistości nauczanie dorosłych wymaga kwalifikacji specjalnych, a nie ma instytucji, która mogłaby pochwalić się pełną znajomością tej dziedziny, oparta o badania naukowe, sprawdzona w praktyce. Na wspomnianej sesji omawiała te sprawy dr **Irena Granicka**. Z pozycji pracownika naukowego i długoletniego konsultanta na kursach dla dorosłych podała komplet cech, jakie winny charakteryzować lektora na takich kursach. Musi być kulturalny, pomysłowy, gotów do szeroko rozumianej pomocy słuchaczom, dowcipny.

Wymaganiom tym nie każdy sprosta, ograniczone zaś są możliwości wykształcenia tych cech w dorosłym człowieku. Szkoła pracuje według opracowanego programu, kto się nauczy dostanie piątkę, kto się nie nauczy — dwójkę. Lektorat uczelniany otwiera możliwości czasami bardzo szerokie, ale stopień, w jakim student z nich korzysta, to jego sprawa. Dorosły natomiast — „płaci i wymaga". Jeżeli płaci, wymaga i uczestniczy w kursie własnym wysiłkiem, jeżeli przy tym takiej jego postawie odpowiada scharakteryzowana wyżej postawa lektora, to powstaje w ten sposób idealne warunki do szybkiego nauczenia się języka obcego.

W praktyce z dorosłymi słuchaczami różnie bywa. Natomiast lektor musi być zawsze na poziomie, toteż „Empik" stosuje różne metody doskonalenia swoich lektorów. Sojuszników ma — jak powiedziałem — w powołanych do tego instytucjach zagranicznych takich jak British Council, odpowiednia agenda Ambasady Francuskiej, Ośrodek Kultury NRD. Tam wypracowuje się metody pracy nad doskonaleniem lektorów oraz nad nauczaniem słuchaczy. Na przykład British Council przygotowuje na rok przyszły kurs dla lektorów który przeprowadzony zostanie w Polsce przez wykładowców angielskich. Ambasada Francuska zorganizowała niedawno konkurs znajomości języka dla słuchaczy. Dziesięciu laureatów odwiedziło Francję.

Trudności czasowe dorosłych słuchaczy kursów językowych wzięto pod uwagę, kiedy grupa anglistów przygotowała telewizyjny kurs w oparciu o sympatyczny film „Walter nad Conny". Brak było — jak powiedział dr **B. Krakowian** — informacji, co się dzieje „po tamtej stronie ekranu", po stronie słuchaczy. Zorganizowano więc kurs konsultacyjny. Zajęcia odbywały się co dwa tygodnie ci którym nie udało się obejrzeć wszystkich programów, lub czegoś nie zrozumieli, mieli okazję uzupełnienia wiedzy.

Zorganizowanie kursów językowych w ośrodkach uniwersyteckich nie przedstawia większych trudności. Posiadanie laboratorium nie stanowi warunku niezbędnego. Magnetofon za 3.000 zł, pare nagrań i podręczniki — to już zupełnie wystarczający zaczątek kursu w sensie wyposażenia. Ale skąd brać lektorów?

O dojazdach z miast uniwersyteckich nie ma co marzyć. Czas na nie tracony przelicza się na pieniądze. Wprawdzie uczestnicy sesji byli na tyle przyzwoici, że nie doszukiwali się kłopotów w tej dziedzinie, ale prawda jest taka, że stawki lektorskie uległy w ciągu ostatnich 15 lat pewnemu zróżnicowaniu w zależności od kwalifikacji. Mogą więc stanowić problem dojazdy w granicach miasta, a co dopiero poza nie. Czyżby z tego wynikało, że wszystko co leży poza ośrodkami uniwersyteckimi jest skazane na jakże zawodną naukę własną („miotałem głazy do ruczaju")? — Chyba tak. I tu na marginesie 30-letniej działalności MPiK rodzi się refleksja, że nasza telewizja, której jednym z pierwszych zadań winno być dotarcie z nauką i kulturą tam, gdzie nie ma sił własnych, nie dorosła do tego zadania. Namiastki w rodzaju „słowa wstępnego" przed każdym spektaklem, filmem fabularnym i rysunkowym to wybieg, pożyteczny dla autorów „słowa wstępnego" ale przeważnie bez wartości dla kogoś odległego fizycznie od centrów kultury. Nic nie wskazuje na to, by języków obcych uczono się poza większymi miastami pomimo emitowania kursów radiowych i telewizyjnych.

Jest to szkoda z kilku powodów. Nasza kooperacja ze światem w wielu dziedzinach wzmogła się ostatnio znacznie, a prawda jest taka, że szkoła średnia prawie nie wypuszcza absolwentów mówiących obcymi językami, chyba, że są to kandydaci na filologię, kończący specjalne licea; że absolwenci wyższych uczelni tylko w bardzo rzadkich przypadkach władają obcym językiem, cały więc ciężar odpowiedzialności za tę dziedzinę spoczywa na instytucjach społecznych, w rodzaju MPiK. A nie zapominajmy, że obok względów gospodarczych czy kulturalnych istnieje jeszcze inny, doniosły wzgląd, dla którego omawiane tu sprawy wymagają uporządkowania. Nic tak jak możność bezpośredniego porozumienia się z cudzoziemcem nie sprzyja rozwojowi tych stosunków, których wielka liczba składa się na pragnienie współżycia i pokoju.

WACŁAW PAWLAK

TRUDNA WOLNOŚĆ

11 listopada 1918 r. był ostatnim dniem niemieckich rządów w Łodzi. Po usunięciu władz okupacyjnych, magistrat łódzki, wyłoniony w wyborach samorządowych jeszcze za czasów okupacji, natychmiast przystąpił do swych normalnych zajęć. Postępowały także prace nad organizacją milicji i armii. W krótkim czasie sformowano 28 pułk piechoty.

Partie i stronnictwa polityczne ożywiły swoją działalność. Prawica, zgrupowana w Zjednoczeniu Narodowym, wykorzystując duże doświadczenie polityczne i rozporządzając znacznymi środkami finansowymi, przystąpiła do umocnienia swoich wpływów w łódzkim społeczeństwie. Również partie robotnicze rozwinęły aktywną działalność. Szeregi proletariatu wzmacniały rzesze robotników, w czasie okupacji wywiezionych do pracy przymusowej w Niemczech, a powracających teraz do rodzinnego miasta.

Partie lewicowe wystąpiły z programem radykalnych reform społecznych oraz przejęcia władzy przez proletariat. Przejawem owych dążeń było utworzenie z inicjatywy PPS Rady Robotniczej m. Łodzi. Miała ona reprezentować interesy proletariatu i stanowić przeciwwagę opanowanego przez prawicę samorządu miejskiego. Partie skrajnie lewicowe: SDKPiL oraz PPS-Lewica powołały odrębną Radę Delegatów Robotniczych.

Istnienie na terenie miasta dwóch rad robotniczych o różnych założeniach programowych i wzajemnie się zwalczających osłabiało ich znaczenie. Wkrótce jednak osiągnięto porozumienie i nastąpiło połączenie obu rad. Było to wydarzenie polityczne dużej wagi, gdyż nowa Rada Robotnicza reprezentowała odtąd interesy całego łódzkiego proletariatu.

Władze miejskie już od pierwszych dni niepodległości musiały borykać się z niesłychanymi trudnościami gospodarczymi. Długo trwała wojna i okupacja doprowadziły miasto do ruiny. A jednak — mimo ogromnych zniszczeń — już na początku 1919 r. ruszyły pierwsze zakłady przemysłowe. Odbudowa zdewastowanych fabryk i ich uruchomienie wymagały pokonania szeregu przeszkód. Zwiększał je dodatkowo brak węgla, spowodowany głównie niedostateczną ilością taboru kolejowego. Jednakże podstawową przyczyną powolnego tempa odbudowy łódzkiego przemysłu była utrata rosyjskiego rynku zbytu, który przed wojną odbierał trzy czwarte produkcji.

Nastroje radości, wywołane odzyskaniem niepodległości kraju, mąciło nasilające się bezrobocie i szerząca się nędza. Znaczna już armia bezrobotnych ciągle zwiększała swoje szeregi o tysiące łodzian powracających do miasta z wojennej tułaczki. Liczba osób poszukujących pracy osiągnęła wkrótce kilkadziesiąt tysięcy. Wyłącznym źródłem utrzymania trzeciej części mieszkańców były skromne zasiłki, wypłacane z funduszów państwowych.

W obliczu niesłychanego bezrobocia i wzrastającego stąd niezadowolenia społeczeństwa odbyły się w Łodzi pierwsze od uzyskania niepodległości wybory samorządowe. Zwycięstwo odniosły partie robotnicze. Sukcesem wyborczym podzieliły się Polska Partia Socjalistyczna i Narodowy Związek Robotniczy. Na stanowisko prezydenta miasta powołany został działacz PPS, dotychczasowy komisarz ludowy, Aleksy Rżewski. Przewodnictwo Rady Miejskiej objął również socjalista — Antoni Remiszewski. Komunistyczna Partia Robotnicza Polski — założona w grudniu 1918 r. w wyniku połączenia SDKPiL z PPS—Lewicą — w wyborach tych udziału nie wzięła.

Socjaliści, po odniesionym sukcesie w wyborach samorządowych i objęciu władzy w mieście, nie byli zainteresowani dalszą działalnością Rady Robotniczej, toteż wkrótce odwołali z niej swoich przedstawicieli. Uprzednio opuścili Radę delegaci NZR. Osłabiona Rada Robotnicza nie mogła skutecznie wypełniać swoich zadań i po kilkumiesięcznej wegetacji zmarła „śmiercią naturalną".

Pierwsze miesiące sprawowania rządów przez nowe władze miejskie upłynęły im na ciągłym borykaniu się z rosnącą falą bezrobocia. Problemu tego nie rozwiązywało częściowe uruchomienie przemysłu, gdyż dawał on zatrudnienie zaledwie 10 tys. osób. Kluczowe zakłady włókiennicze nadal były nieczynne z braku surowców. Wprawdzie na Stokach rozpoczęto wielkie roboty publiczne przy budowie kolei Łódź—Kutno, ale inwestycja ta nie spowodowała znaczniejszego rozładowania bezrobocia.

Ciężkie położenie ekonomiczne Łodzi pogarszały jeszcze dotkliwe braki w zaopatrzeniu mieszkańców w artykuły codziennej potrzeby, jak chleb, mąka, sól i cukier. Wprawdzie żywność była reglamentowana, ale ludność na posiadane karty żywnościowe nie otrzymywała należnych jej przydziałów z tej przyczyny, że magazyny były puste. Braki żywnościowe wywoływały fale drożyzny. Lichwa i paskarstwo rozwinęły się na niespotykaną miarę. Władze wzięły się ostro za paskarzy, nakładając na nich wysokie grzywny, niewiele to jednak pomagało. Hydra spekulacji ciągle odrastała.

Rozpaczliwe apele prezydenta miasta o pomoc dla nękanej głodem i bezrobociem Łodzi przechodziły w stolicy bez należytego echa. Prawicowy rząd głuchy był na te wołania, zapewne licząc, że pozostawiony w bezradnym położeniu socjalistyczny magistrat łódzki zostanie zdyskredytowany w opinii miejscowego społeczeństwa.

Przed ratuszem prawie codziennie odbywały się demonstracje bezrobotnych pod hasłem: pracy i chleba! Demonstracje przybrały na sile, kiedy ograniczono roboty przy budowie kolei Łódź—Kutno. Wówczas to spośród 10 tys. zatrudnionych pozostawiono przy pracy zaledwie 2 tys. osób.

Szczytowe nasilenie demonstracji nastąpiło 17 września 1919 roku. Już od samego rana olbrzymie tłumy bezrobotnych zebrały się na Nowym Rynku (plac Wolności) i przyległych ulicach. Demonstracje początkowo przebiegały spokojnie. Kiedy przedstawiciele bezrobotnych prowadzili pertraktacje z prezydentem miasta, Rżewskim, nieoczekiwanie silne oddziały policji pieszej i konnej zaatakowały zgromadzony tłum. Wywiązała się zacięta bitwa, w wyniku której zginęło pięciu robotników i jeden policjant. Kilkadziesiąt osób odniosło rany.

Wydarzenia te rozwiały ostatecznie złudzenia o demokratycznych rządach w niepodległej Polsce. Radość z odzyskania własnego państwa poczęła ustępować miejsca trosce o zabezpieczenie bytu materialnego.

Pomimo pogłębiającej się depresji gospodarczej i ostrych konfliktów klasowych Łódź zdobyła się w tym czasie na prawdziwie rewolucyjny krok dla przyszłości kulturalnej miasta. W połowie 1919 r. uchwałą Rady Miejskiej wprowadzono na obszarze miasta obowiązek powszechnego nauczania młodzieży. Miejscowi działacze oświatowi na czele z ławnikiem dr Stefanem Kopcińskim w zadziwiająco krótkim czasie zorganizowali szkolnictwo podstawowe dla wszystkich dzieci wchodzących w wiek szkolny. Łódź stała się pierwszym miastem w byłym Królestwie Polskim, które wprowadziło i z powodzeniem realizowało obowiązek szkolny.

Jesienią 1919 r. uruchomiono wreszcie największe w Łodzi zakłady przemysłowe Geyera, Scheiblera i Poznańskiego. Wprawdzie początkowo czynne one były tylko na jednej zmianie, ale sam fakt ich uruchomienia dla mieszkańców nękanych bezrobociem otwierał pomyślniejsze perspektywy na przyszłość. Armia bezrobotnych zmalała o kilkanaście tysięcy osób.

Obok pocieszających notatek z frontu gospodarczego prasa łódzka coraz częściej zamieszczała niezbyt radosne informacje o toczącej się wojnie na Wschodzie. Pojawiły się nekrologi poległych łodzian. Wojna z radziecką Rosją przybierała na sile, nie wróżąc nic dobrego dla kraju, a tym więcej dla Łodzi, która całe swoje nadzieje pokładała w ponownym nawiązaniu stosunków handlowych ze wschodnim sąsiadem Polski.

„Dobranoc BETTINO" – tytuł jak kołysanka...

Pozycja z rzadko goszczącego na naszych scenach i trudnego gatunku zainaugurował swój kolejny sezon łódzki Teatr Muzyczny wystawiając dzieło Garinei'ego i Giovanniniego z muzyką Kramera pt. **„Dobranoc Bettino"**.

Komedia muzyczna stawia realizatorom i wykonawcom tak trudne wymagania, że wysoko ceniąc jej wartość nieczęsto sięgają oni po najbardziej nawet atrakcyjne tytuły. Tutaj bowiem nic się samo nie broni, a realizacja jest zawsze próbą tyleż talentów, co i umiejętności warsztatowych oraz rzetelnej, wytrwałej pracy. Świadomi odpowiedzialności za kształt przedstawienia artyści częstokroć boją się (i słusznie) podjęcia takiej próby, bowiem jej powodzenie wymaga koniecznych gwarancji i bez nich nie warto nawet marzyć o tego typu przedsięwzięciu.

W minionym sezonie mieliśmy już pierwsze, po kilku chudych latach, udokumentowane przy tym konkretnymi faktami zapowiedzi większych niż dotychczas możliwości inscenizacyjnych i wykonawczych Teatru Muzycznego. Kilka udanych premier wzmocniło nieco pozycję tej sceny i słusznie rozbudziło jej ambicje. Z radością stwierdzamy dokonany już fakt sięgania po rzeczy trudniejsze i podejmowania bardziej skomplikowanych zadań. W planach repertuarowych przedstawionych przez dyrektora i kierownika artystycznego tej placówki Aleksandra Długosza znajdują się dalsze atrakcyjne tytuły, których realizacja ma pełne szanse powodzenia. Wierze w to po obejrzeniu spektaklu pt. „Dobranoc Bettino".

Komedia ta, do której sami autorzy zachęcili nas w programie skromnymi bardzo słowy, okazała się w istocie materiałem godnym najlepszych rekomendacji. Jest bowiem „Bettina" utworem naprawdę zabawnym, skomponowanym ze świetną znajomością praw swego gatunku i wymogów muzycznej sceny. Powstała pod piórami wytrawnych twórców, znakomitych „specjalistów od rozrywki i piosenki", **Pietro Garinei** i **Sandro Giovannini** oraz kompozytor **Gorni Kramer** napisali wspólnie kilkanaście komedii muzycznych. Gościły one na wielu scenach Europy odwiedzając także Polskę i jej teatry muzyczne.

„Bettina", która w 17 lat od swej warszawskiej premiery zawitała do Łodzi niczego zaiste nie straciła ze swej młodzieńczej świeżości i wdzięku, miłe natomiast przypomniała odległa (jak ten czas leci...) epoka rock-and-rolla (tym razem we włoskim wydaniu) i to wszystko, co ów przełomowy dla rozrywki czas dokonał w świadomości i w sferze potrzeb duchowych przeciętnego zjadacza chleba i... spaghetti.

Tytułowa Bettina to postać fikcyjna i bulwersująca odwagą obyczajów, a bulwersująca tym bardziej, że jej odwagę i erotyczne przeżycia wymyśliła prawdziwa bohaterka komedii, rozczarowana nieco urokami małżeństwa z urzędnikiem bankowym poświęcającym jej zbyt mało czasu i zainteresowania urocza i wierna Nicoletta, która jak przystało w dzień marzy o willi przy Via Apia, a w nocy nieprzystojnie śni przy boku kochanego męża o super-mężczyźnie imieniem Joe. Swoim marzeniom nadaje Nicoletta formę książki, rękopis przypadkiem trafia do wydawcy, rzecz staje się przebojem księgarskiego rynku i przyczyną całej serii małżeńskich nieporozumień, które przecież znajdują swoje szczęśliwe (wszak to komedia) zakończenie. Owe wynikające jedne z drugich nieporozumienia bawią przy tym swymi komplikacjami widzów oglądających tę zgrabnie i z wdziękiem zbudowaną na przedstawionym tu po krótce szkielecie fabularnym komedię. „Bettina" spółki Garinei — Giovannini — Kramer urzeka lekkością i wdziękiem zgrabnym dialogiem, dobrym dowcipem sytuacyjnym i słownym, celnie zarysowanymi sylwetkami bohaterów i wcale dobrą muzyką. „Bettina" zrealizowana na łódzkiej scenie przez **Aleksandra Długosza** (inscenizacja i reżyseria), **Władysława Rosse** (kierownictwo muzyczne), **Barbarę Michiewicz-Szrajber** (scenografia) i **Zygmunta Kamińskiego** (choreografia) jest godnym uwagi i obejrzenia przedstawieniem, które przygotowano z wyraźną troską o jego możliwie najlepszy kształt sceniczny.

W dniu premiery „Bettiny" już pierwsze minuty tego spektaklu przyniosły miłe zaskoczenie. Pod batutą **Władysława Rossy** ładniej niż zwykle, szlachetnie niemal brzmiała orkiestra, wiele świetnie zarysowanych sytuacji scenicznych potwierdziło nasze przekonanie o dobrym warsztacie reżyserskim **Aleksandra Długosza**, a wszyscy wykonawcy swoim bardzo poprawnym na ogół aktorstwem zasłużyli sobie na najcieplejsze wyrazy. Szczególnymi i w pełni zasłużonymi brawami nagrodziła publiczność **Janusza Duńskiego** (Marcello) i **Arlettę Włodarczyk** (Nicoletta). Janusz Duński prostymi środkami zbudował prześmieszną postać pełnego kompleksów męża swej nagle sławnej (i to jak?!) żony, zaś Arletta Włodarczyk (gdy minęło już skrępowanie debiutem na muzycznej scenie) ujmowała nas dziewczęcym wdziękiem we właściwych proporcjach łączonym z odrobiną pikanterii. Podobali się

Teatr Muzyczny: DOBRANOC BETTINO (scena zbiorowa)
Foto: Ch. Zieliński

także: **Czesław Jarosiewicz** (w roli dyrektora banku) i **Anna Gębicka** (jako jego — no, powiedzmy: nieco tylko — niesforna żona), a także **Zbigniew Bobowski** (wydawca Colibo) i **Adam Koziołek** (Venturi, przyjaciel Marcella). W rolach rodziców młodej pary oglądaliśmy **Krystynę Przybylską-Potemską** i **Stanisława Kamińskiego**. Intermedia w ich wykonaniu wydały mi się jednak trochę za długie, zwłaszcza, że wokalna strona ich partii nie pozostaje niestety bez zastrzeżeń. Cień żalu za nie wykorzystaną niestety szansą „roztańczenia" całego widowiska budzi choreografia będąca dziełem Zygmunta Kamińskiego. Płaskie (w geometrycznym znaczeniu) układy taneczne nie były niestety tak ciekawe, jak dyktowała to pełna zmiennych rytmów muzyka Kramera. Oprawie plastycznej spektaklu przyznaję niezbędną tu funkcjonalność. Szkoda jednak, że pod wymogiem funkcjonalności na dalszy plan odsunięto urodę dekoracji i szyk kostiumów.

Świadomie zostawiwszy uwagi o niedomogach spektaklu na koniec recenzji raz jeszcze pragnę podkreślić, iż niedociągnięcia te nie osiągnęły rozmiarów tak dużych, bym z czystym sumieniem nie mogła polecić Państwu tego przedstawienia. Z całą pewnością swoim humorem i wdziękiem rozjaśni ono widzom długie zimowe wieczory.

EWA PANKIEWICZ

MALARZE GOŁĘBIEGO SERCA

Łódzkie **Biuro Wystaw Artystycznych** eksponuje w Galerii Sztuki przy ul. Wólczańskiej 31/33 jedną z bardziej interesujących, w moim odczuciu wystaw poznawczych — **Grafikę naiwistów francuskich**. „Naiwiści" określani przez prof. Aleksandra Jackowskiego pojęciem „insita" (łac. nieuformowany, oryginalny), a trafniej przez prof. Ksawerego Piwockiego — „współcześni prymitywi" należą do kategorii zjawisk historycznych, socjalnych psychicznych i artystycznych których interpretacja jest nawet trudna dla wytrawnych znawców tejże problematyki.

Wielu historyków sztuki m.in. Nikola Michailov, Ksawery Piwocki wywodzą „naiwnych" z XIX w. jako produkt rozkładu tradycyjnej sztuki ludowej w nowym burżuazyjnym społeczeństwie po pierwszej rewolucji przemysłowej. Kolebka „współczesnych prymitywów" jest właśnie Francja, jedno z centrów oficjalnej sztuki XIX i XX wieku, miejsce szybko rozwijającego się przemysłu fabrycznego i maszynowego, a także odradzania się haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Jej powszechnie zauważalny start światowy można oznaczyć w roku 1928, gdy marszand i koneser Wilhelm Uhde zorganizował w Paryżu słynną wystawę pięciu „malarzy gołębiego serca". Od tego czasu mnożą się wystawy tych dzieł powstają liczne monografie tych artystów, a od dwudziestu, trzydziestu lat obserwujemy prawdziwą modę i koniunkturę na tego rodzaju twórczość. Wynika to m.in. z oczywistego zmęczenia awangarda w sztuce. „Sztukę współczesnych prymitywów" uważa się często za sprzymierzeńca przeciw ogarniającej nas i męczącej cywilizacji technicznej. „Lubimy te sztukę, bo jej spontaniczne ciepło pozwala nam znosić zimny klimat tej cywilizacji" — pisał O. Bihalji-Merin (we wstępie do katalogu jednej z wystaw). Dzisiejsza moda na „sztukę współczesnych prymitywów" wynika także i z konfliktu między nią a sztuką oficjalną. Wielu koneserów, marszandów i krytyków woli popierać sztukę naiwną niż patronować niezrozumiałym poczynaniom awangardy.

Prof. Ksawery Piwocki dokonując analizy problemów „sztuki współczesnych prymitywów" wyodrębnił z niej: utalentowanych amatorów, naiwnych realistów, artystów zbliżonych w swej sztuce do mentalności dziecka („prawdziwie naiwni") wreszcie artystów dla których sztuka jest swoistą terapią w ich kłopotach wewnętrznych i psychicznych. Z analiz tych wynika, że tworzyli ją i tworzą ludzie o różnym wykształceniu, różnych zawodów, różnej kondycji socjalnej — od ludzi bardzo dobrze sytuowanych po żebraków, od chłopów i rzemieślników po włóczęgów i niewykwalifikowanych robotników.

Pierwszym wyróżnikiem a zarazem największą wartością tej sztuki jest jej daleko posunięta indywidualizacja. Wynika ona ze specyficznej sytuacji społecznej kulturowej i psychicznej jej twórców. Twórczość prymitywów, naiwistów nie powstawała na niczyje zamówienie jak sztuka ludowa i sztuka oficjalna, jest niezależna od innych dlatego też jest szczera, i spontaniczna. Prawdziwi artyści naiwni nie dbają o sukces jak to ma miejsce bardzo często u artystów oficjalnych, a jeśli zaczynają dbać przestają być najczęściej naiwni. Dla prawdziwych współczesnych prymitywów sztuka jest koniecznością. Jak pisze A. Jackowski jest „wentylem bezpieczeństwa chroniącym przed eksplozją, jedynym często środkiem kontaktu ze światem".

Drugim ważnym wyróżnikiem — właściwością tej sztuki jest jej niefrasobliwa forma: brak proporcji w stosunku do rzeczywistości, brak jasnych perspektyw, hierarchii wymiarów przedstawionych przedmiotów, powszechność akcentowania konturów.

Trzecim wreszcie wyróżnikiem jest konkretność treści i wizji.

Wystawę francuskich naiwistów ogląda się z przyjemnością i nieukrywanym wzruszeniem, a to ze względów o których wspominałam wcześniej. Ogląda się ją także z dużym zainteresowaniem m.in. dlatego, że Francja, konkretnie Paryż był swego czasu centrum owej sztuki, a zaprezentowani artyści są następcami najsłynniejszego prymitywa na świecie Celnika-Rousseau. Nic bliższego nie wiemy o autorach prezentowanej sztuki, z licznych analiz przeprowadzonych przez badaczy tego problemu wynika, że dla bardzo wielu naiwistów francuskich uprawiana sztuka jest już zawodem. Jedno jest wszakże pewne, że mamy do czynienia z artystami podszkolonymi, dla których nie są obce tajniki technik graficznych i kompozycji plastycznych, a niektórzy z nich nabyli umiejętność wytrawnego operowania barwą i plamą.

Oglądając te urzekające swą szczerością sztukę można mieć refleksje na temat jej granic i trwałości. Wspomniana moda i koniunktura na tę sztukę zabija w niej świeżość, spontaniczność i autentyczność. Tak jak przeminęła sztuka ludowa, przeminie i naiwna. Przeminie ponieważ pod wpływem rozwoju społecznego i kulturowego zmienia się warunki w jakich mogła istnieć, rozwijać się i rozprzestrzeniać.

KRYSTYNA POTOCKA

KUFER NIESPODZIANEK ALBO JAK KUPOWAĆ W CIEMNO

Adam Hanuszkiewicz: „Panowie, proszę podciągnąć anioły!"

Panowie: podciągają!!

Próba toczy się dalej. Ktoś radzi, żeby przybijać skrzydła, żeby w anioła przerobić. Najpewniej Semenkę, bo to właśnie próba „Srebrnego snu Salomei". Nic z tego, zanielone ciało będzie przeszkadzać — młodzież szkolna podziwia jak „mistrz Adam" Hanuszkiewicz, „jak on wszystko przewiduje!".

Film **„TEATR: REŻYSER i TWORZYWO"** adresowany jest do młodzieży i powinien jej uprzytomnić specyfikę pracy twórcy teatralnego. Młodzież obserwuje zmagania dyrektora Narodowego z rekwizytami, z aktorami, z muzyką, lecz wybór decyzji reżyserskich nie ilustruje procesu integracji, który podczas prób zachodzi, nic się tutaj nie dociera nie klaruje. Najlepszym tej tezy dowodem jest fakt, iż w ostatecznej wersji spektaklu niektórych z przedstawionych pomysłów inscenizacyjnych po prostu brak, inne zostały w toku pracy znacznie przekształcone. Scenariusz filmu nie wziął także pod uwagę tak podstawowego tworzywa, jakim jest tekst dramatyczny i tak istotnego etapu tworzenia, jakim jest wstępne opracowanie tego tekstu — tak zwana praca koncepcyjna.

Pozostaje mieć nadzieję, że dzieciaki zadowolą się stroną anegdotyczną filmu, nie wdając się w niebezpieczną analizę i nie szukając odpowiedzi na odwieczne pytanie: co artysta (reż. **Marek Koterski**) chciał przez to powiedzieć?

Pora na wyjaśnienia: film ów pochodzi z zestawu obrazującego najnowsze propozycje WFO, zestawu — zdaniem specjalistów z wytwórni — skupiającego zarazem utwory najciekawsze. Oczywiście nie wszystkie zaprezentowane filmy przeznaczone są do eksploatacji szkolnej, tylko dwie spośród siedmiu pozycji posiadają tak ściśle określony adres i, co zastanawiające, właśnie one budzą najwięcej zastrzeżeń merytorycznych.

Bo przecież zabiegiem co najmniej ryzykownym jest przypisywanie Stefanowi Żeromskiemu postawy zdeklarowanego socjalisty, a „Przedwiośniu" wymowy jednoznacznie lewicowej — a tego karkołomnego wyczynu dokonuje realizator filmu **„WIATR PRZEDWIOŚNIA" Wojciech Maciejewski.** Zarzut ten wszakże może być pozbawiony sensu, jeśli weźmie się pod uwagę, że jest to film dydaktyczny, prezentujący otwartą i nieobowiązującą sugestię pewnej problematyki. Ale nie jestem tego do końca pewny.

Powstałe utwory, w sposób naturalny, układają się w dwie grupy — pierwszą stanowią rejestracje zdecydowanie dokumentalne, drugą formują trzy obrazy, których twórcy wydają się być zafascynowani kreacyjnymi możliwościami filmu.

Nobilitacja codzienności

Autorem dwóch dokumentów zat. **„PAMIĘĆ"** i **„JUBILEUSZ"** jest **Wł. Wasilewski**, oba zaś filmy stanowią, jak można domniemywać, plon jednej wyprawy do zakładów im. **„Obrońców Pokoju"** i archiwum **„Polskiej Kroniki Filmowej"** — ich wspólną metodą jest konfrontacja materiału współczesnego z historycznym. Tematem frapującym Wasilewskiego jest czas, jego siła niszcząca – w odniesieniu do pojedynczych egzystencji **(PAMIĘĆ)**, i jego moc twórcza – na płaszczyźnie życia zbiorowego **(JUBILEUSZ)**. Choć najpiewniej taka interpretacja stanowić będzie dla reżysera zaskoczenie.

Kłopotliwe pytanie

Grupę filmów, w których żywiołem dominującym jest pierwiastek kreacyjny otwiera impresja-reportaż **B. Dziworskiego** o tytule **„OLIMPIADA"**, czyli śmierć królika. Część druga tytułu jest mojego autorstwa. Bo właśnie olbrzymi śnieżny posąg sympatycznego gryzonia patronuje krainie sportu-zabawy, krainie której realność zostaje w filmie zanegowana.

Otóż Dziworskiego zainteresowało zjawisko sportu dziecięcego, naturalnej i koniecznej drogi do sukcesów w sporcie dorosłym: zainteresowało i — dodajmy — zaniepokoiło. Albowiem sport uprawiany przez nasze pociechy ma charakter niezwykle spontaniczny i naturalny a cechy te oddalają go raczej od wyalienowanej rywalizacji, która jest sportu dorosłego składnikiem niezbędnym. Reakcje obserwowane przez Dziworskiego podczas zawodów zorganizowanych dla małych narciarzy ujawniają wśród konkurentów brak instynktu rywalizacji, który dopingowałby ich do walki, który zmuszałby ich do maksymalnego wysiłku.

Dzieci patrząc na świat z nieubłaganym rozsądkiem, nie widzą sensu i potrzeby działania wbrew sobie. I właśnie to naiwne i niewinne spojrzenie najmłodszych nie zdeformowanych jeszcze przez oddziaływanie naszej agonalnej kultury jednostek, stanowi poważny i istotny znak zapytania dopisany masowemu zainteresowaniu sportem.

Pozornie beztroską zabawą na śniegu, z sekwencji rozpoczynającej film, okazuje się być całkowicie przemyślanym treningiem, który jest naturalnie jedynie przygrywką do finałowej rywalizacji. Stara makiawellowska maksyma o celu uświęcającym środki funkcjonuje także a rebours: cel etycznie wątpliwy zmusza do podejrzliwości wobec prowadzących doń środków; zabawa w trening traci biel swej niewinności.

Kontrast między światem zabawy, a światem walki dobitnie podkreślony jest przez zabieg konstrukcyjny polegający na przyporządkowaniu obu sferom dwu różnych konwencji stylistycznych: „poetyckiej" i „realistycznej". Walor poetycki sekwencji zabawy budowany jest poprzez zastosowanie niezwykłych ustawień kamery, staranne komponowanie kadrów, stosowanie figur stylistycznych (metafora rumaka) — czyli koncentrację na płaszczyźnie tzw. formy.

Konwencja „realistyczna" obejmująca zdarzenia zawodów wyznaczona jest przez dominację planu treści — kamera nie dba o wartość artystyczną rejestrowanych obrazów, obchodzi ją tylko baczna obserwacja, wyszukanie i udokumentowanie charakterystycznych zjawisk.

Sztuka inna, sztuka ta sama.

Dwa obrazy zamykające ten krótki przegląd należą do odrębnej rodziny filmów o sztuce. Reprezentują zaś jakby specjalnie na użytek takich rozważań, modelowo przeciwne sposoby podejścia do tematu. Sposoby — wyjaśnijmy — całkowicie równoprawne.

Orientację „genetyczną" — wyjaśnianie dzieła poprzez twórcę, ujmowanie twórczości jako konsekwencji jego sposobu bycia, w efekcie przeniesienie punktu ciężkości z dzieła na postać jego kreatora. Takiej fascynacji sylwetką artysty uległ **Andrzej Barański** reżyser filmu o życiu i dziele **Augusta Zamoyskiego.** Ów piękny i niezwykle staranny plastycznie obraz nosi tytuł **„DRUGI DOM"**.

Orientację drugą — „strukturalistyczną" — reprezentuje film **Piotra Andrejewa „FOTOPLASTYKON"** poświęcony malarstwu **Z. Beksińskiego.** Strukturalizm metody tego filmu polega na koncentracji zainteresowania na samym efekcie aktu twórczego, na próbie jego analizy i interpretacji, w takim ujęciu portret artysty wpisany ma być w realizacje jego wizji i z nich winien zostać odczytany.

„FOTOPLASTYKON" to, poprzedzona lapidarną notką o kolejach życia, dopełniona znakomicie dramatyczną muzyką, dynamiczna ekspozycja obrazów Beksińskiego. Dynamiczna, bo bezruch świata płócien wypełniony został bezustanną aktywnością kamery ślizgającej się po szczegółach obrazów, wychwytującej detale, komponującej nowe kongenialne dzieło interpretacji i odczytania. Niebezpieczeństwo dezorientacji widza zostało zażegnane dzięki zakończeniu filmu kilkusekundową statyczną prezentacją każdego z obrazów.

Coda i przesłanie

Na tym kończy się anons nowości WFO, zawierający, jak bywa najczęściej, pozycje mniej lub bardziej „nie do odrzucenia", lecz dający zarazem świadectwo reanimacji tak nieczęstego zjawiska jak staranny warsztatowo i urodziwy plastycznie film krótki.

We wszystko to musicie mi Państwo wierzyć na tzw. „słowo" aczkolwiek życzę Wam, byście — posługując się niestety jedynie przypadkiem — trafili kiedy na któryś z tych utworów. Może przed „SZPICBRÓDKĄ"?!

PAWEŁ EDELMAN

NA DRODZE DO KOMPROMISU

Rozmowa z JERZYM ZELNIKIEM

Pamiętamy tego popularnego i lubianego aktora przede wszystkim jako Ramzesa XIII z filmu Jerzego Kawalerowicza – „Faraon". Niebawem będziemy go oglądali po dłuższej nieobecności na ekranie, w tytułowej roli serialu TV – „Doktor Murek" w reż. Witolda Lesiewicza wg znanej powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Łodzianie tłumnie odwiedzali Teatr Powszechny, aby zobaczyć Jerzego Zelnika w roli księcia Niechludowa w sztuce „Zmartwychwstanie", wg powieści Lwa Tołstoja, w reż. Lidii Zamkow.

— Czy głośny debiut zagwarantował panu równie głośną kontynuację kariery?

— Nie marzę o tym, co obiegowo składa się na pojęcie kariery: — o stanowiskach czy o popularności. I mam nadzieję, że w praktyce udaje mi się to potwierdzać. Mam sceptyczny stosunek do słowa — kariera, to co chcę robić nie nazwałbym karierą. Moja aktywność życiowa nie przylega do niego. To, do czego dążę jest po prostu — szukaniem prawdy. Jest to tak ogólne, że może brzmieć jak wykręt. Aktorstwo jest dla mnie jednym ze sposobów odpowiadania sobie na pytania, lub stawiania pytań.

— W latach 1967—72 nie było roli filmowej na miarę pańskiego debiutu. Czy nie otrzymywał pan interesujących propozycji?

— Raczej nie ale może to i dobrze... Mogłem skupić się na ciekawej pracy teatralnej w Teatrze Starym w Krakowie. Mogłem „podreperować" braki warsztatowe, których miałem jeszcze wiele po wyjściu ze szkoły.

— Przypomnijmy sobie niektóre z pana ról filmowych. Czy podziela pan moje zdanie, że rola Juliana w filmie TV — „Droga w świetle księżyca" była rolą właśnie dla pana?

— Cieszę się, że pan tak uważa, że byłem w oczach pana wystarczająco sugestywny, że przekonałem pana. Ale ja osobiście wyżej cenię rolę Edwarda w filmie „Jej powrót", również reżyserowanym przez Witolda Orzechowskiego.

— Rolę Edwarda oceniłbym w pana dorobku jako efektowne partnerowanie Beacie Tyszkiewicz, bez możliwości zaprezentowania swojego pełnego aktorstwa.

— Nie zgadzam się z tą opinią, sądzę, że rola ta dała mi wiele szans, z których niejedną — mówiąc nieskromnie — wykorzystałem. Starałem się uniknąć efekciarstwa. Stąd może wrażenie nieatrakcyjności tej roli dla widza.

— A Kapucyn z głośnego, dyskusyjnego filmu Andrzeja Kondratiuka — „Skorpion, Panna i Łucznik"?

— Jest to jedna z ról, które wyznaczyły kierunek mojego myślenia o tym zawodzie i o atmosferze pracy zespołowej.

— Zupełnie różny był Łukasz w „Dziejach grzechu" reż. Waleriana Borowczyka, rola kontyuująca pana popularność a nie osiągnięcia artystyczne.

— Zgadzam się z panem. Nie była to rola, która przylegała do moich aktualnych wtedy zainteresowań. Problemy Łukasza Niepołomskiego, jego charakter dały mi mało inspirującego materiału. Przypuszczam, że będąc skupionym niemal wyłącznie na wyrazie zewnętrznym tej postaci nie mogłem porwać widza.

Foto: R. Pajchel

— W filmie Andrzeja Wajdy — „Piłat i inni" oczekiwałem pana kolejnej interesującej roli. Czego oczekiwał pan?

— Przystępując do pracy w tym filmie zdawałem sobie sprawę, że muszę zbudować rolę Judasza ze stosunkowo niewielkiego materiału. Bałem się, że nie zbuduję trójwymiarowej postaci. Jednak w sukurs przyszedł mi Wajda ze znakomitymi pomysłami i w ten sposób kilkoma kreskami narysowaliśmy — jak sądzę — człowieka.

— Pracował pan także za granicą?

— Rok temu nakręciłem film w Hiszpanii — wystąpiłem tam w towarzystwie Jadwigi Barańskiej, Yvonne Mitchell, Patricii Neal i Valentiny Cortese. Film reżyserował debiutant — Amerykanin Tony Navarro. Mam też za sobą udział w dwóch filmach węgierskiego reżysera Imre Gyögyossy. Ostatnio grałem u niego główną rolę w filmie „Cele z oknami na morze". Mam nowe propozycje współpracy z węgierskimi kolegami.

— Dzięki filmowi stał się pan aktorem popularnym, ale chyba niedocenianym i potwierdza to pana cały życiorys filmowy, w którym ról dużego formatu było mało, przeważały mniejsze lub większe epizody.

— Ja się nie uskarżam, wydaje mi się, że moje życie w sztuce było wystarczająco bogate jako człowieka i jako aktora. Do pełnego szczęścia w zawodzie zabrakło mi może dwóch dużych ról podczas mojego 5-letniego pobytu w Teatrze Dramatycznym w Warszawie.

— Ostatnio bardzo absorbowała pana praca teatralna. Można było spotkać pana w teatrach Gniezna, Szczecina, Krakowa, Łodzi. Czy jest pan związany na stałe z którąś z tych scen?

— Z żadnym z teatrów, w których w ostatnich 4 sezonach grałem, nie związałem się na stałe. Angażowałem się każdorazowo do konkretnych ról, choć zdaję sobie sprawę, że jest to kompromis na drodze bezskutecznego (jak dotąd) poszukiwania bliskiej mi teatralnej rodziny. Być może zawiniła tu moja niecierpliwość, uleganie pokusom grania w różnych miejscach ważnych dla mnie ról. Zdarzały się mi przecież nieraz chwile wspaniałej zespołowej pracy, ale zmieniając zespoły zbyt często, z żadnym z nich nie byłem na dobre i na złe. A więc z żadnym z nich nie mogłe zżyć się naprawdę. Od paru lat pracuję tam, gdzie mnie potrzebują, gdzie proponują mi ciekawe zadania aktorskie. I dla przykładu: w Gnieźnie zagrałem tytułową rolę w sztuce Juliusza Słowackiego — „Mindowe" (była prezentowana również w wersji telewizyjnej), w Szczecinie wystąpiłem w roli Banca w sztuce „Macbett" Ionesco, postać prymitywnego żołdaka, próbowałem zagrać tak, aby możliwe było zadanie gogolowskiego pytania: — z kogo się śmiejecie? W Teatrze Powszechnym w Łodzi grałem księcia Niechludowa w „Zmartwychwstaniu" Lwa Tołstoja. Jako Niechludow mogłem w dużym stopniu mówić od siebie. To rzadki luksus.

— Czy w pańskim odczuciu doświadczenia sceniczne uzupełniają się, czy też są to sprawy całkiem różne?

— Wierzę, że wszystkie moje doświadczenia, nie tylko teatralne czy filmowe — uzupełniają się. Nie mam stałych zasad pracy, tu, czy tam. Podstawową sprawą jest dla mnie odczuwanie kontaktu z partnerem i z widzem. Na tej bazie buduję rolę podczas spektaklu teatralnego i podczas każdego ujęcia w filmie.

— Czy czuje się pan aktorem filmowym, czy teatralnym?

— Po prostu czuję się aktorem. Chociaż ostatnio, może z powodu zmęczenia, a może z powodu myśli jakie mnie nachodzą na tematy ogólne — czuję się bardziej widzem, który stara się zrozumieć.

— Wybrał pan aktorstwo — dlaczego?

— Decyzja ta nie była poprzedzona sprawdzianem, praktyką dającą jakieś wstępne rozeznanie w przedmiocie. Do pierwszej pracy nad tekstem zmobilizował mnie dopiero egzamin. Miałem jak większość moich rówieśników dosyć nieuporządkowaną wiedzę o świecie. Z tym nieciężkim bagażem i brakiem wyobraźni na temat czekających mnie w życiu aktorskim trudności — wybrałem się do warszawskiej PWST. Nie chciałbym przesadnie oceniać mojej ówczesnej naiwności, ale teraz wydaje mi się, że świat teatru pociągał mnie trochę jak obce kraje.

— A poza aktorstwem?

— Staram się o to, aby mój zawód mniej mnie absorbował, aby nie odciągał mnie od innych cennych wartości. Chciałbym mieć więcej czasu, żeby pomyśleć, porozmawiać z bliskimi mi ludźmi, poczytać, popracować fizycznie na świeżym powietrzu — bardziej bezinteresownie niż dotychczas wziąć udział w życiu.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

recenzje

GOŚCIE z RUSE

Wiosna tego roku zorganizowano Dni Dramaturgii Polskiej w Bułgarii, podczas których zaprezentowaliśmy urozmaicony repertuar oraz dokonania takich reżyserów, jak: Andrzej Wajda, Andrzej Ziębiński, Kazimierz Braun. W prezentacji dorobku polskiej dramaturgii u bułgarskich przyjaciół uczestniczył Teat-Nowy z Łodzi.

W rewanżu, w listopadzie br. po raz pierwszy, zorganizowano Dni Dramatu i Teatru Bułgarskiego w Polsce. Teatr Nowy gościł jeden z czołowych zespołów teatralnych Bułgarii — Teatr Dramatyczny im. Sawy Ognianowa z Ruse, kierowany przez **Wasyla Popilewa.** Bułgarscy goście zaprezentowali w Łodzi dwie sztuki o odmiennej formie — **„Styczeń" Jordana Radiczkowa** i **„Prawodawcę" Rangela Ignatowa.**

„Styczeń" jest znaną, współczesną sztuką bułgarską której humor łączy się z poetyckim przedstawieniem związków człowieka z przyrodą i jej tajemnic. Rzecz dzieje się w warsztacie w którym wyplata się słomiane maty. Jest to miejsce ulubionych spotkań kilku przyjaciół, którzy w mroźne, styczniowe popołudnie, przychodzą tu, aby ogrzać się przy piecu, wypić rakiji i pogawędzić o wszystkim. Bohaterowie sztuki reprezentują bardzo różne typy charakterologiczne. Jest wśród nich nostalgiczny Soso **(Wasyl Popilew)**, którego dzieciol-..dziobodrzewiec" w klatce popija rakiję. Listonosz **(Władymir Bratanow)**, młody, energiczny, cytujący fragmenty z kursu kwalifikacyjnego dla pracowników poczty, Isai **(Mikołaj Angełow)**, lubiący rozwiązywać krzyżówki i Gawril **(Kljment Michajłow)** — najśmieszniejszy, choć wrażliwy, kochający zimę, śnieg i las. Wszystkich bohaterów cechuje pogoda ducha, ciekawość świata i kult dla przyrody; są prostoliniini i sympatyczni. Opowiadają oni o różnych osobliwych zdarzeniach. Wkoło dzieja się bardzo dziwne rzeczy, będące jakby ilustracją tych opowieści. Hałaśliwie pieje niewidoczny kogut, daje o sobie znać duch-Tenec uczestniczący w biesiadzie a ponadto na dworze przed chatą pojawiają się zaprzęgnięte w konie sanie bez woźnicy w których jest strzelba, szuba i wilk. Wszystko to nie dziwi zbytnio bohaterów jedynie wzbudza ich ciekawość. Wyruszają więc kolejno, jeden po drugim saniami, aby odkryć tajemnice, gdzie podział się myśliwy, który wybrał się na polowanie.

I chociaż nie wracają kolejni śmiałkowie, a zwiększa się liczba wilków przybyłych w saniach, wzrastające napięcie dramatyczne sztuki nie pozbawia całości humoru.

Akcja jest ciągle żywa, widzowie uczestnicza w wielu zabawnych sytuacjach, dużo jest dowcipów opartych niekiedy na absurdalnych skojarzeniach, wszystkiemu towarzyszy wesoła muzyka.

Aktorzy zadali sobie trud nauczenia się pewnych ważnych dla fabuły kwestii w języku polskim. W ten sposób widzowie nie stracili nic z humoru słownego. Doskonała reżyseria **Petyra Aleksandrowa** i dobra gra aktorów owacyjnie nagradzana była brawami. Na podkreślenie zasługuje wnikliwie i szczegółowo opracowana inscenizacja, mająca duże znaczenie w przedstawieniu, w którym było dużo ruchu scenicznego i nic nie mogło przeszkodzić jego tempu. Mniej żywa była druga część sztuki, w sumie jednak widownia miała ponad dwie godziny dobrej zabawy podczas tej na pół realnej, na pół nieprawdziwej komedii o nietypowej formie.

Drugi spektakl — „Prawodawca" w reżyserii **Sławi Szkarowa**, pokazany przez bułgarskich gości przeniósł widzów w zamierzchłe czasy plemion prabułgarskich. Akcja oparta jest na wydarzeniach historycznych z czasów panowania chana Kruma (803—814 r.), którego ustanowione, pierwsze, postępowe prawa umacniały stosunki feudalne w państwie.

Prawy chan Krum (gra go **Wasyl Popilew**), dążący do polepszenia życia narodu, boryka się z trudnościami z powodu spiskujących, przekupnych i podstępnych bojlów (książąt). Okazuje się że dominująca i inspirująca role w działaniu chana odgrywa jego matka — Sabina. Pozostaje ona w zmowie z bojłami i w ten sposób zupełnie odmienne są ideały matki i syna. Po wielu perypetiach pokonany chan Krum ginie.

Jak w każdym dziele historycznym, i w tej sztuce znajdujemy wiele watków i epizodów, ale najważniejsze jest ścieranie się ludzkich namiętności oraz walka sprawiedliwego dobra ze złem. Istotne są tu dramaty ludzkie im służy cała oprawa sceniczna. Reżyser skupił się na wywołaniu odpowiedniego nastroju przy pomocy gry świateł, przyciemnień, wydrobniania twarzy aktorów z ciemnego tła, ogłuszających dźwięków bębnów. Tekst wypowiadany jest z patosem i napięciem. Dramatyczność potęguje świetna gra **Heleny Stefanowej** w roli matki. Łączy ona przymilność kruchej kobiety ze stanowczością, przemocą psychiczną i wygrywaniem na najdelikatniejszych uczuciach syna. Jej monolog wywołał długie oklaski.

Spektakl był widowiskowy dzięki bardzo licznej obsadzie, stonowanych kolorystycznie kostiumach, łatwej do przemieszczania dekoracji, mnogości rekwizytów i efektom ruchowo-świetlnym. Dynamika i wartka akcja nie pozwoliłyby ani na chwilę nie zrezygnować widzowi z uczestnictwa w ważkich zdarzeniach, gdyby nie najszczęśliwszy pomysł wprowadzenia na scenę lektora czytającego lub tłumaczącego bułgarski tekst pokrywający się z wypowiedziami aktorów. Mimo dobrych intencji reżysera, zabieg ten chwilami chyba rozpraszał widza, a przecież szczegółowe streszczenie utworu, dołączone do programu, dokładnie orientowało w przebiegu wydarzeń.

Wybór obu sztuk zaprezentowanych w Teatrze Nowym był trafny i interesujący. Spektakle zapoznały widza polskiego ze stanem teatru i dramaturgii bułgarskiej, pogłębiły kontakty artystyczne między zaprzyjaźnionymi krajami.

EWA KAFARSKA

„ROZWÓD"

Autorski spektakl **Nedjałko Jordanowa** zaprezentowany łódzkiej publiczności z okazji Dni Bułgarskiej Dramaturgii i Teatru w Polsce miał nie tylko walor poznawczy. Inscenizacja była nade wszystko przykładem rzetelnej i przemyślanej koncepcji reżyserskiej, która ze sztuki poruszającej temat dogłębnie już przecież spenetrowany, uczyniła interesujące i oryginalne widowisko.

Sztuka Jordanowa — ustalmy to na wstępie — arcydziełem nie jest. Z pewnością mijające lata nie uczynią z niej klasyki nawet w obszarze literatury bułgarskiej. Rozkład pożycia małżeńskiego mieliśmy możność oglądać w różnych wydaniach, na różnych scenach i z różnymi efektami. Nietrudno, podejmując te problematykę, wkroczyć w banał, a co za tym nieuchronnie idzie — poczęstować widza porcją najzwyklejszej nudy. Jordanow unika jednak tych niebezpieczeństw. Czyni ze swej komedii groteskową opowieść o małżeńskich perpetiach i z cała konsekwencją podporządkowuje tej koncepcji grę aktorską, dobór rekwizytów i pozostałe elementy prowadzonego w znakomitym tempie spektaklu. Może właśnie dlatego budzi początkowo nieufność widza, który nie bardzo jest przygotowany na taki sposób reżyserskiej wypowiedzi. W toku rozwoju akcji okazuje się jednak, że należy Jordanowowi zaufać. Typowo komediowe potraktowanie tematu zagwarantowało spektaklowi nie tylko świeżość i swoisty wdzięk, ale również zaprofitowało kilkoma świetnymi kreacjami aktorskimi które — jak sądzę — byłyby nie do osiągnięcia, gdyby reżyser potraktował swą wypowiedź w sposób bardziej poważny.

Ryszard Sobolewski w roli emerytowanego spółdzielcy Stanczo Stanczewa tworzy postać barwną, pełną energii i tego co zwykło się nazywać „siła przebicia". Budzi zrozumiały aplauz widowni, kiedy w scenie składania zeznań występuje w roli tańczącego Indianina. **Nina Przybyłowska** pozbawia swą bohaterkę kobiecego wdzięku, lecz obdarza w zamian cechami wybitnie męskimi co daje w rezultacie niezaprzeczalnie komiczny efekt. **Barbara Jaklicz** z powodzeniem wciela się w postać typowej nauczycielki, dla której świat cały stanowi jedna wielka gromadę uczniów. Siła oddziaływania tego totalnego pedagoga jest tak wielka, że presji jej ulega nawet trybunał sędziowski.

Nie sposób w tym miejscu wyliczyć wszystkie aktorskie osiągnięcia kilkunastoosobowego zespołu, na jedną wszelako rzecz chciałbym zwrócić uwagę: toczy się sprawa rozwodowa; na oczach widzów zeznają kolejni świadkowie reprezentujący odmienne zawody, poglądy i grupy społeczne. Szanse jaka daje taka prezentacja wykorzystał znakomicie Jordanow — autor sztuki, Jordanow — reżyser i cały zespół aktorski. W swej warstwie publicystycznej jest przecież utwór ściśle związany z realiami współczesnego życia sygnalizuje ustami zeznających świadków wiele istotnych dla człowieka problemów. W tym właśnie upatrywałbym zaletę „Rozwodu" jako literatury. Realizacja sceniczna umożliwiła natomiast indywidualizację poszczególnych postaci, stworzenie typów charakterystycznych dla środowisk, jakie reprezentują donoszących o plotkach, wzajemnych związkach lub antypatiach i ta możliwość — jako się rzekło — wyzyskana została w maksymalnym stopniu.

Konsekwentne skierowanie inscenizacji ku grotesce, potraktowanie całości z przymrużeniem oka wzbogaciło możliwości ekspresji aktorskiej, pozwoliło na sięgnięcie po takie środki wyrazu, których użycie stałoby się niemożliwe przy zastosowaniu odmiennej konwencji inscenizacyjnej. Ale dało również coś więcej. Ośmieszyło schematyzm postaw i zachowań ludzi którzy każdy problem potrafią wpisać jedynie w ramki własnych wyobrażeń o świecie. Sędzia i ławnicy, dla przykładu, posiadają krańcowo odmienne, aczkolwiek niepodważalne poglądy na temat małżeństwa i nie tyle istotna jest dla nich sprawa, która prowadza, co wtłoczenie jej w schemat tych właśnie poglądów. Sędziowska narada przed ogłoszeniem wyroku jest właściwie „zabawą w sklep" w czasie której każde ze sprytnych dzieciaków usiłuje wytargować coś dla siebie.

Ironiczny podtekst zawiera również scenografia **Todora Staniłowa.** Kancelaryjne biurko adwokatów pozwanego i powódki staje się w miarę rozwoju akcji trybunałem sędziowskim, by w końcowych scenach spektaklu przeistoczyć się w biesiadny stół, za którym zasiada weselni goście. Taki finał zdaje się sugerować przez cały czas trwania przedstawienia rozpięty nad sceną biały welon okalający ślubny wianek panny młodej. Pomyślana w ten sposób oprawa scenograficzna doskonale przystaje do reżyserskiej koncepcji.

Wspomniałem już wyżej o niezmiernie istotnej zalecie spektaklu, jaka jest jego tempo. Wydarzenia rozgrywają się błyskawicznie choć Jordanow ma do powiedzenia bardzo wiele: musi przecież oddać głos obu adwokatom, rozwodzącej się parze, świadkom, sądowi, wreszcie ukazać retrospektywnie pewne wydarzenia. Mimo to nie wyczuwa się w spektaklu najmniejszej dłużyzny. Sprawne operowanie światłem szybka wymiana dialogów, wzmożony ruch sceniczny zapewniają potoczystość i wartkość akcji.

Niewątpliwie trafnym rozwiązaniem twórców spektaklu jest również udział w przedstawieniu uczniów łódzkiej Szkoły Muzycznej, którym przewodzi wspomniana już nauczycielka Iwanka Iwanowa (Barbara Jaklicz). To właśnie dzieci witają wchodzących do sali teatralnej widzów, próbują wciągnąć ich do wspólnej zabawy kolorowymi piłkami. Dziecięcy chórek nie stanowi jednak wyłącznie tła; w grupie tej znajduje się przecież syn małżeństwa Nikołowów, Kilkunastoletni chłopiec, samotny i całkowicie zagubiony, nie będący obiektem faktycznego zainteresowania rodziców mimo ciągłych deklaracji z ich strony, jest właściwie jedynym „dorosłym" w świecie stworzonym przez Jordanowa. W kontekście późniejszego rozwoju wypadków, kiedy zabawie w piłkę oddają się dwaj dostojni adwokaci, a świeżo rozwiedziona para po raz drugi staje na ślubnym kobiercu zabieg ten może prowokować do pytania — czy przypadkiem nie jesteśmy bardziej dziećmi niż same dzieci?

ANDRZEJ S. WARZECHA

Teatr im. Stefana Jaracza, Nedjałko Jordanow — Rozwód. Przekład — Donka i Andrzej Madejowie, reżyseria — Nedjałko Jordanow, scenografia — Todor Staniłow, muzyka — Konstatin Taszew. Prapremiera światowa 17 listopada 1978 r.

TOMASZ DOMAŃSKI

POD SZWEDZKIM NIEBEM

Płynąłem z duńskiego Frederikshaven do szwedzkiego, półmilionowego Göteborga, największego portu kraju i trzynastego co do wielkości w świecie. Przeglądając statystyki portowych rekordów uświadomiłem sobie, iż byłem pasażerską kroplą w morzu, jednym z 15 mln turystów, którzy odwiedzają to miasto w ciągu roku, zawijając na jednym z 25 tysięcy statków pasażerskich czy handlowych.

Osiemnastokilometrowe nadbrzeża przeładunkowe zaczynały rysować się na horyzoncie linią stalowych dźwigowych ramion. Coraz wyraźniej można było odróżnić brzuchy walcowatych zbiorników ropy, skonstruowanego w 1967 roku portu naftowego Torsham, przez którego gardło przechodziła większość importowanych do Szwecji paliw. Za burtą liczne skalne garby podmorskich wysepek wyskakiwały ponad linię wody. Ciągnęły się długimi szeregami o niedużych odstępach.

Kiedy tak kontemplowałem zaburtowy horyzont podszedł do mnie mały szwedzki brzdąc. Najpierw spojrzał porozumiewawczo i... raptem, całym impetem obunożnego wyskoku rozgniótł mi stopę. — To jakaś dziecięca zabawa — pomyślałem. — Po chwili powtórzył swe lądowanie z nieukrywaną i tym razem radością, wkładając w nie jeszcze więcej energii. Odsunąłem nogę. Wyglądał na zawiedzionego. Mnie także zaskoczyło to dziecięce szwedzkie powitanie.

W ciągu całego rejsu okrętowe podpokładowe czeluści okupowane były przez podstarzałe emerytowane damy, siedzące lub stojące przed automatami ochrzczonymi u nas przez jednych mianem gier zręcznościowych, a ogłupiających przez drugich. Emocja gry i przypadku. Nieoczekiwana wygrana! Studium ludzkiej próżności i beznadziejności!... Czekanie na rząd trzech jednakowych rysunków ustawionych w poziomie: śliwek, dzwonków czy cytryn oznaczający kilku lub kilkunastokoronową wygraną.

GÖTEBORG

Folder turystyczny reklamował Göteborg jako jedyne miasto, gdzie od ponad 100 lat, można codziennie kupić świeże ryby we wnętrzu dawnego kościoła — Feskekörka. Na ryby musiałem poczekać jednak do dnia następnego.

W zapadającym letnim zmierzchu podchodziłem w kierunku niewielkiego wzniesienia, na którym leżał Göta Platsen (Plac Gotów). Duża bryła ciężko ciosanego budynku Konstmuseet (Muzeum Sztuki), otwierała się szerokimi schodami ku placowemu rondo. Na przeciwległych krańcach muzeum wyrastały Konserthus (Filharmonia) i Stadsteater (Teatr). Muzyczny antrakt zapraszał dystyngowanie konwencjonalną publiczność do oświetlonego foyer, widocznego z zewnątrz poprzez szklany mur. Klasyczna koncertowa scenografia. Obok, na zewnątrz, na kamiennych balustradach okalających fontannę Posejdona, siadywały szwedzkie podlotki. Ciszę wieczoru, przerywał jedynie zgrzyt opon hamujących samochodów. Duże cadilaki, pontiaki i chevrolety po amerykańskim „boomie" lat sześćdziesiątych znalazły nowych szwedzkich amatorów. Za kierownicami nastoletni, młodzi ludzie. Krążyli wokół fontanny, nie opuszczając swych przyszerokich pojazdów. Bez tych automobili byli normali, zwykli — za kierownicą uosabiali mit i nabierali rangi symbolu.

W ostatnich latach niektórzy handlarze samochodów wyspecjalizowali się w imporcie starych amerykańskich wozów, czyniąc ten proceder intratnym. Wykorzystując ową modę, spece od marketingu sprowadzili ostatnio na szwedzki rynek nowy napój dla młodzieży, noszący nazwę „Car" czyli samochód. „Drink a car" — mówi reklama przedstawiająca parę nastolatków, siedzącą w różowej limuzynie, na tle kalifornijskiego pejzażu o zachodzie słońca.

Wieczorne błądzenie. Szukanie dziewczyn. Czekanie. Pustka. Z dużego afisza reklamującego Levis'y spoglądają na mnie dziewczyny o zamglonych półotwartych oczach. Czekają na autostopową okazję, nową przygodę.

Zza rogu wypada grupa — motocyklistów. Ciemne skórzane kurtki ciasno oklejające ciała. Na plecach naszyty znak cudownego ptaka feniksa. Duże, brokatowo połyskujące kaski. Warkot japońskich motorów. Czarne okulary. Przednie koła zrywające się ku górze przy zbyt przyspieszonym starcie. Wysokie kierownice podobne do uniesionych skrzydeł wzlatujących ptaków. Oparcie siedzeń wyrastające pionowo ponad linię hełmów. Nadjeżdżają chmurą. Nieszczęśliwy kaskader przewracając się zatacza koła na asfaltowej jezdni.

Fascynacja Ameryką. Próba odnalezienia i transplantacji ducha — Eeasy riders. Ich pierwowzór odnalazłem później w sztokholmskim Moderna Kuns Museet, oglądając obraz amerykańskiego malarza J. Franzena — Piekielne anioły z Kaliforni. Naga kobieta leżąca z rozrzuconymi nogami, na stercie puszek po piwie. Druga próbująca uciekać. W głębi błyszczące niklem motory. Czarne kurtki. Wytatuowane ramiona.

Bary są ustalonym miejscem spotkań.

— Chcesz poznać młodych Szwedów, skocz do najbliższej knajpy — doradzał mi znajomy.

Z grającej szafy wycieka ostatni piosenkarski hit. Przytłumione światło... „Hop! Hop! Hop! szklankę piwa!" Ściany zdobią podobizny współczesnych idoli, tych o których się marzy. Sukces. Sława. Pieniądze. Marzenie pływające na powierzchni piwa. Borg — tenisista, nieskończenie bogaty, wzbudzający podziw i zazdrość, właściciel własnej wyspy. Mistrz świata w narciarstwie alpejskim Igmar Stänemark. ABBA o milionowych nakładach płyt.

Na ulicy zaczepił mnie rozweselony alkoholem Szwed. Gdy dowiedział się, że jestem z Polski, nie ukrywał radości z nieoczekiwanego spotkania i rozrzewnił się na myśl o gulgocących wspomnieniach.

— Polska znać! — wołał. **— Na zdrowie! Vodka! Vodka —** bełkotał. **— Szwinouszcie, Szwinouszcie. Polish Vodka is good! Strip tease! Kaskada! Good!**

Na pewno jeszcze kiedyś do nas wróci niesiony bałtycką falą 45 procentowej nostalgii. Mimo sporych chęci Szwedzi nie dogonili nas jeszcze w spożyciu alkoholu. Spowodowane jest to z pewnością w dużej mierze prohibicyjnymi cenami wyrobów spirytusowych.

DOBROBYT MATERIALNY

Można śmiało powiedzieć, iż Szwecja osiągnęła szczęście materialne. Fascynacja Stanami Zjednoczonymi i ich rozwojem doprowadziła do ukształtowania społeczeństwa wysoko rozwiniętego i powielającego często amerykańskie wzory w dziedzinie industrializacji i urbanizacji. Duże podmiejskie centra handlowe i nowoczesny system dystrybucji. Moda na amerykanizującą architekturę w stolicy kraju. Pod względem dochodu narodowego na jednego mieszkańca Szwecji, zajmują drugie miejsce w świecie za USA i pierwsze w Europie. Tylko 5 proc. dochodu narodowego wytwarzane jest w rolnictwie. Szwedzi w przeliczeniu na 1000 mieszkańców posiadają blisko 350 samochodów, 640 telefonów i 360 odbiorników telewizyjnych. W dziedzinie zasobów mieszkaniowych przeciętna liczba osób na izbę wynosiła w roku 1970 — 0,7, a na mieszkanie 2,7. Płace nominalne — godzinowe, liczone w dolarach przewyższyły w roku 1975 nawet poziom amerykańskich zarobków, jak podawał (Citibank New York). W trudnej obecnie koniunkturze ekonomicznej Szwecja może się też pochwalić niskim poziomem bezrobocia.

Darmowa opieka lekarska i doskonale zorganizowany system opieki społecznej zepewnione są w oparciu o dalece progresywny system podatkowy. System ten prowadził niejednokrotnie do paradoksów jak np. ten, iż sławna pisarka książek dla dzieci Astrid Lindgren musiała według obliczeń urzędu finansowego zapłacić od swych dochodów ponad 100 proc. podatku. Podobne anomalia leżały u podstaw problemów sławnego reżysera filmowego Ingmara Bergmana.

Model społeczeństwa konsumpcyjnego jest coraz częściej podważany. Dotyczy to także adaptowanej przez rząd polityki rozwoju. Ostatnio uwidoczniło się to we wzroście znaczenia ruchów i organizacji o charakterze ekologicznym, co było główną przyczyną porażki sprawujących rządy od lat, socjaldemokratów.

SZCZĘŚCIE

Wraz z osiągnięciem namacalnego dobrobytu kraj coraz częściej zdąża ku niematerialnym dziedzinom warunkującym szczęście. Dotyczy to przede wszystkim stosunków międzyludzkich i relacji zachodzących w łonie rodziny. Szwecja charakteryzuje się najniższym w Europie i wykazującym ciągłą tendencję spadkową wskaźnikiem zawierania małżeństw. (5,3 promille na 1000 w 1975 r., dla przykładu Polska 9,7 prom. w 1976 r.). Jednocześnie liczba rozwodów niepokojąco wzrasta i osiągnęła w 1974 r. 3,11 prom. Wskaźnik ten dla USA wynosi 4,58 prom., dla ZSRR 3,10 prom., dla Polski 1,2 prom.

Choć Szwedzi żyją dłużej to ich przyrost naturalny stale maleje i w roku 1975 wynosił 1,8 prom. — Polska 10,2 prom. Niższym wskaźnikiem charakteryzowały się w Europie tylko Austria, NRD, Belgia i Anglia.

Problem szczęścia rodzinnego jest szeroko dyskutowany w filmach Bergmana. Wymieńmy tu chociażby zrealizowane ostatnio: „Sceny z życia małżeńskiego", „Twarzą w twarz", czy wcześniejsze „Krzyki i szepty". Symptomatyczny jest fakt, iż najpopularniejszym obecnie malarzem Szwecji jest żyjący i tworzący w drugiej połowie XIX wieku Carl Olaf Larsson (1853—1919). Malował on płótna realistyczne, gloryfikujące najszczęśliwsze momenty życia rodzinnego. Wspólne zabawy, ogrodowe obiady, podwieczorki i kolacje w cieniu rozłożystej brzozy rosnącej nie opodal domu. Łowienie raków i tradycyjny sierpniowy rakowy piknik zakrapiany winem. Urodzinowy ranek. Karnawałowe rodzinne przebieranie. Uroki pokoju dziecięcego i dziecinnych harców. Reprodukcje Larssona zdobią dziś większość szwedzkich domowych wnętrz.

Pogoń za szczęściem. Wspomnienie dnia wczorajszego. Pożółkłe zdjęcia. Próby scalenia rozbitej rodziny.

Znajomi młodzi Szwedzi, jeszcze studenci, wyjaśnili mi iż mimo że uważają się za nierozłączną parę i od lat są razem, preferują życie oddzielne, tzn. każde w osobnym mieszkaniu. Przez rok wynajmowali wspólny kąt, lecz częste konflikty wpłynęły na ich obecną decyzję.

KRAJ

Szwecja jest krajem znacznie większym niż Polska. Jej powierzchnia liczy 450 tys. km kw. i rozciąga się długą 1600 kilometrową plamą, licząc od położonego na południu Trelleborga do najdalej na północ wysuniętego jeziora Klipisjäru. Gęstość zaludnienia tak olbrzymiego obszaru jest nieregularna i średnio niewielka, bo tylko 18 osób na 1 km kwadratowy (Polska 109). Życie skupia się głównie wzdłuż dróg, wijących się skrajem morenowych pagórków i polodowcowych ozów.

Zielone lasy porastają 54 proc. powierzchni kraju, 34 proc. to nieużytki, a tylko 90 proc. to grunty orne. Struktura terenu wyjaśnia po części szwedzkie decyzje urbanizacyjne, w których przez długie lata preferowano budownictwo zbiorowe, nad konstrukcją typu indywidualnego, co różniło je od polityki mieszkaniowej sąsiedniej Danii.

Szwecja szczyci się 96 tysiącami jezior, 7 tysiącami km wybrzeża i 150 tysiącami wysp. 2 mln Szwedów uznają wędkowanie za swe priorytetowe hobby.

Krajobrazy zmieniały się nieznacznie, a ja uświadamiałem sobie coraz bardziej fakt, iż podróże są dla mnie zasadniczo okazją poznawania nowych ludzi, a w niewielkim tylko zakresie penetracją pejzaży. Okazje ku owemu poznaniu zdarzają się w Skandynawii, na szczęście dość często, gdyż Szwedzi są narodem bardzo gościnnym. Gościnność jest świętą tradycją Skandynawów. Zasady ustalone przez boga Odyna, leżące u podstaw Kodu Wikingów mówiły:

„Zziębniętemu należy ogrzać nogi, odzież i żywność należne są podróżnemu, człowiekowi przychodzącemu z gór należy się woda i bielizna, a dla tego, który przyłączy się do zabawy pozdrowienie i powitanie".

Tradycja ta najbardziej ortodoksyjna, zna jeszcze dziś przypadki iż w niektórych górskich wioskach pod okapami dachu przymocowuje się kosz wypełniony chlebem, masłem, mięsem i wędzoną kiełbasą na użytek ewentualnego przybysza.

GOŚCINNOŚĆ

Kiedy zapukałem do drzwi samotnie stojącego drewnianego domu o brunatno-czerwonych ścianach, nad jeziorem Vänern, chciałem prosić o pozwolenie rozbicia namiotu wśród ogrodowej trawy. Starszy Pan, który mi otworzył mówił dobrze po angielsku. Większość Szwedów posługuje się zresztą nienaganną angielszczyzną lub też amerykańszczyzną, jako że oprócz długiej nauki w szkole, znają oni ten język z telewizji emitującej programy w oryginalnych wersjach językowych z tłoczonymi napisami. Dogadaliśmy się bez większych kłopotów. Zamiast perspektywy ogrodowego campingu uradowany gospodarz zaproponował mi spanie w pokoju gościnnym. Zjawiła się Pani Domu. Po wstępnej naradzie z mężem miała trochę wątpliwości, czy dobrze zrobili obdarzając młodego nieznajomego człowieka tak dużym zaufaniem. A może wolałbym spać w namiocie — indagowała i jej niepokoje miały swe źródło w dwukrotnych kradzieżach, jakich dokonali ostatnio w ich domu młodzi narkomani.

Po ofiarowaniu butelki polskiej wódki i kilku cepeliowskich drobiazgów, wieczór skończył się wspólną kolacją. Gospodarze, emeryci do swojego letniego domku przyjeżdżali tylko na weekendy. Wieczór upłynął nam na przyjemnej rozmowie. Zaaferowany dyskusją Starszy Pan zapomniał o spuszczeniu z masztu, o godz. 19.00, szwedzkiej flagi narodowej. Owe niebieskie flagi z żółtym krzyżem, powiewające na ogrodowych masztach stanowią dla nas pewne curiosum. Idea wciągania własnej flagi jest znaną jednak już od dawna we wszystkich krajach Skandynawii. Starsza Pani pytała mnie, czy nasz kraj jest równie gościnny, na co odpowiedziałem, że oczywiście tak, choć prywatnie zacząłem się trochę zastanawiać i wątpić w tę bezinteresowną polską wylewność wobec zmęczonych przybyszów — szczególnie w miastach.

Kiedy innego dnia, zapukałem do innych drzwi, równie wyizolowanego i zagubionego wśród pól domu, otworzył mi prawdziwy czterdziestoletni szwedzki rolnik. Nie znał żadnego języka poza szwedzkim. Zaapelowałem do mojej manualnej wyobraźni i wkrótce dostałem pozwolenie na spanie pod przydomowym dębem. Kiedy się już jakoś zainstalowałem zaprosił mnie do swego livingroomu, gdzie czekała kolacja i... bogato ilustrowana zdjęciami historia jego rodziny.

Choć języki odmawiały nam posłuszeństwa zdawaliśmy się rozumieć nasze długie obcojęzyczne monologi wzbogacone mimiką i gestami. Potakiwaliśmy nawzajem dorzucając „Ahoj, Ahoj!". Od czasu do czasu wtrącałem „Tak" — co znaczy dziękuję. Spracowane ręce serwowały kolejną kawę. Biały obrus. Kolorowe serwetki. Kobiecy porządek i zapobiegliwość kawalerskiego domu.

Bywały dni, iż korzystając z niepisanego szwedzkiego przywileju, pozwalającego na rozbicie noclegu wszędzie tam, gdzie zaskoczy nas ciemność, spałem w przygodnych miejscach. Towarzyszyła mi jednak zawsze ludzka życzliwość i sympatia, tak przecież ważna przy odwiedzinach nowego kraju...

POWROTY

Marie Luise Kaschnitz (1901 — 1974) należy do najbardziej znanych autorek niemieckiego obszaru językowego. Uprawiała prozę, lirykę, eseistykę, pisywała słuchowiska. Polskiemu czytelnikowi znana jest ze zbioru nowel „Pewnego dnia pewien mężczyzna" oraz z tomu esejów „Most Świętego Anioła". Pisał też o niej Jan Koprowski, wytrwale i wiernie śledzący niemieckie wydarzenia literackie. Obecnie otrzymaliśmy jej ostatnią, ogłoszoną rok przed śmiercią, książkę o powrotach do tych miejsc, które w długim życiu pisarki utrwaliły się najmocniej.

Już jako młoda dziewczyna chętnie podróżowała. W roku 1925 wyszła za mąż za znanego archeologa wiedeńskiego, profesora Guido von K.-Weinberga i towarzyszyła mu w jego naukowych wyprawach między innymi do Włoch, Grecji, Turcji, Afryki północnej. Często zmieniała miejsca zamieszkania w samych Niemczech. Należała do licznych niemieckich stowarzyszeń kulturalnych, była członkinią PEN-Clubu oraz Akademii Sztuk. Prowadziła wykłady na uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem. Za dorobek literacki otrzymała w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych liczne nagrody, wśród których wymienić wypada nagrodę Hebbla, Georga Büchnera, Immermanna oraz nagrodę Georga Mackensena za krótkie formy prozatorskie.

Motywem przewodnim twórczości Marie Luise Kaschnitz jest obrona tradycyjnego, wyrosłego z antyku, humanizmu w konfrontacji z problemami dzisiejszego świata. Przejawiała znaczne uczulenie moralne, nierzadko pobrzmiewały w jej wierszach i opowiadaniach oskarżycielskie tony pod adresem współczesnego człowieka, jego barbarzyńskich skłonności (z tych pozycji pisała również krytycznie o opętaniu narodowosocjalistyczną ideologią, później o symbolu Hiroshimy.

„Miejsca" — to rodzaj refleksyjnego i impresyjnego pamiętnika, chaotycznej, bo pomieszanej w czasie i przestrzeni, autobiografii. Okruchy pamięci, fragmenty rozmów, krajobrazy, ślady przeszłości i natarczywość chwili bieżącej, samotność i towarzyskie obowiązki, życie rodzinne i spotkania autorskie — oto cegiełki, z których zbudowany został pamiętnik Marie Luise Kaschnitz. W pierwszym zdaniu powiada: „spisałam, co mi się nasunęło w ostatnich latach — nie po kolei, lecz raz to, raz owo, wcale nie zamierzając wprowadzać jakiegoś ładu, chociaż życie ma swój ład i skład, swój początek, środek i zbliżający się kres". I ten porządek życia daje się w impresjach Kaschnitz zauważyć, tkwi on jakby w porządkującym działaniu myśli, w układaniu się rzeczywistych i wyimaginowanych obrazów w całość zogniskowaną wokół wypełnionego twórczym, artystycznym niepokojem życiorysu. Wszystkie szczegóły służą tu czemuś, a mianowicie wydobywaniu prawdy tego, co „wczoraj zwało się życiem oraz dziś, jutro i pojutrze zwie się życiem".

Często powraca pisarka do czasów Trzeciej Rzeszy i drugiej wojny światowej. Wspomina osamotnienie w ogólnie panującym nastroju pangermańskiego parcia do wprowadzenia „nowego ładu" w Europie. Krytycznie powiada o wewnętrznej emigracji niemieckich intelektualistów: „na czym właściwie miała polegać ta nasza tak zwana wewnętrzna emigracja? Na tym, że słuchaliśmy zagranicznych stacji radiowych, że zbieraliśmy się razem i psioczyli na rząd, że czasem podawaliśmy jakiemuś Żydowi rękę na ulicy, nawet wtedy, gdy ktoś mógł nas zobaczyć? Że wywróżyliśmy najpierw wojnę, potem wojnę totalną, potem klęskę i tym samym kres partii? Nie drukowaliśmy potajemnie ulotek w piwnicy, nie rozpowszechnialiśmy ich nocą, nie należeliśmy do organizacji ruchu oporu, o których wiedzieliśmy, że istnieją, ale wcale nie pragnęliśmy tego zbyt dokładnie wiedzieć. Lepiej przeżyć, lepiej jeszcze istnieć, nadal pracować, gdy koszmar już przeminie"... Niezbyt chętnie, nawet z dzisiejszej perspektywy, powiadają o tym Niemcy tak otwarcie.

Ale w szczerości właśnie, w szczerości myśli i uczuć widzi autorka „Miejsc" sens pisarskiej pracy. Wydobywanie na jaw najskrytszych nawet, często wstydliwych, bo uwłaczających potocznemu rozumieniu człowieczeństwa, myśli traktuje jako moralny obowiązek twórcy, jako kathartyczne spojrzenie w prawdomówne zwierciadło. Uzupełnieniem pracy sesu stricto pisarskiej stają się spotkania autorskie, podczas których, jak wspomina, chętnie konfrontowała bezpośrednio swe stanowisko z wymagającymi czytelnikami. Gdybyż i niektórzy nasi autorzy przywiązywali podobną wagę do treści spotkań autorskich — chce się mimowolnie westchnąć.

W życiu każdego człowieka bywają różne miejsca. Niektóre odchodzą bezpowrotnie same, inne skazujemy na zapomnienie. Odległe w czasie wywołują wrażenie czegoś nierealnego, zamierzchłego, pokrytego kurzem zapomnienia. Niekiedy dobrze jest jednak do nich powrócić. Książka Marie Luise Kaschnitz utwierdza w tym przekonaniu.

Marie Luise Kaschnitz, „Miejsca", „Czytelnik", Warszawa 1978, nakład 10 000 + 320 egz., s. 259, cena zł 32,—

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

U PRZYJACIÓŁ

BLASKI I CIENIE POWIEŚCI BIOGRAFICZNEJ. Ostatnio na łamach „Litieraturnoj Gaziety" toczyła się dyskusja nad społeczną funkcją utworów beletrystycznych, których bohaterami są znane postacie historyczne. (Na marginesie tej dyskusji stwierdzono, że wbrew obiegowym sądom o zmierzchu powieści epickiej, która rzekomo ustępuje miejsca twórczości faktograficznej i reportażowi, bywalcy księgarń i bibliotek masowo poszukują nadal książek o tradycyjnej, wyimaginowanej fabule). Punktem wyjścia do wspomnianej dyskusji stała się powieść L. Dugina „Liceum", poświęcona młodzieńczym latom Puszkina. Książka została chłodno przyjęta przez krytykę, głównie ze względu na pewną dowolność w posługiwaniu się przez autora posiadanymi dokumentami, a nawet w odniesieniu do sposobu interpretacji twórczości poety. Polemiści zastanawiali się, czy w ogóle istnieje jakaś „recepta" na powieść biograficzną, na ile autorzy mogą „szargać świętości", jak dalece wkraczać w sprawy intymne. Mimo różnych stanowisk dyskutanci byli na ogół zgodni, że powieści biograficznych niezależnie od ich wartości, nie może zastąpić dzieło naukowca, ze swej natury będące suchą kroniką faktów z życia i twórczości opisywanej postaci, że te dwa gatunki twórczości nie mogą funkcjonować wymiennie, podobnie jak filmy dokumentalny i fabularny. W dyskusji zwrócono także uwagę na interesującą sprawę, mianowicie ilość posiadanych materiałów źródłowych o postaci nie jest żadną gwarancją powodzenia, a często przeciwnie — autorzy gubią się w gąszczu faktów z których niewiele wynika. Najważniejsze są predyspozycje piszącego, jego możliwości twórcze, talent. Ktoś żartobliwie, ale trafnie zauważył, że idealna recepta na powieść biograficzną istnieje: opowieść o geniuszu może napisać równy mu geniusz.

OPIEKA NAD TWÓRCZOŚCIĄ MŁODYCH MUZYKÓW. Niedawno w tej rubryce pisaliśmy o opiece państwa radzieckiego nad młodzieżą filmową. Dziś chcemy odnotować wypowiedź Karena Chaczaturiana, przewodniczącego Koła Młodych działającego od 6 lat przy moskiewskiej organizacji Kompozytorów Federacji Rosyjskiej... „Każdy twórca, zwłaszcza początkujący, pragnie jak najszybciej sprawdzić się, a dla kompozytora jest to kontakt z audytorium. Dlatego organizujemy im koncerty w domach kultury, klubach, na wielkich budowach w odległych rejonach kraju. Duże znaczenie mają też spotkania z przedstawicielami innych rodzajów sztuk: poetami, plastykami, aktorami i reżyserami. Nasze Koło Młodych to swego rodzaju centrum, wokół którego grupują się i kształcą dyplomanci wyższych szkół muzycznych i studenci. Jedną z form konkretnej pomocy, jakiej im udzielamy to popularyzacja ich twórczości za pośrednictwem wydawnictw, nagrywanie płyt, prezentacja w radio. Dużym zainteresowaniem środowiska muzycznego cieszy się zainaugurowana przez związek publikacja „Kompozytorzy Moskwy", która przybliża m. in. sylwetki młodych twórców ich przyszłym odbiorcom".

FILM O ŚWIATOSŁAWIE RICHTERZE. Wielkim zainteresowaniem, nie tylko miłośników muzyki, cieszy się emitowany przez Centralną Telewizję ZSRR cykl filmów poświęconych Światosławowi Richterowi. Twórcy cyklu nie koncentrują się wyłącznie na artystycznej działalności wielkiego pianisty, starając się także nakreślić jego wierny i pełny portret jako człowieka. W filmie oprócz wypowiedzi Richtera o swojej twórczości i życiu, wykorzystano również opinie wielu wybitnych artystów z całego świata, przyjaciół pianisty, m. in. Artura Rubinsteina, Renato Guttuso, Van Cliburna i innych.

MAŁA ENCYKLOPEDIA LITERATURY. Na półkach księgarskich Kraju Rad ukazał się dziewiąty i ostatni tom „Małej Encyklopedii Literatury". Obejmuje ona ok. 15 tys. haseł dotyczących różnorodnych problemów literaturoznawstwa, pisarzy i literatur wszystkich narodowości Związku Radzieckiego. W opracowaniu całości edycji wzięli udział praktycznie wszyscy wybitni specjaliści w tej dziedzinie. Np. hasła do ostatniego tomu opracowało ok. 600 autorów reprezentujących 34 narodowości ZSRR. Wspomniany, dziewiąty tom przygotowany został na życzenie czytelników. Zamieszczono w nim hasła obrazujące rozwój współczesnej literatury radzieckiej i światowej, a także biogramy pisarzy, którzy rozpoczęli działalność literacką w latach 1960—70.

W GRUZJI w listopadzie br. ukazał się wybór wierszy znanego łódzkiego poety i tłumacza Igora Sikiryckiego. Tom wierszy pt. „Poezje" przełożył na język gruziński Grigoła Dżułachidze, nakładcą jest Wydawnictwo „Merań" w Tbilisi. Gratulujemy!

WŁOCHY

SPRAWA MORO A INSTRUKCJA „MF 30-31"

W miarę jak z kryjówek „Czerwonych brygad", odnajdowanych przez policję, wychodzą na światło dzienne wciąż nowe dokumenty, wersja o międzynarodowym spisku porwania i zabójstwa Aldo Moro znajduje coraz więcej potwierdzeń. Wśród nich: wzmianki w tych dokumentach o „kontaktach z zagranicą", nie publikowane wcześniej zapiski zamordowanego przywódcy Partii Demokracji Chrześcijańskiej, jak również wyniki szczegółowej analizy jego listów pisanych z miejsca uwięzienia, obecnie — w świetle znanych już wszystkich okoliczności — nabierają o wiele bardziej wyraźnego politycznego znaczenia.

Jaki sens podkłada się pod pojęcie tego międzynarodowego spisku? Chodzi tu po prostu o udział kół zagranicznych w tym dramatycznym wydarzeniu, pośredni lub bezpośredni, za pośrednictwem własnych agentów dywersji i wywiadu lub przy pomocy „zdalnego sterowania" — w wydarzeniach, które rozpoczęły się 16 marca 1978 roku porwaniem Aldo Moro. Włosi rozumieją to, jako mieszanie się do polityki włoskiej, do ekonomiki i życia publicznego kraju. Nie jest przy tym najważniejsze kto personalnie kieruje tym spiskiem jeśli jego cele — najbliższe, pośrednie i końcowe — są absolutnie jasne. Tak jasne, jak jasne są również cele tej strategii, która już od 10 lat trzyma w nieustannym napięciu całe życie Włoch.

Śledztwo w „sprawie Moro", po upływie miesięcy odmierzanych dziennikarską krzątaniną, pseudosensacjami, opóźniającymi manewrami, „niedyskrecjami", sprostowaniami itp. itd zostanie chyba doprowadzone do końca. To właśnie mając na uwadze, włoski tygodnik „l'Europeo" opublikował na swoich łamach niezwykły dokument. Wykłada się w nim szczegółowo, jak i przy pomocy jakich metod powinny działać siły zainteresowane w mieszaniu się do wewnętrznych spraw krajów zaprzyjaźnionych z USA. Jednym z takich krajów — pisze autor tego artykułu w „l'Europeo" — jak się nietrudno domyślić, mogą być także Włochy...

Wspomniany dokument nosi nazwę instrukcji „FM-30-31" sił zbrojnych USA i jest szczegółowym, precyzyjnie skonstruowanym planem w sprawie „destabilizacji" (lub „stabilizacji", w zależności od tego jaki sens podłożyć pod to słowo) w „krajach sojuszniczych". Mowa tu o krajach członkowskich NATO, posiadających na swoich terytoriach bazy wojskowe z kontyngentem wojsk amerykańskich; we Włoszech rozmieszczono na przykład aż 58 różnego rodzaju obiektów militarnych, pozostających pod kontrolą naczelnego dowództwa Paktu Północnoatlantyckiego.

W ogólnej, ale rzeczowej formie precyzuje się w instrukcji, jak powinny działać amerykańskie tajne służby (jednak nie CIA, której działalność nabrała niesławnego rozgłosu po dokładnym śledztwie w Kongresie USA, a wojskowe organa wywiadowcze) w „krajach zaprzyjaźnionych, kiedy zarysowuje się niebezpieczeństwo radykalnej zmiany sytuacji politycznej na korzyść komunistów lub kiedy po prostu zagrożenie komunistyczne staje się oczywiste." Instrukcja przewiduje przeróżne formy interwencji: od wysyłania agentów, aż do prowokacji i aktów terroru. Nie wyklucza się także przenikania do grup ultralewicowych w celu wywoływania chaosu, organizowania terrorystycznych zamachów i napadów, fizycznego unicestwiania przeciwników lub ludzi, którzy — z takich czy innych względów — stali się niewygodni.

Ów dokument ma swoją historię. Jest datowany z 1970 roku, z czasów gdy jego autor, gen. Westmoreland, zajmował stanowisko szefa sztabu armii USA. Przypomnijmy na marginesie, iż generał, omal nie jeden z głównych „bohaterów" wojny w Wietnamie, był, i jest nadal, znanym jastrzębiem Pentagonu. Kilka lat temu instrukcja zaginęła w jakiś zagadkowy sposób, a następnie znalazła się w posiadaniu redakcji tureckiej gazety „Barysz", która obiecała swoim czytelnikom rychłe opublikowanie tego interesującego dokumentu. Jednakże nie ujrzał on wówczas światła dziennego, ponieważ posiadający go dziennikarz znikł w tajemniczych okolicznościach. Później instrukcja „FM 30-31" trafiła do Hiszpanii. Właśnie tam pracownik „l'Europeo" i dziennikarze z redakcji tygodnika „Triunfo" odnaleźli go i opublikowali.

Autentyczność dokumentu nie wzbudza najmniejszych wątpliwości, jak również nie wzbudza wątpliwości fakt, iż instrukcja jest aktualna do dnia dzisiejszego. Potwierdzeniem tego są wyniki badań amerykańskich ekspertów wojskowych, zrelacjonowane w artykule waszyngtońskiego korespondenta „l'Europeo" Corrado Incherti. Eksperci nie ukrywali, iż w dokumencie uderzyły ich przede wszystkim bezpośrednie wzmianki o „tajnych akcjach i bezwarunkowy zakaz rozgłaszania faktu amerykańskiej interwencji". („szerszy udział armii USA nie może być podany do wiadomości"). Nie mniejsze wrażenie wywarło na nich również i to, że nawet organa bezpieczeństwa (tajne służby, policja, siły zbrojne, administracja cywilna i wojskowa) „zaprzyjaźnionego kraju rozpatruje się w dokumencie, jako przedmiot tajnych operacji amerykańskich służb wywiadowczych, zmierzających do zmiany polityki danego rządu narodowego drogą użycia siły..." Jak widać z tego, Stany Zjednoczone nie liczą się z suwerennością swoich sojuszników z NATO, uważając ich rządy i organa bezpieczeństwa za obiekt swoich tajnych operacji.

Aktualność instrukcji potwierdzają także amerykańscy specjaliści z resortu tajnych służb, badani w ostatnich miesiącach w związku „ze sprawą Moro". W tym przedmiocie można się powołać na opinie amerykańskiego eksperta Normana Birnbauma: „Możliwości udziału w tej sprawie (sprawie Moro — red.) tajnych organów NATO nie można wykluczyć". Inny ekspert Brian Jenkins, powiedział: „Mistrzostwo z jakim przeprowadzono operację (porwania A. Moro — red.) nasuwa myśl o możliwości udziału oficjalnych służb USA, chociaż niekoniecznie CIA".

Włoska opinia publiczna przeraża nie fakt, że jakaś tam służba wywiadowcza posiada instrukcje w rodzaju „FM 30-31", lecz to, iż dokument ten zrodził się w sztabie jednego z najpotężniejszych mocarstw świata. Niemniej silne wrażenie wywierają sformułowane w nim sposoby i metody, które dokładnie stosowano na przestrzeni ostatnich lat. Tak dokładnie, iż mimo woli nasuwa się przypuszczenie: czy przypadkiem nie te właśnie instrukcje miał na myśli były szef włoskiego wywiadu wojskowego (SID), znany ze swoich skrajnie prawicowych poglądów, gen. Vito Micheli, kiedy w najgorętszym momencie debat w sprawie Moro wezwał NATO do „uzupełnienia już istniejących środków wojskowego przeciwdziałania siłom wybuchowym, dodatkowymi środkami ochrony, „Mowa tu o środkach politycznego, psychologicznego i ekonomicznego oddziaływania, które by było zdolne do „zneutralizowania tajnej infiltracji Moskwy"... W karcie Paktu Północnoatlantyckiego przewiduje się ochronę nie tylko wojskową, lecz także polityczną.

Widać tu te same tezy, które figurowały w sprawozdaniu podanym do publicznej wiadomości przez komisję Senatu USA, powołaną do zbadania działalności CIA w krajach południowej Europy, w znanych oświadczeniach przedstawicieli USA we Włoszech (chodzi tutaj o oświadczenie ambasadora USA w Rzymie, dotyczące bezwzględnego niedopuszczenia komunistów do udziału w rządzie włoskim) i wreszcie w materiałach o działalności tajnych służb NATO, które zamieszczono swego czasu na łamach „l'Europeo". Te właśnie metody przyjęła za punkt wyjścia operacja „Chaos", opracowana przez amerykańskie tajne służby i mająca na celu przeniknięcie do ultralewicowych ugrupowań w USA i krajach zachodniej Europy. Informacje o tej operacji podał do publicznej wiadomości Kongres w Waszyngtonie. Nie od rzeczy będzie wspomnieć w związku z tym, iż telefonogram który miał być sygnałem do rozpoczęcia faszystowskiego przewrotu we Włoszech — próbował go dokonać przesławny „czarny książe" Valerio Borghese w grudniu 1970 roku — został przekazany przez kanały łączności NATO...

Autor artykułu w „l'Europeo", Sandro Ottolenghi, podkreśla, iż dokument „FM 30-31" jest wyraźnie ukierunkowany politycznie i zwraca uwagę na niektóre jego aspekty. Wyłania się np. pytanie, jakie związki i stosunki istnieją między organami które opracowały ten dokument, i utrzymują go w mocy, i tymi kołami włoskimi, do których był adresowany? Albo: jakie z dyrektyw które zawiera instrukcja już urzeczywistniono we Włoszech i kto wykonał je w praktyce? Włochów — podkreśla autor artykułu — interesuje przede wszystkim na ile przypadkowy jest ów przedziwny zbieg okoliczności między „sprawą Aldo Moro" jej następstwami i cytowanym dokumentem „FM 30-31", a także czy te nadzwyczajne zbiegi okoliczności nie są wynikiem strategii, która już zwykło się nazywać spiskiem międzynarodowym?...

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● **Zdjęcie, które 10 lat temu obiegło cały świat, znów znalazło się na łamach prasy światowej: szef południowowietnamskiej policji, gen. Nguyen Ngok Loan, z zimną krwią morduje wystrzałem z rewolweru związanego wietnamskiego patriotę. O usługach tych nie zapomniano za Oceanem. 48-letniego generała-mordercę przygarnięto w USA. Nguyen Ngok Loan jest dziś właścicielem dobrze prosperującej restauracji w Springfield, niedaleko Waszyngtonu. Na zdjęciu, wykonanym teraz przez korespondenta Associated Press, były generał reżimu południowowietnamskiego z uśmiechem reklamuje swój dobrobyt. „Nie mam czasu na wyrzuty sumienia — powiedział korespondentowi AP — mam za dużo pracy"... Sielankę mordercy zmącił Amerykański Urząd Imigracyjny, żądając niedawno deportacji generała do Wietnamu. Jednakże wynajęty adwokat powiedział, że jego klient „działał w Wietnamie w interesie USA i wykonywał tylko polecenia swoich przełożonych". (Associated Press).**

● **Stany Zjednoczone przy prezydencie Carterze używają nowych metod w realizacji swojej polityki w całym świecie, a przede wszystkim na Bliskim Wschodzie. USA interesuje głównie nafta na Półwyspie Arabskim i w Zatoce Perskiej. Amerykańskie inwestycje w tym regionie świata sięgają 4,5 miliarda dolarów. Rejon ten ma dla Stanów Zjednoczonych także wielkie znaczenie strategiczne, ponieważ leży w bezpośredniej bliskości granic Związku Radzieckiego. Interesów USA na Bliskim Wschodzie pilnują niektóre państwa tego regionu, jednakże St. Zjednoczone uważają, iż nie są one dostatecznie zabezpieczone i dlatego też obecny rząd amerykański szuka nowych dróg ochrony swoich pozycji. I w tym planie doskonałym instrumentem realizacji polityki USA jest reżim egipski. (Tischroin — Damaszek).**

● **W październiku indeks cen konsumpcyjnych w Izraelu wzrósł o 5,7 proc. Jest to najwyższy miesięczny poziom tego wskaźnika w bież. roku. W ostatnich 12 miesiącach tego roku tempo inflacji w kraju wynosiło 53,7 proc. (United Press International z Tel Avivu).**

● **Wojskowy budżet Japonii opiewał w 1970 roku na sumę ok. 1,6 miliarda dolarów. W roku finansowym 1978/79 osiągnął już sumę 11 miliardów. Od 1978 roku ministerstwo obrony zaczęło znów wykazywać większe zainteresowanie wydarzeniami międzynarodowymi, a władze japońskie nieraz lansują myśl, że „w obronie Azji rodzą się problemy, których jest coraz więcej". Tu i ówdzie słyszy się utyskiwania, iż dotychczasowe dotacje na potrzeby militarne stanowią zaledwie 54 dolary, na głowę ludności, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych liczba ta wynosi 530 dolarów, a w Izraelu — 1178. (Le Monde).**

● **„Ucieczka szczurów" — tak określono w Rodezji masowe wyjazdy Europejczyków z Salisbury, które tej jesieni przybrały ogromne rozmiary. Według danych Centralnego Urzędu Statystycznego, we wrześniu tego roku opuściło ten kraj 1776 Europejczyków. Poprzedni rekord: 1339 osób zarejestrowano w maju 1977 roku. W tym roku opuściło Rodezję, ogółem 11241 białych osadników. Przyczyną masowego wyjazdu białych jest, jak się tutaj ogólnie przypuszcza, obawa przed „rządem przejściowym" jak również nieuniknione przekazanie całej władzy afrykańskiej większości. Warto przypomnieć, iż ludność Rodezji liczy dziś 6 milionów 800 tys. Afrykanów i 250 tys. osób pochodzenia europejskiego. Zbrojne starcia partyzantów z „siłami bezpieczeństwa" są coraz częstsze, a liczba ofiar tych walk na przestrzeni ostatnich 6 lat sięga już ponad 11 tys. osób. (Reuter).**

C.

■ ECHA MOSKIEWSKIEJ DEKLARACJI ■ O ZAKAZ WYBUCHÓW POD ZIEMIĄ ■ ZAMROŻENIE LICZEBNOŚCI WOJSK

Nie milkną echa narady Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego, która w trzeciej dekadzie listopada odbyła się w Moskwie. Deklaracja siedmiu krajów socjalistycznych, zawierająca apel do wszystkich rządów i narodów świata, a będąca realnym programem rozbrojeniowym, żywo komentowana jest niemal przez wszystkie środki masowego przekazu. Podkreśla się w nich **ofensywny charakter deklaracji i jednoznaczną wolę Wschodu przejścia od rozmów do konkretnych kroków.** Rozmiary i zasięg zbrojeń, ciągłe doskonalenie broni masowej zagłady, a co za tym idzie powiększanie budżetów wojskowych — są zasadnym powodem zaniepokojenia. Bez wejścia na drogę rozbrojenia nie oddalimy niebezpieczeństwa konfliktów i nie spowodujemy wzrostu wzajemnego zaufania. Deklaracja Państw — Stron Układu Warszawskiego podejmuje więc najistotniejszy współcześnie problem i wskazuje drogi jego rozwiązania.

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR podkreślono **konieczność zahamowania wyścigu zbrojeń** i przejścia do rzeczywistego rozbrojenia. Podkreślono też, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa będzie nadal uczestniczyć w działaniach na rzecz realizacji zawartych w deklaracji inicjatyw i propozycji, zmierzających do ograniczenia zbrojeń masowej zagłady", „aktywnie współuczestniczyć... w staraniach o osiągnięcie postępu w wiedeńskich rozmowach w sprawie ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej oraz odnosić się z uwagą do innych działań na rzecz zmniejszenia zbrojeń konwencjonalnych, ograniczenia budżetów militarnych i podjęcia realnych kroków rozbrojeniowych".

Wobec jednakże wzmaganego przez państwa NATO wyścigu zbrojeń podzielamy stanowisko, że konieczne jest zachowanie i umocnienie potencjału obronnego Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego.

Na wspólnym posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR oraz Rady Ministrów ZSRR stwierdzono, że **narada Doradczego Komitetu Politycznego określiła obecnie pierwszoplanowe zadania,** których realizacja może przyczynić się do szerokiej pokojowej współpracy. Chcemy iść zdecydowanie w kierunku rozbrojenia, zredukować każdy typ zbrojeń, ale pod warunkiem, że będzie ściśle przestrzegana zasada niewyrządzania uszczerbku bezpieczeństwu jakiegokolwiek kraju. Tymczasem Zachód powiększa zbrojenia, a więc musimy utrzymać i umocnić nasze zdolności obronne. W każdej chwili jednakże gotowi jesteśmy do zredukowania swej działalności militarnej.

Komentarze na temat moskiewskiej deklaracji siedmiu krajów socjalistycznych zbiegły się w prasie z informacją o wznowieniu trójstronnych rokowań (radziecko-amerykańsko-brytyjskich) **w sprawie zawarcia układu o całkowitym i powszechnym zakazie doświadczeń z bronią jądrową.** Przypomnijmy, że chodzi w nich o uzupełnienie układu z 1963 roku, zakazującego eksplozji nuklearnych w atmosferze, pod wodą i przestrzeni kosmicznej, **porozumieniem o zakazie takich prób również pod ziemią.** W rokowaniach uzgodniono, że układ powinien wprowadzać zakaz wszystkich wybuchów badawczych w każdym środowisku i powinien być otwarty dla maksymalnej liczby państw.

Ze wznowieniem dyskusji w Genewie wielu komentatorów łączy nadzieje na postęp we wspólnych uzgodnieniach.

Z „frontu rozbrojeniowego" jeszcze jedno wydarzenie tygodnia: **zmodyfikowana propozycja państw socjalistycznych w rokowaniach wiedeńskich.**

Po raz pierwszy dokładnie przed czterema laty CSRS, NRD, Polska i Zw. Radziecki wystąpiły z inicjatywą, aby 11 państw bezpośrednich uczestników rokowań nie zwiększało liczebności sił zbrojnych w Europie środkowej. Z jej przyjęcia wynikałyby militarne, polityczne i ekonomiczne korzyści. Teraz wnieśliśmy do propozycji uzupełnienie: aby zobowiązaniom o niezwiększeniu wojsk nadać kolektywny charakter. Inaczej mówiąc — **sugerujemy zamrożenie w odniesieniu do ogólnej liczby wojsk każdego z dwóch prowadzących rozmowy ugrupowań:** Układu Warszawskiego i NATO. I to zamrożenia zarówno wojsk lądowych, jak i powietrznych, ponieważ siły morskie nie są przedmiotem wiedeńskich negocjacji.

Dotychczasową monotematyczność komentarza rozerwiemy kilkunastu słowami na temat egipsko-izraelskich rokowań. Otóż od ponad dwóch tygodni są one po prostu zamrożone, a ostatnio **Kair wysunął nowe propozycje,** które miałaby rozmowy wyprowadzić z impasu. Ich kompromisowość polega na tym, że Egipt gotów jest podobno wyrazić zgodę na opóźnienie tzw. wolnych wyborów na terenach okupowanych przez Izrael pod warunkiem, że przyszłe układy powiązane zostaną ze sprawą palestyńską.

Kair znalazł się w trudnej sytuacji: zainteresowany jest pomyślnym finalizowaniem rokowań z Izraelem, ale równocześnie musi dbać co najmniej o pozory wobec świata arabskiego.

Jak z tego wybrnie?

W. SŁAWSKI

TAJEMNICA PEWNEGO PIKNIKU

Film „Piknik pod Wisząca Skałą" dotarł do nas dosłownie i w przenośni z antypodów. W przenośni dlatego, że na mapie światowej kinematografii film australijski prawie był nie oznaczony, co wcale nie znaczy, iż na kontynencie tym był nie uprawiany. Tak jak wszędzie, kino australijskie startowało niedługo po tym, jak bracia Lumiere zaprezentowali światu swój wynalazek. Nigdy jednak nie powstawały w Australii filmy, które świadczyłyby o tożsamości jej kinematografii. Traktowane jako część produkcji brytyjskiej, nie osiągały też wysokiego poziomu artystycznego. Po drugiej wojnie światowej rozpoczął się proces powolnego zamierania australijskiego kina i dopiero po 1960 roku, dzięki dotacjom i opiece rządu, zaczęło się ono nie tylko odradzać, ale przynosić filmy zwracające uwagę światowej opinii.

Pierwsza zapowiedzią tego, że kino australijskie istnieje był pokazany u nas nieco wcześniej film o wymownym tytule „Na krańcu świata" Teda Kotcheffa — fascynujący niezwykłą przyroda australijskiego kontynentu i dramatyczna opowieścią o losach symbolicznych dlań zwierząt. Później pokazano społeczno-obyczajowy film „Caddie" Donalda Crombie, a obecnie oglądamy najgłośniejszy australijski film czyli „Piknik pod Wiszaca Skała" Petera Weira. Niezwykle trudno zaklasyfikować ten film gatunkowo, choć chętnie mówi się o nim jako o szlachetnym wariancie filmu grozy, a to głównie dlatego, że tematem jego jest tajemnica, która nie znalazłszy swego rozwiązania, zdaje się sugerować obecność i działanie sił niezwykłych nadprzyrodzonych.

Tajemnica ta dotyczy zniknięcia trzech uczennic z pensji dla dobrze urodzonych panienek i ich wychowawczyni. Zaginęły one w czasie pikniku urządzonego pod masywem zwanym Wiszaca Skałą. Opowieść o tym niezwykłym wydarzeniu ma swe źródła w głośnej w południowej Australii legendzie, której nie potwierdzają jednak żadne oficjalne źródła. Dziewczęta te zaginęły 14 lutego 1900 roku, w dniu świętego Walentego, dniu, w którym — wedle ludowej tradycji — ptaki łączą się w pary. Tę ludową legendę przypominam nie bez przyczyny, bowiem prowadzi ona wprost do głównego, jak się wydaje, tematu filmu, którym jest przyroda i człowiek. W temacie tym nastrój tajemnicy i grozy służy przede wszystkim refleksji o złożoności związku natura — kultura, w którym człowiek, będąc cząstką przyrody, wydaje się mniemać, że ją rozpoznał i zdołał nad nią zapanować.

Można też przypuszczać, że dla mieszkańców Australii, tych którzy przybyli na te ziemię tak późno, groźna Wiszaca Skała jest jej symbolem. Ta niema i tajemnicza przyroda dokonała brutalnego aktu zemsty wobec tych, którzy opanowawszy tę ziemię, podporządkowali ją swym społecznym prawom. Można tej interpretacji nie przyjąć, lecz dziwnie się ona narzuca wówczas, gdy ogląda się w pejzażu australijskiej ziemi ową pensję pani Applevard, jej wychowanki i nauczycielki. Jest ona w tym kontekście tworem tak nieautentycznym, przeniesionym i przeszczepionym wprost z dalekiej Anglii, że zdaje się tak, jak owa Wiszaca Skała pełnić funkcję symbolu, owego wyżej wspomnianego porządku społecznego. Przewrotność tego filmu polega na tym, że ów symbol jest tak piękny. Porządek i ład w ekskluzywnej pensji są jednak pozorne, tragiczne wydarzenia ujawniają cały ich fałsz.

Gdybyśmy jednak w próbie rozszyfrowania ukrytych sensów „Pikniku pod Wiszaca Skałą", nie chcieli iść tak daleko, pozostaje on okazją do przeżycia niezwykłych zmysłowych wrażeń. Piękna tego filmu nie da się opisać, gdyż żadne słowo nie odda urody dziewczęcych postaci, pejzażu i kolorystyki tego filmu. W czołówce „Pikniku pod Wiszaca Skałą" znajdujemy rzadko spotykaną informację — autorem zdjęć jest Russel Boyd, autorem zdjęć przyrody — David Sanderson. Oglądając film nie dostrzeżemy różnicy pracy „dwóch kamer" dwóch punktów widzenia — tworzą one spójną jedność, w której uderza przecudowny sposób widzenia i obrazowania człowieka i przyrody, a zwłaszcza jej przestrzeni, sposób wobec którego ludzkie oko jest niedoskonałe.

Film „Piknik pod Wiszaca Skałą" jest więc poza wszystkim kolejnym ujawnieniem wielkości filmowego widzenia świata, które nie jest tożsame z naszym, ludzkim jego oglądem. Nie wnikam w doskonałość filmowej taśmy i filmowego sprzętu, podziwiam ludzi, którzy tak jak autorzy tego filmu potrafią zeń korzystać. Muszą przy tym te ziemię te przyrodę która jednak zawładnęli, bardzo kochać. I w tym chyba kino australijskie odnalazło swą tak długo poszukiwaną indywidualność.

EWA NURCZYŃSKA

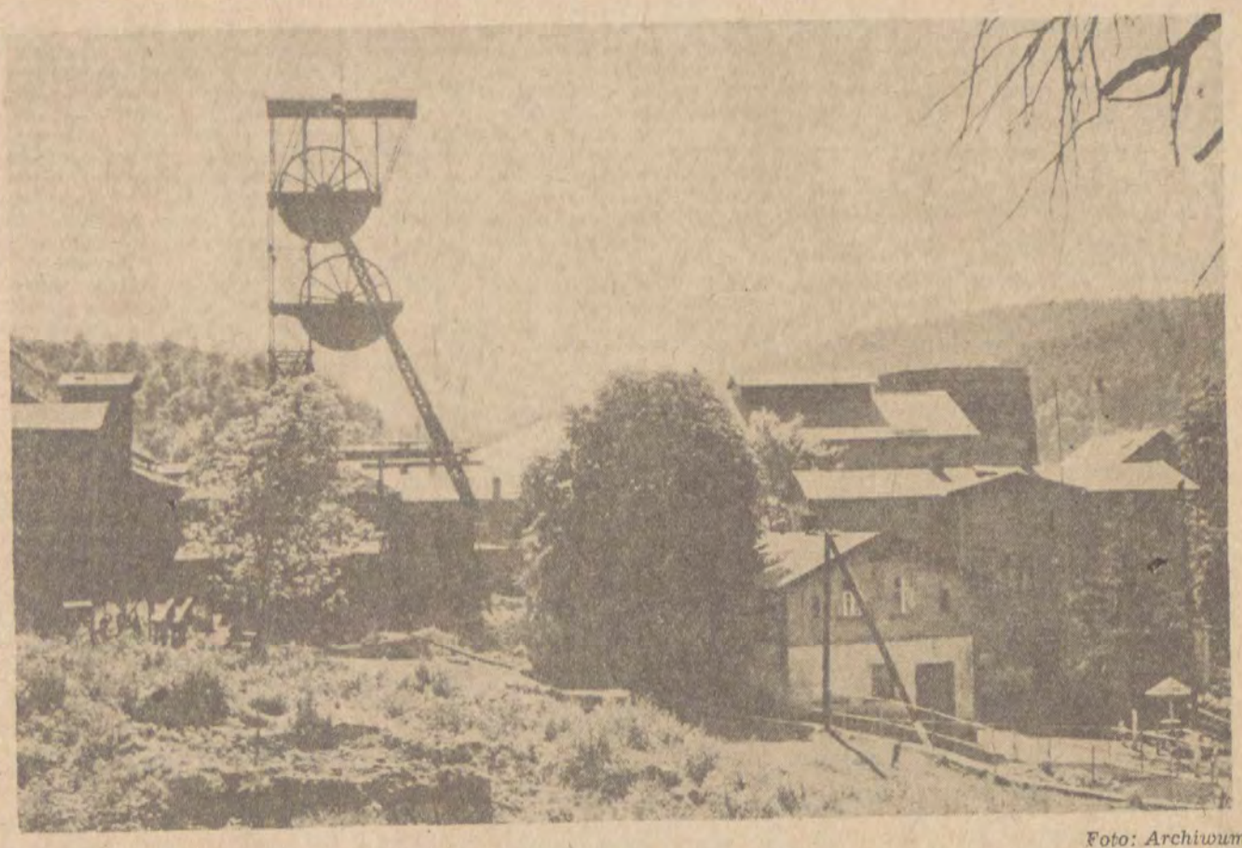

Foto: Archiwum

KONSTANTY SIMONOW

różne dni wojny

fragment

Drukujemy poniżej fragment pamiętników Konstantego Simonowa opublikowanych w dwóch tomach pt. „Różne dni wojny". Simonow jako korespondent początkowo „Izwiestii", a później „Krasnoj Zwiezdy" przebywał na różnych odcinkach frontu od Półwyspu Kolskiego po Krym, od pierwszego dnia wojny do jej końca. Trafił także, wraz z Armią Czerwoną, do Polski i był świadkiem przejmowania przez Polskę Górnego Śląska.

Rano wyjechaliśmy z Alpertem z Pszczyny, zamierzając dostać się do I Ukraińskiego, do 60 Armii gen. Kuroczkina, która — według doniesień — atakuje z powodzeniem. Lecz kiedy po drodze zajechaliśmy do Zabrza, by na wszelki wypadek uzyskać zgodę na nocleg w hotelu, gdybyśmy tu w nocy powrócili od Kuroczkina, nagle dowiedzieliśmy się o ciekawym dla nas wydarzeniu.

Nie czekając końca wojny, już teraz Górny Śląsk przekazuja Polsce. Rzecz jasna, było to przewidziane konwencją krymską. Górny Śląsk, tak czy inaczej, winien być przyznany Polsce, ale fakt, że to dokonywało się już teraz, najwidoczniej był akcją polityczną, która miała mieć wpływ na bardziej demokratyczny skład formującego się obecnie rządu polskiego. W każdym razie, zdaje mi się, że o to chodziło.

Dowiedziawszy się o tym, zmieniliśmy swoje plany. Zdecydowaliśmy się pojechać do Kuroczkina jutro a dziś ruszyliśmy do Katowic, gdzie według informacji komendantury, o 12 w południe tutejszego czasu, a o 2 według naszego moskiewskiego winien odbyć się wiec poświęcony przekazaniu Górnego Śląska Polsce.

W Zabrzu, z tej okazji wisiało już na ulicach kilka polskich flag, których dotychczas tu nie widziałem. Flag było mało. Prawdopodobnie tłumaczyło się to tym, o ile mi wiadomo, że akurat w samym Zabrzu obecnie nie ma więcej ludności polskiej, niż 7 procent.

Im dalej, po drodze do Katowic, tym więcej flag. Szczególnie dużo ich było w górniczych osadach pomiędzy Chorzowem Batorym a Katowicami, gdzie mieszkali i pracowali polscy górnicy. Poczynając od Huty Królewskiej, po drodze szło coraz więcej ludzi — mężczyzni, kobiety, a nawet dzieci. Oczywiste było, że to Polacy idą na wiec do Katowic. Potem doganiliśmy niewielką kolumnę idących z Huty Królewskiej do Katowic dzieci. Następnie wyprzedziliśmy maszerujących szosą strażaków w pełnym umundurowaniu i błyszczących kaskach. Potem długo jechaliśmy wzdłuż kolumny kroczących w uroczystych strojach śląskich górników. Czarne, długie spodnie i czarne buty krótkie do pasa czarne kurtki z rękawami, na których od góry były naszyte jakby drugie marszczone rękawy; czarne okrągłe czapki podobne do mnąstyrskich kłobuków, tylko że z różnokolorowymi kogucimi piórami: czerwonymi, białym i czarnymi. Na czele kolumny kroczyła orkiestra, a przed nią jechał jeździec na koniu, w żupanie z futrzanym obszyciem i w zawadiacko zsuniętej na bakier czapce. Takich jak ten, oglądałem kiedyś na starych sztychach przedstawiających powstanie Kościuszki oraz inne zdarzenia z tamtych czasów.

Po górnikach wyprzedziliśmy następną kolumnę dzieci, tym razem uczniów, potem jeszcze kolumnę górników, w końcu dojechaliśmy do Katowic.

Na głównym placu miasta już zebrał się olbrzymi tłum. Chociaż nie, nazwać tego tłumem raczej nie można. Prędzej była to przybyła tu ogromna demonstracja rozlokowana w prawidłowo ustawione kolumny. Sam plac nie był zbyt wielki, ograniczony ze wszystkich stron domami. Obok największego, prawdopodobnie administracyjnego budynku z wysokimi oknami i masywnymi kolumnami, do jego centralnego wejścia prowadziły szare schody, na których już stali ludzie ze sztandarami.

Sztandarów było dużo, ponad sto. A być może, że i dwieście. Niektóre z nich nowe, w większości — stare, nie wiadomo jak przechowane. Niektóre z polskimi orłami na płótnie, inne miały na drzewcach złocone ostrza. A niektóre sztandary — w przeważającej ilości — były jedwabne, błękitne, z wizerunkiem świętej Barbary, patronki górników. Pośrodku schodów stała trybuna okryta materiałem z polskimi orłami. Poniżej trybuny po obu stronach wznosiły się transparenty z portretami Stalina i przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, Bieruta. Pod portretem Stalina leżał ogromny, wielopudowy kawał węgla z wyrytym napisem: „Wielkiemu marszałkowi Stalinowi od górników Śląska".

Na stopniach schodów, przed rozpoczęciem wiecu tłoczyło się parę dziesiątków osób — polscy i nasi wojskowi i cywile — prawdopodobnie miejscowi przywódcy partii robotniczej oraz pracownicy województwa. Stopniowo podchodzili inni ludzie, których straż przepuszczała na schody. Zjawiło się kilku spóźnionych fotografów. A potem pojawił się stary człowiek, wysoki suchy, prosty jakby kij połknął, w meloniku i starym palcie z przypiętymi dwoma orderami i dwoma medalami. Starzec przeszedł dostojnie nie patrząc na nikogo; jego twarz była poważna i dumna, po starczemu chuda i miał wielkie, wyłażące z rękawów weźlaste ręce.

Nie wiem kim był. Ale mnie, pomimo melonika, wydało się, że był to człowiek z ludu. Być może jakiś stary mistrz górniczy, uczestnik jeszcze tamtej wojny światowej.

Na wiecu mieli wystąpić: przewodniczący Krajowej Rady Narodowej — Bierut, premier Osóbka-Morawski i dowódzący wojskiem polskim Rola-Żymierski. W oczekiwaniu na nich ustawiło się kilku polskich oficerów-elegantów. Ubrani w zawadiackie konfederatki z niebieskimi otokami, a jeden z nich — malutki człowieczek o ładnej twarzy, z długimi jasnymi, wysuwającymi się spod konfederatki włosami, w czarnym płaszczu i z ogromnym pistoletem — szczególnie wyraźnie się uwijał: biegał uśmiechał się pozował do zdjęć. I wtedy pomyślałem, że to na pewno czyjś adiutant.

Przyjechaliśmy wcześniej i czekaliśmy prawie godzinę. Początkowo było pochmurno, potem troszkę pokropił deszcz i w końcu się wypogodziło. I kiedy na wieży wybiła godzina druga, z jakiegoś domu na skos przez plac, w kierunku stopni zaczęli iść ci, na kogo czekano: Bierut, Osóbka-Morawski, Rola-Żymierski, a z nimi nasz przedstawiciel, generał-major. Ktoś powiedział, że przyjechali tu po odbyciu dwóch wieców: u metalowców i u górników Śląska.

Kiedy wstąpili na schody i stanęli o kilka stopni poniżej trybuny, wśród grupy stojących tam ludzi, tłum krzyknął:

— Niech żyje! Niech żyje! — trzykroć. I trzykroć w takt okrzykom obnażano głowy i unosiły się czapki ku górze. Jeśli wziąć pod uwagę, że na placu znajdowało się 20 tysięcy ludzi, to widok był dość imponujący.

Po tym wszystkim orkiestra górnicza, w swoich dziwnych czarnych ubraniach i czapkach z pióropuszami, zagrała cudowny polski hymn, od którego ładniejsza — być może — jest tylko Marsylianka.

Cały plac stał z odsłonietymi głowami. Nasi oficerowie stali, uniósłszy ręce do daszków, polscy — niedbale położywszy na daszek dwa palce.

Mam wrażenie, że nie bacząc na całą powagę mego stosunku do tego, co dzieje się obecnie w Polsce, odnosze się z jakąś wewnętrzną niechęcią do czegoś nieuchwytnie fircykowatego, co daje o sobie znać w sposobie zachowania się niektórych przedstawicieli Wojska Polskiego. Jest w tym coś zewnętrznie niepoważnego, nie bacząc na cały niewątpliwy patriotyzm, który — jak nieraz miałem okazję się przekonać — żyje w duszach Polaków może nawet mocniej, niźli w ludziach innych narodowości.

Jako pierwszy wystąpił gen. brygady Zawadzki — wojewoda śląski. Dotąd był on w Katowicach w charakterze wojewody województwa dąbrowskiego, lecz teraz, od dziś, w jego województwo wchodził Śląsk.

Widziałem Zawadzkiego jeszcze w 1944 r. w Lublinie, kiedy był zastępcą do spraw politycznych u gen. Berlinga, w I Armii Wojska Polskiego i słyszałem wówczas, że to jeden z wybitnych działaczy Polskiej Partii Robotniczej.

Wyszedł na trybunę — niewysoki, starannie ubrany, w wielkiej, obszytej na daszku generalskim zygzakiem konfederatce, i przemówił z temperamentem, a jednocześnie rytmicznie, jak doświadczony mówca dobrze namiętający o konieczności pauz. Zawadzki mówił dość długo i na tle, choć nie wszystko chwytałem, mogę zrozumieć — jego mowa była akurat ta mowa, która należało wygłosić w tych warunkach. Mówił on o przyszłych nowych granicach Polski na Odrze i Nysie, o Morzu Bałtyckim, o przyjaźni z Rosją, o konieczności kontynuowania działań wojennych, o wdzięczności narodu dla Armii Czerwonej i Wojska Polskiego.

Kiedy przerywał, kończąc pauzą każdą część swej mowy, naród na placu bił brawo i krzyczał niech żyje! Orkiestra grała jedną zwrotkę polskiego hymnu i wszyscy na placu zdejmowali czapki.

Po tym, jak Zawadzki mówił o Armii Czerwonej i o Stalinie, nagle zagrano nasz hymn. Orkiestra grała bardzo niepewnie i z fałszywym tempem, lecz nie bacząc na takie wykonanie, sam ten fakt wzruszał dusze.

Po Zawadzkim występował Bierut. Wyglądał na lat 45, lecz możliwe, że miał więcej. Miał on jedną z tych pięknych i surowych twarzy, które długo się nie starzeją. Mówił nienadzwyczajnie z oratorskiego punktu widzenia, i krótko. Lecz w czasie tej krótkiej mowy kilkakrotnie mu bili brawo i krzyczeli: niech żyje!

Po Bierucie występował Osóbka-Morawski. Miał prawie siwą głowę i zupełnie młodą, jakby rwącą się ku przodowi twarz. Wszystko ku przodowi — nos i podbródek. Te ostre i bystre rysy czyniły go młodszym niż był w rzeczywistości.

W swojej mowie powiedział on między innymi zdanie o tym, że Polska znajdowała się i znajduje pomiędzy Rosją i Niemcami i nigdy nie pozwalała sobie i nie pozwoli na zbytek wrogości z oboma sąsiadami. To zdanie, jeślim je dobrze zrozumiał, odebrałem jak nazbyt ograniczone politycznie. Prawda, zaczął zaraz mówić o tym, że Polska musi przyjaźnić się z nami, o uczuciu wdzięczności i wypływających stąd obowiązkach, ale wszystko to, dzięki poprzedniemu zdaniu, przyjmowałem już nie emocjonalnie, a z punktu widzenia rozsądnej konieczności i praktycznego pożytku.

Po wystąpieniach Bieruta i Osóbki-Morawskiego cały plac na ich cześć krzyknął po trzykroć: niech żyją! A potem wystąpił gen. Rola-Żymierski. Generał miał pełną, trochę babską twarz, taką, że wydawało mi się, iż jeśli tego człowieka ubrać w sutannę, będzie mu w niej jak ulał. Mówił dobrze. Rozpoczął cicho, ledwo go się słyszało, ale budował mowę swą na zwrotach. Głos jego ciągle się nasilał, krzepł. Mówił tak, jak nieraz czytają wiersze umiejący to robić poeci: trochę monotonnie, lecz przy tym coraz więcej i więcej przyciągając ku sobie uwagę tempem mowy, jej rytmicznością i sensem.

Słuchano go uważnie i goręcej niźli innych. I kiedy skończył, dla niego było najwięcej braw i okrzyków: niech żyje! Mówił on o sile Armii Czerwonej, o sile wojska polskiego, o zemście nad Niemcami. Wybierał rzeczy najprostsze i konkretne z tego, co można było powiedzieć zebranym tu ludziom. Dlatego jego słowa wywołały najbardziej gorące brawa.

Wydało mi się, że w tym stanowszym na trybunie dowódcy wojska polskiego, który był do tego generałem starej armii polskiej, w świadomości zebranych uosabiało się coś niewzruszonego, coś co uosabiało dla nich Polskę w ogóle.

Po Roli-Żymierskim występował nasz generał-major, gruby, w generalskiej furażerce z jakiegoś powodu nie w płaszczu, a w letnim kombinezonie. Mówił on trzeźwo, rozsądnie i bardzo krótko, od początku kierując słowa do górników i metalowców Śląska, czym od pierwszej minuty zjednał sobie sympatię zebranych na placu ludzi.

Początkowo generał śmiesznie się przejęzyczył, powiedziawszy: „Towarzysze górnicy, towarzysze metalowcy, towarzysze robotnicy i robotnice śląskich kopalń i rudni, towarzysze robotnicy domowi". Prawdopodobnie chciał on powiedzieć „towarzyszki robotnice domowe", ale tego przejęzyczenia nikt nie spostrzegł, bowiem wszystko, o czym mówił dalej, było mądre i dobre.

Ostatni na trybunę wyskoczył nagle człowiek bez czapki; gniótł coś w ręku, początkowo nie mogłem tego rozpoznać i tylko później zorientowałem się, że to czapka. Czarny, z potarganymi włosami rozpoczął on od razu na najwyższej skali głosowej, niekiedy załamywał się, charczał, kaszlał, lecz mimo to kontynuował do końca na tychże wysokich rejestrach. Mówił on z pasią i mocno. Biczował rząd londyński, mówił o Bierucie, Osóbce-Morawskim i Roli-Żymierskim, jako o ludziach, którzy nie rzucili swego narodu zostali, aby z nim razem walczyć w podziemiu i dlatego znają potrzeby narodu. Przeciwstawiając ich londyńczykom mówił o konieczności pracy nie szczędząc rąk, o tym, że Rosjanie obiecali pomóc przy odrodzeniu Polski. I wzywał obecnych, by wytężali wszystkie siły dla odbudowy kraju. I choć kilkakrotnie zdawało mi się że źle obliczył siłę swego głosu, że za moment zerwie się i zamilknie, lecz mimo wszystko wytrzymał przemowę do końca na tej wysokiej nucie.

Jemu wielokrotnie przerywali okrzykami: niech żyje! i zszedł z trybuny przy huku braw. O ile zrozumiałem, występował on w imieniu miejscowej organizacji partii robotniczej.

Nawiasem mówiąc, ów starzec z dwoma krzyżami i dwoma medalami, którego zauważyłem na początku wiecu, stał w pobliżu trybuny i w momentach, gdy mowa mu się podobała, zdejmował z głowy swój melonik i z uwagą patrząc na mówiącego, posuwał się w stronę trybuny, jakby chciał od razu, z miejsca wyrazić swoje uznanie słowom, które usłyszał. Podobały mu się nie tylko wypowiadane na mównicy słowa, on sam jak gdyby żył tymi słowami, przyjmował je w siebie jak coś własnego, nie należące więcej do mówiącego...

Przekład:
EUGENIUSZ IWANICKI

Wacław Biliński

IKONY

Jak na treningu, ruszył w takim tempie, że Irena w sportowych, ciężkich półbutach i skórzanej kurtce od razu została daleko z tyłu. A przecież nawykła do takich zabiegów. Jeśli nie walczył w niedziele, wyjeżdżali zazwyczaj za miasto i biegali po lesie. Ku własnemu zdziwieniu polubiła to nawet. Kondycja fizyczna, myślała, trzeba więcej dbać o nią, była przecież od Zygi starsza. Kondycja fizyczna, myślała, przeliczając taki bieg i swój wysiłek na korzyści, jakie daje sprawne zdrowe, silne ciało. To było na pewno lepsze niż wysiadywanie w zadymionych kawiarniach. Na kawiarnie miała czas w tygodniu, gdy Zyga trenował. Gdy znudziło się malowanie. Gdy brała tęsknota za bractwem świętego Łukasza i spółka, jak nazywali się żartobliwie w kręgu przyjaciół z akademii.

Zyga czekał na krawędzi stromego stoku. Mżawka, zimna i zacinająca w każdym podmuchu wiatru, siekła po twarzach. Irena dobiegła, zdyszana. Przystanęła. Objął ją ramieniem.

— Zmęczyłaś się.

— Wziąłeś takie tempo...

— Nie szkodzi. Dotlenimy się. Troche wysiłku. — I nagle poważnie, z niepokojem w głosie: — Naprawdę chcesz to zrobić?

— Chcemy.

— To był twój pomysł!

Zbiegli drogą stromo w dół, tam, gdzie niegdyś, przed tragedią bieszczadzką kryła się wioska Łemków czy Boików. Przodem, roztrącając gałęzie krzewów sadził długimi krokami Zyga. Torba z napisem „Adidas" tłukła mu się po plecach. Coś w niej metalicznie pobrzękiwało. Irena za nim, zdyszana, ze smakiem krwi w ustach. Wokół nie było żywej duszy. Wiatr rozwiewał jej włosy i gdy znów przystanęli na moment, już na dole, nad potokiem, Zyga obejrzawszy się zrobił minę po której zawsze poznawała, że jest w jego oczach piękna. Nie oczekiwała teraz takiego sygnału, właśnie tu. Od razu groza znikła. Został triumf: mogę z nim robić, co zechce. Nikt nigdy nie był aż tak mój. W ogóle była dla niego i najpiękniejsza i najmądrzejsza, i najzdolniejsza. A jej zepsucie — bo przecież wiedział o kochankach, o awanturach przeszłości — nadawały tej miłości smak ostry, gorzko piekący.

Poszli wzdłuż strumienia, stąpając ostrożnie po grząskiej łące, ku kępie drzew, która, jakby oderwała się od skraju lasu. Raz i drugi pod nogami cmoknęło bagniste błocko.

— Teraz szybko — powiedziała Irena.

Dróżka zarośnięta, jakby ludzie zapomnieli na amen o tym zakątku, dali nura w gąszcz. Zaszły im drogę jakieś kolczaste zarośla, jeżyny — nie jeżyny, osty — nie osty. Zyga rozgarniał je i cicho przeklinał. Już przeświecała polana, a na niej zapadająca się w ziemię, sczerniała cerkiewka o cebulastych krytych gontem kopułach. Zatrzymali się na skraju polany. Irena spojrzała na zegarek i powiedziała triumfująco:

— Dwunasta punktualnie.

Z niekłamanym zachwytem patrzyła na cerkiew. O, raju, co za landszaft! Egzotyka, pomyślała. Wschód, ani śladu Europy. Ale jakie wzruszające.

— Dobra kompozycja — powiedziała głośno — To wszystko, te wysokie drzewa te kopuły...

Zyga miał czoło w zmarszczkach, zaciskał usta. Milczał. Od początku odnosił się do tej eskapady bez entuzjazmu.

— Dobra, doskonała kompozycja — powtórzyła Irena, trochę żeby coś powiedzieć, ale i szczerze bo była wrażliwa na piękno. Jej wybór zawodu — nie podyktowany modą, snobizmem, poza, jak to się zdarzało jej przyjaciółkom — był — nieprzypadkowy. Lecz choć uczulona na piękno kształtu, barwy, światła, nie czuła się zarazem zbyt uzdolniona. Może to było lenistwo. A może kompleks, zahamowanie. Uważała, że ma mniej pomysłów twórczych niż wielu jej kolegów. Pomysłów „na wystawę" czy choćby na sprzedażną galanterię robioną dla „Desy". Lecz pod działaniem takiego jak teraz bodźca jej wrażliwość, niby napięta struna, dawała od razu ton wysoki i mocny. Umiała się zachwycić. A ta staruszka cerkiewka, sczerniała, połyskująca mokra od deszczu łuska gontów, nad nią kopuła starych drzew, już półnagich i sypiących resztką jesiennych liści, czarno, jakby węglem narysowanych na tle następnego potężnego garbu, brunatnego w jesiennych kolorytach a góra nadymające się, pełne deszczu obłoki.

— Co za pejzaż! Tylko oprawić w stare dziewiętnastowieczne ramy. Tyle, że dziś nikt już takich pejzaży nie maluje.

— Chyba szkoda — powiedziała. — Piękny, dziewiętnasty wiek...

— Nie podoba mi się to, wcale nie podoba — przerwał Zyga tę chwilę kontemplacji. — Naprawdę chcesz to zrobić?

— Pytanie za sto złotych — zirytowała się. — Mówię, że szkoda pejzażów. Landszaftów. Sztuki retro. Nikt jej nie wskrzesi. Nikt tego dziś nie potrafi.

— Bierzemy się do roboty — przerwał jej rzeczowo.

Podszedł pierwszy zostawiając za sobą wyraźne ślady na zwarzonej przez nocne przymrozki, moknącej w deszczu trawie. Przeszli przez polanę, niegdyś w niedziele i odpusty pełną pątników, Boików czy Łemków z pobliskich wiosek. Tam gdzie niegdyś była wioska, teraz zarośle chwastem rumowiska i pogorzele straszyły ostatnimi, nie skruszonymi jeszcze przez czas, sterczącymi w krzakach kominami. Nie było pątników, nie było niedzielnych modlących się. Irena i to wkalkulowała w swój plan.

Zaczynał padać coraz gęstszy zimny deszcz. W wielkiej ciszy, jaka stała nad wzgórzami, czasem przerywanej ochrypłym krzykiem przelatującego gawrona, szelest deszczu na zeschłych liściach wydawał się muzyką. Irena oparła się plecami o sczerniałe belki ściany. Okap z gontów nawet nad wejściem do cerkwi był niski.

— Ani żywej duszy — powiedziała i zaczęła się śmiać. — Szkoda, że nas Halina nie widzi.

— Coś ty! — mruknął Zyga. Położył u jej nóg swą granatowo-białą torbę i szybko obszedł dookoła cerkiewkę. Wolał sprawdzić. Zamknęła oczy i słuchała jego cichych kroków. Wrócił, podniósł torbę i nie patrząc Irenie w oczy, powiedział:

— Zerwij trochę gałęzi. Trzeba zamieść pod okapem ślady po nas. Naokoło. Z tyłu jest piasek. Na zewnątrz deszcz zmyje.

Otworzył błyskawiczny zamek. Wyjął dłuto i młot. Odrzwia cerkwi zamknięte były na skoble. I dwie nowe, budzące respekt kłódki. Dwie! Tak jak powiedział profesor. Na ścianie tablica: „Obiekt zabytkowy" i tak dalej. Zyga mocował się ze skoblami. Nie poszło tak łatwo, jak przypuszczali. Tu, pod stropem, drewno zachowało żelazną spoistość. Nie można było wyrwać kutych, prymitywnych ćwieków.

— Rusz się — warknął ze złością Zyga. Niepowodzenia zawsze go złościły. Zróbże te miotły.

Irena usłuchała. Szamocąc się z chwastami, została nawiedzona przez pokusę, by zrezygnować. Właściwie po co to? — pomyślała. — Zachcianka! Zebrała wiecheć zeschniętych chwastów i wróciła z nim pod okap. Zyga powiedział:

— Muszę przynieść łyżkę do opon. Inaczej nie dam rady!

Pobiegł do samochodu. W gęstniejącej, wszystko zamazującej mżawce jego bordowy dres robił się bury. Nikł na tle moknącego listowia.

— O, Boże — pomyślała Irena, nagle poczuwszy się osamotniona, mimo iż był w zasięgu jej głosu. — O, Boże, żeby tylko się udało!

Po raz pierwszy od chwili, gdy zrodził się ten pomysł, naprawdę, czuła przykre ukłucie lęku. Już nie żadne emocje podniecenie a strach. Zwykły strach. Może się wycofać? — znów kusiło. — Właściwie po co ryzykować? Czy gra jest warta świeczki? Zaraz jednak zgromiła się w myślach: Histeryczka! Od pomysłu do realizacji! Musi się udać! Musi się udać!

Ile razy próbowała w życiu hazardu? Czy można było w to wliczyć rozbieranego pokera? Grali w to na obozie studenckim nad morzem na drugim czy trzecim roku. Potem była gra na wyścigach, ale Służewiec, pasja wuja, starego lowelasa, nudziła niepomiernie. Była jedna bytność w warszawskim zamelinowanym kasynie gry i przegrane (a przeznaczone na zagraniczną wycieczkę) osiemnaście tysięcy złotych w bonach.

To całe jej doświadczenie życiowe w grze. W hazardzie. Teraz chodziło o inną stawkę. Ten zwariowany pomysł — tak to określił Zyga w czasie pierwszej na ten temat rozmowy — zaświtał jej po spotkaniu z pewnym profesorem akademii o głośnym nazwisku. Mówiono o nim, że ma świra na punkcie malarstwa starocerkiewnego. Jego twórczość, twierdzili złośliwi, powstaje z mieszaniny keczupu pomidorowego i nastroju starych cerkiewek. W istocie, uznana w kraju i chwalona za granicą, wywodziła się ta twórczość z życiowej fascynacji właśnie starocerkiewną ikoną.

Profesor należał do krakowskiej szkoły. Irena i jej znajomi byli warszawiakami. Zakony tej samej religii, ale skłócone a nawet wrogie. Tak się jednak złożyło, że jakaś towarzyska uroczystość zetknęła ich w olbrzymiej pracowni bardzo wziętego rzeźbiarza, twórcy — znów określenie Ireny — „nadwornego". Ów krezus, o którego zarobkach krążyły legendy mający na swym koncie — tym artystycznym, nie bankowym — parę okolicznościowych pomników, a wiadomo ile to daje — (tak się mówiło w artystycznym środowisku-piekiełku) — miał słynną ze skąpstwa żonę, która na przyjęcie tabunu gości przygotowała chude, bardzo chude party. Były kanapki na krakersach jarzębiak, którego Irena nie znosiła. W butelkach po gordonowskim ginie polska, udająca gin, wódka myśliwska. No i krajowy sok pomarańczowy. Temperatura spotkania, atrakcyjność i błyskotliwość rozmów, ale wreszcie byle jak dobrane towarzystwo, wydające się Irenie rozpaczliwie nudne i sztywne — pasowało do takiego właśnie menu i do takiej karty win. Jaki pan, taki kram. Nudy, nudy na pudy.

Snuła się po pracowni ze szklanką pseudoginu w ręku. Z kwaśną miną oglądała gipsowe modele słynnych realizacji. Wydymała pogardliwie wargi patrząc na rodzące się projekty. Przeliczała je w myślach na złotówki. Wzruszała ramionami na kompozycje w stanie embrionalnym. Krytycznie przyglądała się szkicom. Ta pracownia złościła ją: była dowodem sukcesu, którego nigdy nie osiągnie. Mogła osłonić się tylko wzgardą. Zresztą taki był fason jej środowiska. Powtarzali w myślach dostrzeżony przez kogoś z nich na murach Luwru napis kredą „sztuka to gówno". Marzyli o burzeniu zastanych kanonów. Sztuka to gówno.

Przypadkowo dołączyła do grupki wokół profesora — miłośnika malarstwa starocerkiewnego. Mały, uczesany na jeżyka, z oczami wiecznie załzawionymi, nudził i metniaczył, jak zwykle, na temat zależności między niosącym objawienie stanem mistycznego skupienia, a świadomością twórcy. Ostatnio odkrywał glebie Zen. Zresztą teoria inspiracji twórczej stanowiła ulubiony temat jego wielogodzinnych, zamęczających studentów dywagacji, konik, którego dosiadał przy każdej okazji. Krążyły na ten temat różnorodne, najczęściej słone dowcipy między innymi i taki: o stosunku płciowym profesora w pozycji lotosu z wynikającą z tego inspiracją.

Wynurzeń tego dziwaka Irena nie była ani trochę ciekawa. Usłyszawszy znajomy, monotonny głos, chciała dać drapaka, ale profesor nagle zmienił temat i zaczął mówić — co dziwniejsze, ciekawie — o swej tegorocznej wakacyjnej penetracji Bieszczadów. Ktoś powiedział, że tam już chyba niczego nie ma. Profesor na chwilę stracił swój wystudiowany spokój i wybuchnął całym fajerwerkiem zachwytów. Z Athos? z Athos! — powtarzał. I wtedy Irena po raz pierwszy usłyszała o zagubionej w głuszy cerkwi. Wczoraj stamtąd wróciłem! Profesor wspomniał nazwę wioski, która zniknęła w czterdziestym szóstym czy siódmym roku z map, wypalona do cna. Już nazajutrz w starym atlasie z biblioteki pięcia Irena długo szukała — ot, tak sobie, dla zabicia czasu — wioski o takiej nazwie i zaznaczonej kółkiem z krzyżykiem cerkiewki. Nie znalazła. Niepowodzenie stało się bodźcem do dalszych poszukiwań.

W dwa dni później, po międzypaństwowym meczu, poznała Niemca, działacza czy menażera, bogatego opiekuna sportowców, głośne nawet kiedyś w boksie nazwisko, i znów dzięki przypadkowi dogadała się, ona, plastyczka, z tym siwawym panem o charakterystycznym złamanym nosie, którego od razu zachwyciła uroda. Jego żona (pokazał jej fotografie tłustej, wielkookiej piękności, o kruczych włosach) była również plastyczką, prowadziła w Monachium sklep z dziełami sztuki.

— To świetny interes — mówił miły pan. — Dzieła sztuki są w tej chwili międzynarodowym hobby numer jeden.

Irena zawahała się a potem, wiedziona impulsem, którego nie potrafiłaby wytłumaczyć, zadała to pytanie. A siwy pan od razu się zainteresował.

— Szesnastowieczna ikona? Z klasztoru w Athos? Oryginalna?

— O falsyfikaty bym nie pytała.

— Od ośmiu do dziesięciu tysięcy dolarów. To modne. Szczególnie w Nowym Jorku. Oczywiście to cena sprzedaży. Cena zakupu... — już złowił podtekst tych jej pytań i prowadził rozmowę z pozoru od niechcenia, lecz w istocie serio. — Cena zakupu odpowiednio niższa...

Chroniąc się przed coraz gęstszym deszczem pod okap cerkiewki, Irena pomyślała o dolarach, o tamtej rozmowie z siwym panem. Zaczynała się hazardowa gra. Dotychczas był to tylko dość fantastyczny pomysł. Teraz zaczynały się emocje bliskie tym, jakie zmuszały ją do krzyku, gdy siedziała w pierwszym rzędzie krzeseł tuż przed ringiem i widziała jak Zyga walczy. Lubi takie emocje czy też ich nie znosi?

— Jeśli będzie pani kiedyś miała jakąś sprawę nazwijmy to antykwaryczną, proszę o mnie pamiętać — powiedział na odjezdne siwy pan. — Może pani na mnie i na moją pomoc liczyć.

Jestem awanturnicą — myślała Irena. — To jest silniejsze ode mnie. Trzeba mi mocnych wrażeń.

Ścieżka zarośnięta jeżynami. Zyga wracał z łyżką do opon w ręku.

— Która godzina?

— Dwunasta dziesięć.

— Kurdebalans! Zmarnowaliśmy tyle czasu! — przestraszył się.

Od razu to zauważyła, bo miał taki wyraz twarzy jak wówczas gdy bał się, że przeciwnik jest lepszy.

— A może dać spokój? — powiedział niepewnie.

Wystarczyło żeby zmarszczyła brwi, a już mocował się z zamknięciem, szło mu ciężko, sapał przez nos, stękał z wysiłku. Stare, wyschłe drzewo trzeszczało, skrzypiało, aż wreszcie podważone lewarem skoble puściły. Pchnął drzwi. Otwierały się z lamentującym skrzypieniem.

— Boże, żeby nam tylko nie sprzątnęli tego — westchnęła Irena.

— Sprzątnęli? E, tam!

— Do muzeum. Już dawno powinni byli to zrobić. Cała nadzieja w naszych porządkach!

Zyga mruknął coś pod nosem, dobył z torby campingową latarkę, podał Irenie.

— Świeć! — W głosie jego zabrzmiała pretensja, zupełnie jak wtedy, gdy powiedział: Jeśli przez ciebie wpadnę...

c.d.n.

EX LIBRIS ODGŁOSÓW

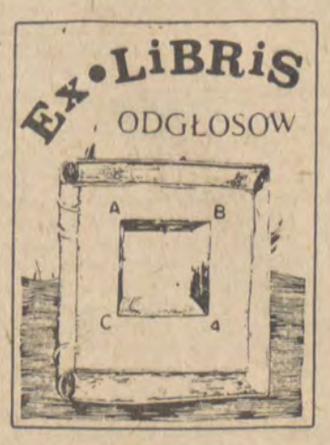

AUSTRALIA KUSZĄCA OBIETNICĄ

Czytelnicy, których fascynuje daleka Australia, mają powody do zadowolenia. Niedawno ukazało się wznowienie pokaźnego tomu „Poczta do Nigdy Nigdy" autorstwa Lucjana Wolanowskiego, obecnie, w serii „Kontynenty", Książka i Wiedza opublikowała drugie wydanie książki „Australia kusząca obietnicą" Tadeusza Zimeckiego.

Tadeusz Zimecki, dziennikarz, wieloletni komentator popularnej audycji radiowej „Muzyka i Aktualności", autor wielu słuchowisk, reportaży i powieści, tak pisze w swojej książce: „Choćbyś przeczytał tysiąc książek o Australii — nic o niej nie wiesz. I ja się naczytałem. Zobaczyłem dopiero, gdy wyruszyłem. Było tu przede mną kilku. Żaden nie łgał. Po prostu każdy widział inaczej. Przecież kilka jest tych Australii. Pastelowy pejzaż interioru Australii trupich przedmieść przyrody nieblańskiej, rajskiej samotności, wrzasku stadionów. Australia żelaza, betonu i superarchitektury w centrach miast, kontynent kontrastów obyczajowych, krajobrazowych, ludzkich. Wiem, że nie zdołałem ukazać w tej książce wszystkich portretów ludzi poznanych na szlakach podróży, wszystkich relacji z wypraw. Ale czy zdołałem przekazać obraz zjawiska zwanego Australią? Czy znalazłem definicję tego lądu?"

Na te wątpliwości autora odpowiedzą już Czytelnicy, których gorąco zachęcamy do lektury książki Zimeckiego. Książki bardzo osobistej, dociekliwej, ciekawej.

Tadeusz Zimecki, „Australia kusząca obietnicą", Książka i Wiedza, W-wa 1978, str. 305, cena zł 30.

WATYKAN Z DALEKA I Z BLISKA

Zdzisław Morawski, znany publicysta i korespondent prasy polskiej, od lat związany jest z Polską Agencją Prasową. Wiele podróżował po Europie i Afryce. W latach 1965—1967 z ramienia PAP i „Życia Warszawy" przebywa w Algierii, jest korespondentem wojennym na Bliskim Wschodzie w okresie wojny izraelsko-arabskiej w 1967 roku. Od marca 1968 roku do listopada 1974 roku Zdzisław Morawski akredytowany był w Watykanie jako korespondent PAP i „Życia Warszawy". Efektem jego siedmioletniej pracy dziennikarskiej w Rzymie jest książka „Watykan z daleka i z bliska", której wydanie idealnie zbiegło się z zainteresowaniem polskiego społeczeństwa Stolicą Apostolską w związku z niedawnym wyborem papieża z Polski.

„Zajmuję się Watykanem — pisze Zdzisław Morawski — jako instytucją, jako mechanizmem władzy kościelnej i w pewnym zakresie państwowej, jako spadkobiercą blisko dwudziestowiekowej historii Kościoła".

Autor, w swojej interesującej książce, obok opisów organizacji i struktury Watykanu, obok rozdziałów poświęconych współczesnej działalności Stolicy Apostolskiej, przytacza również szereg ciekawostek z życia społeczności tego wyjątkowego państwa, a także anegdoty znakomicie ubarwiające publikację.

Zdzisław Morawski, „Watykan z daleka i z bliska", Książka i Wiedza, W-wa 1978, str. 334, cena zł 50.

SZLACHETNI PASJONACI

W potocznym rozumieniu, historia, są to dzieje panujących i wojen przez nich toczonych. Dopiero marksizm wprowadził do historii masy ludowe, stając na stanowisku, że bez pracy ludzkiej w każdej epoce panujący sami nic by nie zrobili. Mimo tego nadal więcej wiemy o wielkich bitwach i wielkich wodzach niż o wielkich myślicielach, odkrywcach i reformatorach. Więcej wiemy o metodach panowania i uciskania niż o szukaniu dróg dla postępu technicznego, gospodarczego i społecznego, dla rozwoju kultury.

165 lat temu rozpoczęto budowę Kanału Augustowskiego. Projektował ten kanał i przez pewien czas kierował pracami generał Ignacy Prądzyński, człowiek niebywale zdolny, który nauczył się zasad budowy dróg wodnych jadąc bryczką z Warszawy do Augustowa. Może to się wydawać niebywałe, ale wraz z oficerami inżynierami wojska Królestwa Polskiego zaprojektował tę — gigantyczną na owe czasy budowę — w ciągu roku. A wiele sukcesów techniki zastosowanej w Puszczy Augustowskiej do dziś budzi zdziwienie ludzi nauki.

Inny generał — Ludwik Pac budował w tejże okolicy pałace i reformował gospodarkę. A Karol Brzostowski — hrabia zresztą — zrealizował rzecz do dziś budzącą podziw, zrealizował bowiem utopię, coś, co wydawało się niemożliwe, założył Republikę Sztabińską, republikę społecznej sprawiedliwości. 201 lat temu przyrodnik z XVIII wieku, Krzysztof Kluk wydał „Rośliny potrzebne i pożyteczne" książkę, która stała się podwaliną współczesnego polskiego przyrodnictwa.

Stefan Maciejewski zebrał wiadomości o gronie tych wielkich pasjonatów, wydawnictwo „Pojezierze Olsztyn" opublikowało je w książce pod znamiennym tytułem „Szlachetni pasjonaci". Jest to książka, którą wypada polecić nie tylko tym, którzy miłują historię, interesują się naszą przeszłością, ale wszystkim, którzy chcieliby w przeszłości szukać wzorów, którzy powinni zrozumieć, że dawniej nie tylko organizowano powstania, ale też szukano wszelkich możliwych dróg rozwoju narodu polskiego.

Stefan Maciejewski — „Szlachetni pasjonaci", Pojezierze Olsztyn, 1978 r., str. 371, cena zł 55.

zdarzenia i zwierzenia

Stanisław Czernik i autentyści

Dziewięć lat temu, w grudniu 1969 roku, zmarł **Stanisław Czernik** — wybitny poeta, twórca autentyzmu, wielce zasłużony dla kultury naszego miasta. Nie zapomniano o Czerniku w Łodzi, choć byli ludzie, którzy robili wszystko, aby tak się stało. Na szczęście byli i inni, którzy z uporem o pamięć Poety się dopominali. Jest więc dziś biblioteka imienia Czernika, nie ma — co prawda — ulicy, ale nazewnictwo ulic w Łodzi to temat zupełnie osobny.

Bardzo za to cieszy unikalna publikacja — antołogia poezji autentystów, stanowiąca wybór czterdziestu wierszy ośmiu autorów z **„Okolicy Poetów"** w latach 1935—1939. Przypomniano w niej wiersze **Stanisława Czernika, Tadeusza Juliusza Demczyka, Józefa Andrzeja Frasika, Czesława Janczarskiego, Bolesława Kobrzyńskiego, Jana Bolesława Ożoga, Jerzego Pietrkiewicza** i **Stefana Szajdaka.**

Antologia poezji autentystów ukazała się pod firmą **Wydawnictwa Łódzkiego**, ale informacja ta byłaby niepełna, gdyby nie dodać, że wydano ją staraniem i nakładem **Federacji Towarzystw Kulturalnych Ziemi Kaliskiej.** Wyboru dokonał, opracował i wstępem opatrzył **Andrzej Biskupski**, a całość edytorsko opracował **Michał Kuna.**

Okolicznościowy numer **„Okolicy Poetów"** upodobniono typograficznie do czernikowskiego czasopisma z lat trzydziestych oraz uzupełniono wkładką afiszową, zawierającą programowy artykuł **Stanisława Czernika.**

Z interesującego wstępu **Andrzeja Biskupskiego** dowiadujemy się, że pomysł opracowania antologii poezji autentystów powstał przed ponad trzydziestu laty — i to sam Czernik taką księgę opracowywał. Niestety, nie doprowadził dzieła do końca, bowiem, — jak napisał w liście do Ożoga — „na taką książkę nie znajdzie się wydawcy, ani subwencji".

Rzeczywiście, przez trzydzieści lat nie było „ani wydawcy, ani subwencji". Dopiero społeczna inicjatywa kaliskich towarzystw kulturalnych, łódzkich bibliofilów, działaczy z Ostrzeszowa i Kalisza oraz pomoc Wydawnictwa Łódzkiego, zaowocowały tą książką, wymarzoną i planowaną przez **Stanisława Czernika.**

Pisze **Andrzej Biskupski**, że prezentowany obecnie wybór wierszy, choć nie jest dokładną realizacją pomysłu antologii Czernika, to jednak w jakimś skromnym zakresie do tego pomysłu nawiązuje, pragnąc zrealizować przynajmniej część wstępną antologii, jaka, być może, ukaże się dopiero w przyszłości, tzn. takiej antologi, która by przedstawiała obraz całości dorobku poetyckiego autentystów.

Stanisław Czernik stawiał w swojej poezji pytania dla pisarza najważniejsze. Skąd przybywam? Co zostawiam innym? Ile zostało w ludziach ze mnie, z mojego poetyckiego trudu?

Są to pytania, na które musi sobie odpowiedzieć każdy artysta, jeśli chce znaleźć swoje miejsce w czasie, w strumieniu rzeczywistości. Świadomość własnej drogi, świadomość „podglebia", z którego wyrasta sztuka tworzona sercem i umysłem wielkich i małych poetów — to czernikowski postulat żywej poezji. Świadomość ziemi, z której „pot przodków sól i gorycz". — **„Z niej poezja ludziom wierna — najwierniejsza".**

To piękna postawa wobec sztuki — jak piękna pogoda w letnie rano, kiedy nad horyzontem bieleje jeszcze księżyc i niebo czyste i biel chmur na błękicie, i słońce i wiatr... Wielość elementów pięknej pogody daje dopiero to piękno pełne, doskonałe. **Stanisław Czernik** marzył chyba o takiej właśnie poezji — złożonej z wielości. Nie eliminował ani chmur, ani wiatru, ani księżyca, jeśli były prawdziwe. Eliminował natomiast imitację, fałsz, kalkę literacką i wzruszeniową.

Jest to światopogląd, postawa, które może przyjąć każdy poeta lat siedemdziesiątych, które każdy poeta przyjmuje, jeśli naprawdę jest poetą. Bez względu na skalę talentu i kierunek poetyckiej drogi. Bez względu na to, czy zechce nazwać się autentystą.

Krzykliwość skamandrytów, spory awangardy dawno już przysypał kurz zapomnienia, stały się kategorią historyczną, połyskującą nieraz bardzo pięknie, ale dziś jest to już tylko historia. A światopogląd poetycki **Stanisława Czernika** dany jest nam, na dziś, na jutro — na dobre i złe polskiej poezji.

WIDOK

propozycje

SPÓR

Różne mogą być spory i różne przedmioty sporu. Można spierać się o rzeczy małe i wielkie. W zależności od zainteresowań spierających się. Można spierać się spokojnie i rzeczowo i można rwać przy tym włosy i łamać krzesła. W zależności od temperamentu spierających się. Wszakże istota sporu sprowadza się do tego, że spierający się mają różne poglądy na tę samą sprawę. Ważne jest również to, że mając różne poglądy używają argumentów, a nie spierają się tylko głosząc, że coś jest strzyżone lub że golone.

Spieranie się jest czymś pociągającym, wciągającym, angażującym i może być nawet dramatyczne. Pod warunkiem wszak, że spierający się prowadzą spór umiejętnie, wytaczają przeciw sobie coraz to nowe i zaskakujące argumenty.

Niedawno bardzo ładny spór rozegrał się na łamach „Życia Warszawy". Mniejsza, że chodziło o... śmietnik. Ale reguły zostały zachowane, postępowano zgodnie z wszelkimi zasadami gry, gdyż w tej grze chodzi o to, aby jak najmocniej przygrzać argumentem przeciwnikowi. I tu właśnie jak na dłoni mamy tę prawdę, że kiedy spierający się są w pełni zaangażowani w istotę sporu, kiedy im naprawdę o coś chodzi, to nawet o śmietnik można spierać się z pełną pasją.

Ten nieszczęsny śmietnik znajduje się między kilku posesjami (Nowy Świat nr 18 do nr 30 i Foksal 14) i jedni mają do śmietnika daleko inni blisko. Jest to oczywiście wielka niesprawiedliwość, zważywszy że mieszkańcy wieżowców mają śmietniki niemal pod drzwiami swoich mieszkań, ale jeszcze do pełnej sprawiedliwości mamy dość daleko Stąd więc jednemu z mieszkańców domu przy ul. Nowy Świat 28 znudziło się biegać z kubłami śmieci gdzieś do sąsiadów i zażądał od ROM — 4 wybudowanie śmietnika blisko jego domu. Ale ROM — 4 nie miał na to ochoty. Więc ów mieszkaniec — J. Ł. napisał list do „Małego Życia".

W odpowiedzi na żądania J. Ł. nadszedł do „Małego Życia" inny list, podpisany przez mieszkańców domu przy ul. Nowy Świat 28. „ŻW" publikując ten list ujawniło imię autora pierwszej notatki. Ten zaprotestował obszernym już listem, w którym twierdzi, że polemikę z nim w sprawie śmietnika podjęli nie MIESZKAŃCY domu przy ul. Nowy Świat 28, ale tylko JEDEN mieszkaniec, który się podszywa, „działa samowładczo" i „nadużywa zaufania". J. Ł. uznał ten list i sposób, w jakim „ŻW" go opublikowała za „określenie adresata", gdyż ujawniło imię J. Ł., i dlatego uznał ten sposób za „obraźliwy i napastliwy". List ten J. Ł. podpisał już pełnym imieniem i nazwiskiem, którego tu nie będę przytaczał.

Do sporu włączył się tymczasem zastępca dyrektora PGM Centrum w Warszawie. Ten już nie patyczkował się i ujawnił, że autor pierwszego listu, czyli J. Ł. posiada tytuły naukowe, że jest on docentem doktorem habilitowanym, co przy sporze o śmietnik jest swoistym smaczkiem. Ale nie ma się z czego śmiać, bowiem i nawet doc. dr hab. nosząc daleko śmiecie może być zdenerwowany i ma prawo do posiadania bliskiego śmietnika.

Zastępca dyrektora PGM Centrum w Warszawie nawykł do prowadzenia sporów pozornych, nauczył się dobrze „przykładać" polemiście, a i istotę sporu rozmydlać, rozwadniać, odsuwać na plan dalszy. Zawiadomił więc on polemistów, że żadnych nowych śmietników nie będzie i niech tam żaden doc. dr hab. nie bruździ. Ale ponieważ w sprawie śmietnika ludzie mają różne zdania, więc co trzeba zrobić? Trzeba zwołać zebranie! Oczywiście. Zebranie to jest to, co ludzie lubią najbardziej. A poza tym w swym liście, drukowanym w „ŻW" zastępca dyrektora PGM Centrum dał do zrozumienia, że on i PGM mają ważniejsze problemy na głowie i wymienił kłopoty, z jakimi boryka się PGM tylko w sprawie jednej posesji Nowy Świat 28.

Spieranie się jest rzeczą rozkoszną. Są ludzie, którzy dla samej przyjemności spierania się gotowi są wymyślać doraźnie przedmioty sporu, aby tylko było o co się spierać. A ileż razy zdarza się nam być świadkami sporu o nic, kiedy właściwie spierający się mają taki sam pogląd na sprawę, ale udają, że posługują się innymi i na dodatek różnymi argumentami, aby dowieść tego samego. Przyznam się, że z przyjemnością śledziłem spór o śmietnik na łamach „ŻW". To był spór. Był? Jest jeszcze, bo przecież odbędzie się zebranie i ludzie będą sobie skakać do oczu w sprawie śmietnika, bo śmietnik to też składowa część naszego życia powszedniego. A na śmietniku — jak wiadomo — leżą porzucone skarby. Jest więc o co się spierać.

I kiedy czytałem o tym sporze, kiedy śledziłem jego rozwój, to zrobiło mi się smutno, choć powinno było robić się wesoło. Robiło mi się smutno, bo sobie przypomniałem różne zebrania na bardzo istotny temat, na których było nudno i nijako, choć przecież wszyscy wiedzieli, że... prywatnie tyle jest zdań, ilu obecnych.

MARCIN RODAK

sport

PODSUMOWANIA

Kiedy w „Przeglądzie Sportowym" pojawia się zapowiedź plebiscytu na dziesięciu najlepszych sportowców Polski, to niechybny to znak, że zbliża się koniec roku. I oto właśnie „Przegląd Sportowy" w numerze z 29 listopada 1978 roku zapowiedział początek plebiscytu. Ogłosił nawet kandydatów do tego zaszczytnego miana. Ale zaraz w następnym numerze, dzień później, opublikował pierwszą dziesiątkę zgłoszoną przez Warszawskie Biuro „Associated Press". Dziennikarze amerykańskiej agencji na pierwszym miejscu stawiają Józefa Łuszczka.

W kilku punktach dziennikarze „AP" zgadzają się z propozycjami „PS". Wspólne kandydatury to: Józef Łuszczek, Adela Dankowska (Areoklub Leszno), Bogdan Kramer (Yacht Club Wielkopolska), Wojciech Fibak. W dziesiątce „AP" zastanawia fakt, że nie ma w niej ani jednego piłkarza. W pierwszej serii typów „PS" występują natomiast: Zbigniew Boniek, Lesław Ćmikiewicz i Kazimierz Deyna.

Koniec roku skłania też do pewnych porównań i refleksji. Wiąże się to również z plebiscytem „PS", z końcem jesiennej rundy ligowych rozgrywek, z koniecznością dokonania oceny tego, co zrobiło się w poszczególnych dziedzinach sportu, aby móc rozsądnie i mądrze wejść w rok nowy. Szczególnie wnikliwie ocenia się dorobek ekstraklasy piłkarskiej, pamiętając przecież, że w przyszłym roku trzeba będzie rozstrzygnąć nasze miejsce w finałach mistrzostw Europy. A i przygotować się do olimpijskich eliminacji oraz pomyśleć o przygotowaniach do mistrzostw świata w Hiszpanii. Wszystko będzie zależało od poziomu ligi.

Bez wątpienia, w następnych propozycjach nadsyłanych na plebiscyt „PS" znajdą się piłkarze i zapewne będą to również inne nazwiska niż te, które już padły. Nie mam wprawdzie żadnych zastrzeżeń, ani do Lesława Ćmikiewicza, ani do Zbigniewa Bońka, choć ten ostatni miał bardzo nierówny rok. Po znakomitych, acz krótkich występach w mistrzostwach świata, po dobrych meczach międzypaństwowych, w jesiennej rundzie ze względu na kontuzje grał mało. W rezultacie w ligowych spotkaniach nie strzelił ani jednej bramki. Nie pomniejsza to w niczym wartości tego znakomitego piłkarza.

Inaczej wygląda sprawa Kazimierza Deyny. Strzelił wprawdzie jesienią tylko dwie bramki, miał jednak rok dużo gorszy i wielu kibiców ze zdziwieniem zobaczyło go na angielskim boisku, gdzie wcale nie zachwycił swoją grą. Ale to w końcu sprawa Tony Booka. W przypadku Pana Kazimierza można się tylko dziwić zawiłościom losów piłkarskich, bo oto inny as polskiej piłki nożnej — Andrzej Szarmach został przesunięty z pierwszoligowego zespołu Stali Mielec do zespołu grającego w trzeciej lidze. Andrzej Szarmach strzelił wprawdzie jesienią tego roku pięć bramek, tyle samo, co jego kolega z drużyny — Grzegorz Lato, ale to go nie uchroniło przed degradacją.

W Mielcu mówią o Szarmachu, że jest leń i nie chce mu się grać. Stoi na boisku, klnie na kolegów, że mu piłki nie podają. Miał być atutem mieleckiej Stali, po to go do Mielca ściągnięto z Zabrza, a okazało się, że jest tylko ciężarem. Nie wiadomo teraz, co z nim zrobić? W trzecioligowej drużynie nie gra, bo to wstyd dla olimpijczyka i medalisty z mistrzostw świata. Trenuje więc z zespołem z trzeciej ligi, a trener Kazimierz Pawlikaniec czeka tylko, aby odzyskał formę i aby można było mu dać szansę powrotu do pierwszoligowego zespołu. Kazimierz Pawlikaniec mówi: — „W każdym razie przewiduję, że mogę się znaleźć w sytuacji Leszka Jezierskiego". Natomiast Andrzej Szarmach twierdzi, że gra słabiej dlatego, że ma nie wyleczoną kontuzję. Konflikt między gwiazdą futbolu a trenerem narasta. Kolejny konflikt.

Przed mistrzostwami świata w Argentynie wielokrotnie zwracano uwagę, że Andrzej Szarmach nie był w takiej znakomitej formie, która upoważniałaby ówczesnego trenera do rozpatrywania jego kandydatury do reprezentacyjnej drużyny. Stało się inaczej i dziś za koszty tej pomyłki drogo płaci Andrzej Szarmach.

Różne są losy sportowych gwiazd. Ale chyba coraz silniej narasta problem odchodzenia z czynnego sportu. I chociaż u nas nikt nie staje przed dylematem, co z sobą zrobić, to przecież każdemu żal ryku tłumów, triumfu, jaki przynosi ze sobą zwycięstwo, gratulacji, wywiadów, zdjęć w gazetach i szumu kamer filmowych i telewizyjnych. Życie jest jednak nieubłagane. W każdym zwycięstwie tkwi zalążek przyszłej klęski. Nawet fenomenalna Irena Szewińska będzie kiedyś musiała pożegnać się z czynnie uprawianym sportem. Nie prędko pewnie do tego dojdzie, ale przecież kiedyś i ten smutny moment nastąpi.

BOGDA MADEJ

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JADWIGA TURSZAŃSKA—OBARSKA

Pani się gdzieś chowa, A tu przyjechali ZNAJOMI Z RADŁOWA.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

DZIŚ PIĄTEK

lewym okiem

Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska w Łodzi wpadła na rewelacyjny pomysł. Ogłosiła mianowicie wielkimi czcionkami w prasie, że co dzień będzie dostarczać na rynek inny serek, a wszystkie oczywiście nowe, zupełnie nie znane światu: w poniedziałki śmietankowy, we wtorki staropolski, w środy ziołowy, w czwartki kminkowy, w piątki żytawski i w soboty żychliński.

Organizacja produkcji w spółdzielni podskoczyła od razu o parę kresek w górę. Cały kolektyw koncentruje się danego dnia na jednym rodzaju sera, wydłuża się seria produkcyjna, zaopatrzeniowiec oddycha z ulgą wiedząc, że kminek potrzebny będzie tylko w czwartki, a śmietana — tylko w poniedziałki. Nikt nie pomyli opakowań, upraszcza się dokumentacja, w sprawozdaniach dziennych wystarczy wykazać jeden asortyment. Jednocześnie wszyscy panowie w biurach, urzędach i fabrykach odwijają o dziesiątej kanapki z tym samym serem, dzieci w szkołach zaczynają tydzień śmietankowo, a kończą po żychlińsku, babcie emerytki nie muszą zastanawiać się w sklepie, co wybrać. Serek raz! — mówią, a już dzień tygodnia decyduje automatycznie, jaki to będzie serek. Maluchy w przedszkolach uczą się kalendarza na serkach. — Proszę panią co to znaczy „żytawski"? To znaczy, że dziś piątek, odpowiada pani.

Pomysł jest wart nie tylko nagrody, ale i dalszego, konsekwentnego rozwoju. W miarę rośnięcia spółdzielczości mleczarskiej rosnąć będą minimalne serie produkcyjne. Cóż prostszego, jak przejść wówczas na system tygodniowy lub miesięczny? W styczniu serki staropolskie, w lutym ziołowe. Oczywiście, trzeba będzie wymyślić sześć dalszych nowości, żeby pokryć wszystkie miesiące, ale przecież mamy instytuty, które nad tym pracują.

Któryś z Francuzów powiedział, że trudno jest rządzić państwem, w którym istnieje sto sześćdziesiąt gatunków sera. Mimo to zawsze jakoś znajdowali się chętni do rządzenia Francją i jej gospodarką, a co dziwniejsze — tych 160 gatunków jest tam w sprzedaży wciąż, wszystkie naraz, do wyboru. Aż się w głowie kręci!..

Następny może będzie przemysł przetwórczy. W poniedziałki zaleje rynek kompotem z mirabelek, we wtorki zielonym groszkiem, w środy dżemem porzeczkowym. Później — puśćmy wodze fantazji — doszlusuje przemysł dziewiarski, oferując na przemian to swetry, to śpioszki, to męskie niewymowne. Jeszcze później —z wrodzoną nam skłonnością do eksperymentowania — dołączymy się także my, radiowcy: w poniedziałki będziemy na okrągło nadawać chwilę muzyki, we wtorki koncert życzeń, w soboty oczywiście osiemnastogodzinny odcinek Matysiaków. Wtedy powstanie nowa centrala, która skoordynuje skutecznie działalność różnych branż i ustali dla nich zadania planowe. W poniedziałki będziemy kupować ser trapistów, we wtorki rajstopy, a w środy słuchać radia dla kierowców. Zamiast drukować programy, wypisywać nieczytelnie jadłospisy w lokalach gastronomicznych, zamiast mazać na szybach „Dziś świeża pietruszka" — wyda się raz na zawsze wielką księgę pt. „Porządek sprzedaży" z podziałem na dni, tygodnie i miesiące. To jeszcze daleka przyszłość; na razie mamy serki, które nie powinny nosić takich mylących nazw jak: kminkowy, ziołowy, żychliński, tylko jakże wiele mówiące: czwartkowy, piątkowy, sobotni. Zresztą może być odwrotnie. Młody człowiek umawiając się z dziewczyną zamiast „spotkamy się w sobotę" może powiedzieć: „spotkamy się przy serku żychlińskim". A co będzie w soboty wolne od pracy, kiedy sklepy są zamknięte?

Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska pomyślała i o tym. Dni wolne od pracy będą jednocześnie dniami, wolnymi od sera.

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2649. I-9.